

JAN PAPUGA

GUADALAJARA!

GUADALAJARA!

1965

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Obwolutę i stronicę tytułową

projektował Antoni Rzyski

MICHAŁOWI MISIORNEMU

POCZĄTEK TOPOGRAFII

Przy jednym z pierwszych od tablicy stołów stał porucznik w opiętym mundurze lotnika z „glapą” na piersi. Suchy, żylasty, mocno śniady, o garbatym nosie. Jego twarz i całą postawę łagodził częsty uśmiech. Opanowanym głosem wymieniał miejsca dolotowe i podrywał któregoś z nas. Wywołany wybierał trasę, potem czytał znaki, według których kierował swój lot. Bystroocy chłopcy w spłowiałych zielonych drelichach, pochyleni nad mapami, śledzili kolegę i poprawiali błędy. Było między nimi dwóch marynarzy: mat i ja, obaj w bardzo ozdobnych kołnierzykach, wiązanych jak staniczki. Doskonale orientowaliśmy mapy „setki”, robiliśmy plany na przyszłe przeloty i na współdziałanie z bronią lądowymi.

Nasz topograf mówił teraz o niespodziankach, napotykanym przez niego i kolegów, przy złym rozpoznaniu terenu.

Wielkie skróty znaków bardziej pobudzały moją wyobraźnię niż najlepsze słowne opisy ziemi. Dawały obraz ogromnych przestrzeni, jakich słowo nie jest w stanie oddać. Podczas pogwarek wykładowcy na zakończenie lekcji, oderwałem się zupełnie od ziemi. Porucznik miał latanie we krwi, śmierdział samolotem, związany był z nim niepodzielnie jak Lisowczyk z koniem.

Przez otwarte wysokie, odsłaniające całą ścianę okna wlewało się żółte, gorące słońce. Z radością patrzyłem w bezwietrzny dzień o najlepszej widoczności.

8

Oblatywaliśmy już „Bartla”, po południu mieliśmy zacząć „Poteza”.

Rozwarły się drzwi. Ujrzeliśmy kapitana, komendanta szkoły, za nim dwóch cywilów, wachmistrza żandarmerii i naszego szefa, sierżanta. Poderwaliśmy się na zawołanie wykładowcy. Porucznik wyprostował się do meldowania, ale komendant — podchodząc bliżej — powstrzymał go. Mówił tak cicho, że dobiegał tylko niezrozumiały szept. Potem cała wizytacja obróciła wzrok na nas.

— Wszyscy opuszczą salę. Zostanie tylko marynarz... — wykładowca wymienił moje nazwisko. Mówił zupełnie obcym głosem.

Koledzy wychodzili spokojnie, niektórzy obrzucali mnie krótkim zdziwionym spojrzeniem. Od dwóch siedzących obok mnie słuchaczy żandarm wziął teczki z notatkami i książki, potem zebrał moje i obejrzał dolny blat bez szuflad. Po paru chwilach poczułem na sobie spojrzenie komendanta.

— Idź do pokoju obok mojej kancelarii i czekaj — powiedział łagodnie.

— Rozkaz! — sprężyłem się i wyszedłem.

Jego głos dźwięczał we mnie ciepło. Komendant nie posłużył się porucznikiem ani szefem. Przy wejściu na schody spostrzegłem idącego za mną żandarma.

Wszedłem do wyznaczonego pokoju. Rozluźniłem całe ciało, uśmiechnąłem się do siebie i do wszystkiego, cokolwiek miało mnie spotkać. Wiedziałem, kim są panowie bez mundurów i czego chcą. A skąd wiedzą — tego chyba dowiem się od nich.

Nie było czasu na zawile rozmyślanie, nie snułem żadnych planów. Nie wolno mi zaszkodzić im

9

jednym słowem, skrzywieniem oka, nie wolno mi rzucić cienia podejrzenia na... Niech biją!... Przenikało mnie płomieniem i lodem. Wiedziałem. Resztę zdałem na spryt chłopaka z łódzkich peryferii. Byłem gotów. Uśmiechnąłem się, usiadłem na krześle. W każdej chwili mógł ktoś wejść. Wszedł cywil w eleganckim, szarym ubraniu, zażywny i wypoczęty. Nie wyglądał na zwykłego łapacza. Moje krzesło ustawił z dala od biurka, sam usiadł za biurkiem, wyjął z teczki papiery, rozkładał je. Przed nim leżały kartki maszynopisu, na pewno dotyczące i mnie. Przejrzał je, zaczął:

— Pan z Łodzi?

— Tak.

— Urodzony?

— We wsi Zbyszek...

Pytał i pisał, od babek, dziadków, wujów, ciotek, ich urodzenia, od wykształcenia, pracy, środowisk, stanowisk, zainteresowań, karalności do mojego współżycia z nimi. Była to chłopska magma religijnych, nigdy nie karanych analfabetów, ciężko pracujących na swoje twarde życie i mgławicowo marzących o niebie. Umiałem mu to podać nago i surowo. Czasami spoglądał w okno na złocisty dzień i znów brał się do pisania. Nie żyjąca matka nie wiele go interesowała, za to musiałem opowiedzieć prawie cały życiorys ojca. Ostatnio bywał bezrobotny. Powiedziałem bez natręctwa, że przez piętnaście lat pracował jako tkacz u Gayera. Był w bractwie kościelnym, a w kościele katedralnym dźwigał w procesjach największą chorągiew. Zzymał się, nie bardzo pasowało mu to do pisaniny, ale słuchał bez nudy.

— To nie macie w Łodzi rodziny?

— Jest ciotka Marchwicka, jej syn jest kapitanem

w Wojsku Polskim i ma Virtuti Militari. — To świetnie pasowało. Przypomniał mi się wuj Wojciech, miał najwyższe odznaczenia carskie za front pod Krakowem, a później był u Denikina w dzikiej dywizji... Nie powiedziałem, że potem poszedł do bolszewików i że prał Judenicza pod Piotrogradem, a obecnie jest w partii. Cywil dał się wciągnąć, ale zaczynało go to mierzić.

— To nigdy nie miał pan do czynienia z władzami?

— Nie.

Spojrzał na mnie niby zwyczajnie, a bardzo uważnie, z chęcią przejrzenia na wylot.

— Naprawdę?

— Nie. Byłem zatrzymany przez policję w Skarżysku. Nie miałem na bilet. — Zawstydzilem się szczerze.

— A potem?

— Już nie.

— I stale mieszkał pan w Łodzi?

Zaczyna się... Natychmiast zorientowałem się, że wie daleko więcej, niż mnie się wydawało. Postanowiłem dawkować coraz mniej naiwności.

**— Około pół roku w Leśnej, koło Baranowicz. —
A potem?**

— A stamtąd wróciłem do Łodzi na kursy lotnicze.

— Chce pan zostać pilotem?

— Na całe życie! — i znów dał się wciągnąć w mój najszczęśliwszy zachwyty. Potem zwolnił mnie.

Było już po obiedzie. W pokoju sypialnym zobaczyłem trzech kolegów na popołudniowej drzemce przed lotami, żaden z nich nie spał. Moje łóżko zburzone, z byle jak zarzuconym kocem. Otworzyłem szafkę — było podobnie. Poczuliśmy się jak

11

zwierz, któremu ktoś groźnie wtargnął do legowiska.

— Masz „drugie” pod poduszką, ale przedtem idź do szefa — cicho wymówił chłopak z sąsiedniego łóżka.

Po zameldowaniu się szef parsknął:

— Loty wstrzymane aż do odwołania! — Z jego twarzy zionęła psia nienawiść.

Oparzyło mnie jak lodem, ale po wyjściu zaśmiałem się. Szybko zjadłem ciepławe jeszcze drugie danie i położyłem się. Nikt o nic nie pytał, udawali, że śpią. Pojawiła się gniewna twarz szefa, ale przysłonił ją komendant. Zasnąłem z przyzwyczajenia.

— Wstawać do lotu! — Wołanie dyżurnego zaniósło się radosnym wyzwaniem.

Zerwałem się — i zaraz odruch opamiętania. To nie było do mnie. Podciągnąłem koc, wtuliłem twarz. Pośpię sobie! Zawsze zasypiałem natychmiast i kiedy chciałem, jak kot. Gdy już nadchodził sen, odezwały się zapuszczane silniki. Jeden prychał jak jakiś centaur nie dający się ujarzmić. Inne posłusznie poddawały się sprawnym rękom. Głosy przenikały się wzajemnie, zagrały z wysokim jękiem. Wtedy jeszcze oddałbym za nie wszystkie harfy z aniołami. Słyszałem, jak kołowały na start, a potem pojedynczo, waliły na wszystkich obrotach.

Wstałem, ubrałem się i wyszedłem. Przed hangarem było już pusto. Chorągiew na środku ogromnego pola traw, w gromadkach chłopcy czekający na swoją kolejkę.

Usiadłem na betonowej podstawie wspornicy hangaru. Kanciaste niemrawe Potezy latały płynnie i siadały gładko w dublach. Chyba najcięższą karą dla pilota jest zakaz latania. W prowadzeniu

12

samolotu jest bowiem raj, piekło i śmierć, a wszystko razem następuje po sobie w szatańskim skręcie.

W moim szczeniackim wnętrzu przelewały się smutek i złość do chwili skończenia lotów. Potem samoloty podkołowały na małych obrotach. Chłopcy krzepko i zacięcie wpychali wygaszone maszyny do hangaru. Mój instruktor z grzywą czarnych włosów i z hałą* w ręce grzmiał z daleka w wesołym gniewie:

— Cóż to znowu?! Potem będziesz w tyle! Zerwałem się i zawołałem:

— Jutro przyjdę, panie poruczniku! — Gotów byłem latać w każdej chwili dnia i nocy.

Koledzy wychodzili z hangaru, przystawali na chwilę, obejmowali spojrzeniem lotnisko. Mieli zwichrzone łby i gogle** na piersiach. Zaspokojeni radośnie, jakby oblecieli cały świat. Szerocy, w kombinezonach, szli niedbale do budynku mieszkalnego. Zostałem sam. Wyszedł jeszcze mat, chucherkowaty i czarniawy. Zauważył mnie, przystanął, popatrzył się z okrutną radością. Obu nas wysłano z Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku na Szkołę Lotniczą dla Podoficerów w Sadkowie koło Radomia. Był instruktorem wyszkolenia piechoty. Mendowaty, chodzące odbicie regulaminu, dobrze nas jaił w okresie rekruckim. Przed silniejszymi skaczący na dwóch łapkach psiak, miał dla słabszych nielitościwe okrucieństwo swej wysokiej władzy. Może i wiedział że są ideały, wzniosłe dążenia, przymioty charakteru, ale pamięć o nich diabelnie utrudniałaby mu życie. Miał przełożonych i regulamin, był doskonałym podoficerem, więc wysłano go do szkoły.

* kask — żarg.

** okulary lotnicze — żarg.

Jeszcze tu próbował urządzać mi przeglądy mundurowe i szafki, aż przepędziłem go z sypialni. Miał sześć bitych lat służby, ja dopiero kilka miesięcy, a znaleźliśmy się razem. Może nie podobało mu się, że miałem za sobą szybowce i RWD-8... Już w dzieciństwie wymarzyłem i zadecydowałem: samoloty albo łodzie podwodne. A on nawet nie był marynarzem. Gdyby ze mną było podobnie, wstydzilibym się nosić marynarski mundur.

W jego twarzy była teraz zupełna pewność mojej przegranej i wola pastwienia się. Prosił wprost, bym go uderzył. Dobrze wyczuł, że stoję nad przepaścią, był wyzywający i bezczelny. Twarz wykrzywiła mu się w bezgłośnym śmiechu jak hienie. Aż nasycił się i odszedł. Jeszcze podczas kolacji próbował kłuć mnie oczkami szakala, zaprzestał jednak szybko widząc, że nie podoba się to innym. A przecież i tamci omijali mnie jak trędowatego.

Co chwila ktoś wstawał, by spojrzeć w okno, czasem usłyszeliśmy znajome imię dziewczyny. Pojawienie się nowych twarzy podrywało wszystkich. W pogodne dni, po kolacji ściągaly tu z miasta dziewczęta, a w niedzielę ciągnęły szosą całe wycieczki. By to nie miało groźniejszego wpływu na latanie, instruktorzy utrudniali spotkania, przypominali: tylko przyzwoite dziewczyny, ładne i mądre. A przychodziły różne, tego już uformowane kobiety i młodsze, trzymające się jak trzciny. Najśliczniejsze były szesnastolatki, ignorowaliśmy je lub pędziliśmy do domu. Były tam przeważnie śmieszne przekomarzania się w gromadkach lub chodziliśmy na jałowe spacer. Mądre na pewno były zawiedzione, bo przecież trafiały się takie, które umiały przedrzeć się przez mur naszej szczeniackiej pychy. By być

14

kochankiem, trzeba chcieć nim być. My nie chcieliśmy. Aż po czubki włosów byliśmy wypchani lataniem.

Teraz znowu nadciągała szosą jakaś spora grupa. Chłopaki dojadali kolacji i pędzili na spotkanie. Nikt mnie nie zawołał, został tylko warszawiak ze wspólnej sypialni. Podszedł do mnie.

— Wszystkie łóżka i szafki przerzucili, a ten zdechły cywil każdego po kolei brał na spytki i zabronił wspominać o tym. Ani mru, mru, uważasz? — spojrzał znacząco i szybko wyszedł. Po chwili wyszedłem i ja. Jak strasznie wolno wlokł się czas do apelu!

Łóżko było najlepszym schronieniem. Sen przerywał mękę i dawał siłę.

O świcie znów wołanie na ranne loty. Przemogłem się, nie wstałem. Kiedy silniki rozniosły się po rannej rosie jak organy, owinąłem kocem głowę i drzemałem, aż zapadłem w sen. Kiedy przebudziłem się, koledzy wrócili już i zrzucali z siebie ciężkie kombinezony. Zobaczyłem nad sobą szefa.

— A ty o dziesiątej masz rekolekcje — mówił chrapliwie i szyderczo.

Nikt nie śmiał się. Wstałem szybko, by nie opuścić lekcji nawigacji.

O dziesiątej ten drugi cywil czekał już w pokoiku. Wskazał mi oddalone krzesło. Usiadłem. Miał zmizerowaną, wąską twarz o blisko osadzonych oczach, spokojnych i chwytnych. Wodził nimi uważnie po mojej twarzy, wiercił mi w oczach. Kiedy było za dużo — uśmiechał się. Odpowiadałem mu uśmiechem.

— Na pewno uprawia pan jakiś sport?

— Lubię pływać.

15

Obaj byliśmy mali, ale ja byłem związany jak pęk.

— Na pewno należał pan do jakiegoś klubu?

— Chodziłem trochę na boks do Gayera — z przejściem oddałem mu uśmiech.

— A w „Strzelcu” był pan? — uśmiechnął się jak równy swojak.

— Nie, byłem w harcerstwie. Zespoliliśmy się w uśmiechach, póki nie ujrzałem w jego oczach poufałości:

— No, no, nie tylko w harcerstwie, ale to między nami... — i wyraźny uśmiech na ten temat. Odpowiedziałem mu naiwnym, cielecym. Spoważniał, zabrał się do przerzucania kartek maszynopisu. Rozpoczęło się przepytывanie wczorajszych zeznań, na wyrywki. Poszerzał to, ale nie wcisnął się żadną szczeliną.

— Zrobimy sobie godzinną przerwę — powiedział i zwolnił mnie.

Bez namysłu poszedłem na zaczęłą lekcję teorii lotu. Byłem tak zwarty, że nikogo na niej nie speszyłem.

Po przerwie tkwił za biurkiem zażywny cywil, a z boku, na wprost mnie, usiadł mizerak. Przyjęli mnie uśmiechami.

— Jak to było w Skarżysku? — pytał zażywny.

— Policja zatrzymała mnie na dobę w komisaracie.

— A co pan robił w Krakowie?

— Jak to, być Polakiem i nie być w Krakowie?!

— odpowiedziałem z wyrzutem.

— A w Warszawie?

— Przecież stolica.

— Turysta — zadziwił się.

16

— I sportowiec — odpowiedział mizerak; obaj
zaśmiali się.

— A po co pan jechał do Leśnej? — pytał za-
żywny.

— Szukałem pracy.

— Na gapę?

— Nie miałem pieniędzy.

— Do takiej dziury po pracę? — wcisnął się
mizerak.

— Jechałem do Baranowicz, tam są wielkie
lasy i poręby.

— To pracowałby pan jako drwal? — zapytał
zażywny.

— Tak.

Spowaźnieli, podobało im się to. A przecież miałem zamiar jechać na Nieśwież i Stołpce, by przejść potem przez granicę Związku Radzieckiego.

— I co, pracował pan w lesie? — dopadł mnie mizerak, ale zdradzał przy tym, że wie znacznie więcej.

— Pomogłem oficerowi znieść z pociągu walizki, zaproponował mi pracę w kasynie oficerskim. Był kierownikiem.

(Kiedy uporałem się już z licznym bagażem eleganckiego oficera ten chciał mi wcisnąć napiwek. Nie wziąłem, on rzucił kilka pytań i tak się zaczęło. Po chwili zajechały przed stacją sanie, zaprzężone w młodego rysaka. Wrzuciliśmy z powożącym żołnierzem pakunki, wsiedliśmy. Była ciężka zima. W lekkim paletku często gnany precz z pociągu, brnąłem przez wielkie zaspę śniegu, kierując się torem w stronę następnej stacji. Byłem głodny, nie wyspany, bez grosza, zziębnięty do kości. Czasem wpadałem w zaśnieżone doły, odpoczywałem, wyłaziłem na czworakach. Żołnierz

powstrzymywał konia przechodzącego w galop. Jechaliśmy przez lasy, padał śnieg. Powoli rozgrzewałem się pod wilczymi szubami, po raz pierwszy było mi w drodze ciepło. Mój niebezpieczny zamysł odłożyłem na później, musiałem nabrać sił.)

— Co pan tam robił? — pytał zażywny.

— Podawałem oficerom do stołu.

— Przez całe pół roku? — wtrącił mizerak.

— Nie. Potem byłem w warsztacie mechanicznym, w kuźni.

(Odkuwaliśmy złącza ze starym Sybirakiem Rusłanowem, reperowaliśmy tarcze, makiety i ustawialiśmy je na goliznach wielkich borów. Potem zjeżdżała artyleria na ostre strzelanie. Po robocie czekaliśmy na wóz. Siadaliśmy przy ognie i przypiekaliśmy słoninę na patykach. Słońce grzało już dobrze i słodko pachniało wiosną. Zdejmowałem koszulę, głusza pustkowiecia skłaniała do gawędy o wszystkim. Rusłanow był wysoki i suchy, tylko bary miał jak niedźwiedź. Jego małe i jasne oczy były bystre i szczerze, twarde, ale zawsze pogodne i bardzo dobre. Powiedziałem mu o swoim zamiarze. Tłumaczył, że bolszewicy wsadziliby mnie do aresztu, by potem oddać naszym władzom. Nie byłem skompromitowany politycznie, pomyśleliby, że jestem nasłany. Co innego gdyby groziło mi pięć lat więzienia, gdybym był ścigany przez policję. Przekonał mnie. Był kiedyś majstrem w warsztatach kolejowych w Nowosybirsku, potem białogwardyjcem u Kołczaka. Był już bez nienawiści, ale i bez możliwości powrotu. Przypomniały mi się jego oczy: Rusłanow nie mógł mnie wydać!) — W Łodzi miał pan dużo kolegów? — pytał zażywny.

Poweselałem.

— **Nie.**

— **A co pan robił w wolnym czasie? — wciskał się mizerak.**

— **Lubiłem czytać książki.**

— **O czym?**

— **Podróżnicze i o przygodach.**

— **A skąd pan je brał?**

— **Z biblioteki publicznej.**

— **Między sobą nie pożyczaliście?**

— **Nie.**

— **A Freierowi przecież pan pożyczał.**

— **Nie.**

— **Harcerz — wymówił z ironią.**

— **Teraz nie — odpowiedziałem.**

— Ale w Leśnej był pan.

— Tak. Założyłem nawet drużynę harcerską.

(Zrobiłem to z pomocą nauczycieli. Potem chciałem wejść w kontakt z partią w Wilnie, potrzebowałem pomocy. Mogliby przyjeżdżać studenci z uniwersytetu z odczytami. Chciałem wśród młodych chłopców stępić wrogość do Związku Radzieckiego, dać im chociaż początki świadomości klasowej.)

Teraz cywile wymieniali rozciąglą dłużyznę nazwisk i imion. Mieli dobre rozeznanie w moim przedmieściu — wszystko kazetemowcy. Pytali, czy ich znam, chcieli wiedzieć, jaka to była znajomość. Wszystko delikatnie, ale w ich logice. Odpowiadałem według mojej logiki.

— A tam mieszkały u was Cześka i Władka? — zapytał mizerak.

— Może, nie znam ich.

(Cześka była łączniczką, a Władka pojawiła się jak jasny płomień, ramię Partii.) Rozluźniły im się twarze. Mizerak częstował

mnie papierosem, ale wtedy jeszcze nie paliłem. Zapalili z widoczną ulgą. Patrzyli na mnie przyjaźnie, z zażenowaniem, jak gdyby wyrządzili mi krzywdę. Miałem dziecianną, gładką twarz, bez żadnego zapisu życia. Była we mnie rewolucja, swoim płomieniem czyniła mnie jeszcze młodszym.

— To na pewno jakaś pomyłka — wymówił mizerny.

Byli dobrzy jak faryzeusze. Nie chcieli mnie straszyć, bym nie stał się zbyt czujny w przyszłości. A ja w męce musiałem zaprzeczać temu, co było moją najcichszą i największą dumą. Sięgałem po godność plebeja, całą i pełną. Tego nawet lotnictwo nie mogło mi dać, i nikt, musiałem to wziąć sobie sam.

— To wszystko. Dziękujemy panu — powiedział zażywny.

Wyszedłem i pognałem, mury rozwierały się przede mną posłusznie. Dopadłem szafki i otworzyłem ją. Wyjąłem przybrudzony kombinezon z zamszem wszytym na piersiach, przerzuciłem go przez łóżko. Był ładniejszy od najpiękniejszego, wyszywanego stroiku dyplomaty. Żaden cylinder nie mógł się równać z moją skórzaną hałbą, a gogle o wygiętych szybkach były czarodziejskie. Miałem przez nie zobaczyć inny świat! Już przytomny, wrzuciłem wszystko do szafy. Spod poduszki wyjąłem drugie danie i walnąłem się spać. Uczułem szarpnięcie za ramię i zobaczyłem szefa.

— Idź zaraz do komendanta.

Ubrałem się szybko. Sądziłem jak poprzednio. Zapukałem, wszedłem, zameldowałem się. Przez dłuższą chwilę patrzył na mnie siwymi oczami. Miały w sobie opiekuńczą i mądrą władczość, której poddawaliśmy się najzupełniej. Skronie przyprószone

siwizną. Drapieżność jak u „topografa”, tyle że skryta wiekiem. Wzruszył się. Ten pan i władca na Kudaku miał w twarzy gniew, a spod gniewu przebijało cierpienie.

— Nie możesz być lotnikiem. Bierz spadochron i jedź do swojej marynarki. — Podszedł bliżej. — Stało się nieszczęście. Będziesz marynarzem, to chyba najlepsze po lataniu.

Chciałem coś mówić, ale spazm zdławił mi krtań. Pragnąłem zapłakać.

— No, nie bądź babą — pokrzepiał mnie. — W zeszłym roku, kiedy „cywile” przyszwendali się na lotnisko w Dęblinie, dwóch oficerów palnęło sobie w łeb. Dziś wyjeżdżasz.

Sprężyłem się drętwo i wyszedłem.

Gdyby świat przewrócił się i przestał istnieć, byłoby to mniejszym nieszczęściem. Ale świat stał twardo i był bezlitosny. Spakowałem się w torturach. Spadochronu nie używałem jeszcze i nigdy już nie użyję.

Zdałem książki, samochód służbowy odwiózł mnie na stację. Do pociągu było jeszcze pięć godzin.

Wyszukałem pusty przedział, by nie razić ludzi. W opustoszałej z myśli głowie kołatało się jedno: za co mnie wyrzucili? Kochałem swój kraj miłością największą. Będąc małym chłopcem płakałem po lekcji historii nad głową Żółkiewskiego zatknietą na pice. Krzyczącego w śnie budził ojciec, a mnie jeszcze dochodził ryk Grunwaldu. Byłem w cizbie półnagich Litwinów, kłuli i rąbali sulicami, toporami... Teraz też byłem gotów bić się o mój kraj, choćby z całym światem. Ale prędzej zbombardowałbym Belweder niż Związek Radziecki, prędzej Wawel, niż bym podniósł rękę na polskich robotników. Byłem z parszywej Łodzi,

a stamtąd nie wolno brać do lotnictwa takich jak ja. Moja topografia miała być klasowa, nie sferyczna i nie tylko polska, miała objąć cały świat. Taka konieczność zdeterminowana życiem, jego prawami i wszystkimi przypadkami. Mój ciąg duchowy na pewno był jej największą siłą. Oto moje fatum, choć wtedy nic jeszcze o nim nie wiedziałem...

22

ALUŚ

— Długo nie wracają — powiedział ktoś.

— Mają zapasowe zbiorniki — odpowiedział drugi głosem mającym w sobie nadwieczorną ciszę po upalnym dniu.

Połamanym kręgiem leżeliśmy przy hangarze, na murawie lotniska. Z dalekiej szosy łagodnie przemykał czasami jęk samochodu a z pobliskiej zatoki senny poszum trzciny.

— Weź te swoje ułańskie nogi — usłyszeliśmy warknięcie Piotrusia.

— Żadna dziewczucha nie potrafi tak wygiąć się w kolanach do tyłu jak on — krztusił się śmiechem Jankowski.

— On je tak prostuje — tłumaczył Fuszer.

— Niech sobie prostuje, byle nie pod moim nosem.

Nagie torsy podniosły się z niepokojem młodych byczków. Warchołat odsunął się ze zboląłą wyniosłością na dwa wyciągnięte ramiona. Nie potrafił odciąć się i niewiele miał siły i odwagi. Pognębili go zupełnie i zostawili dopiero, kiedy miał twarz męczennika-kukły. Potem z uśmiechem wilczej chytryści spoglądali po sobie — kto następny?

— O, Staniszewski, opowie nam o swoim powodzeniu na urlopie — odezwał się Owsian.

Cały dywizjon wiedział o jego podbojach. Wszystkie „były bardzo eleganckie i bardzo inteligentne”. W szlachtetnym polocie przetwarzał je w mieszczańskie Dulcyneje.

23

— Która by chciała taką pokrakę jak ty. Odczep się — warknął Piotruś Staniszewski.

— Ba, warszawiak — wtrącił Fuszer. Piotruś gniewnie błysnął na niego oczami.

— „Były bardzo eleganckie i bardzo inteligentne”.

Wybuchnęliśmy śmiechem. To Warchołat znalazł swoją zemstę. Piotruś zbladł i uśmiechnął się. W jego mniemaniu ostatni prześladowca był tak nędzny, że nawet nie wypadało karać go przykładnie.

— Trochę bujasz z tym powodzeniem. Która ładna dziewczucha chciałaby takiego konusa jak ty? — powątpiewał Jankowski.

— A takiego cepa jak ty? Przymknij się, Jankowszczyk.

Jankowski uśmiechnął się znacząco, ale przymknął się. Należał do najmocniejszych w eskadrze. Ten poznaniak był najtęższym kpiarzem. Z Piotrusiem byłoby ryzyko. Mały, ale zwięzły jak tur, masyw o niezwykłej lekkości w ruchach.

— Bromski, poczęstuj miętówkami! — zawołał Fuszer.

— Nie mam. — Chciał coś mówić swoim zacinającym się basem, ale Jankowski przerwał mu łagodnie:

— Jak nie masz miętówek w ustach, to lepiej nie mów.

Wybuch stadnego śmiechu.

— Coś po tobie widać, że nawet miętówki niewiele ci pomagają u dziewczuch — mówił „sobie” Jankowski.

Wielkie, pryszczate chłopisko nienawistnie toczyło oczami. Miał jakąś wadę żołądka i bał się otwierać usta.

Znów wodzili po sobie z okrucieństwem w oczach.

— Patrzcie, jak Aluś ładnie się uśmiecha — zauważył Jankowski.

— Żebyście wiedzieli, jak do matów — odpowiedział znacząco Fuszer.

Aluś usiadł bliżej mnie i uśmiechnął się najłagodniej w świecie.

— Podlizuje się — wymówił Jankowski. Dożył się ryk oskarżenia. W naszym mniemaniu było to najgorsze świństwo.

— On się tak uśmiecha do wszystkich — wtrąciłem. — Nigdy nie prał matom łachów i nie nosił im zupy. Za co masz belkę na rękawie? Powiedz sam, Fuszer!

Zwykle przejawiałem więcej odwagi w czyjejś obronie niż własnej. Czekałem na najgorsze, ale wielkie chłopisko znalazło już następnego.

— Ale gorąco, zdjąłbyś bluzkę, Kukiel.

— Wisi na nim jak na kiju. Jak to to wzięli do marynarki? — dziwił się Jankowski.

Marynarska pierś była dla nas nie mniejszą dumą niż dla kobiet podniosły biust.

— Stul gębę, Jankowszczak! — zaperzył się Kukiel.

— Ze swoją kurzą pierśią weź się z Maksiem!

Ku największej ucieście wszystkich Maksio zbliżał się do niego w postawie zapaśniczej.

— Zjeżdżaj! — warknął groźnie Kukiel. — Co będę szarpał się z głupkiem — opędzał się przed śmiechem. — Weź się z Alusiem.

Maksio zadowolony, że już jeden boi się go, zawrócił do Alusia. Starał się chwycić go za łagodnie odpychającą dłoń. W każdej chwili mogło się to udać. Ból zaczął wykrzywiać dobry uśmiech Alusia.

25

— Masz silny kark, Maksiu, co? — zapytałem go.

— O, kark mam silny — naprężył go śmiesznie jak Warchołat nogi.

— To lepiej odejdz, bo ci go złamię.

— O, karku mi nikt nie zegn timer — odpowiedział głupawo. — No, chodź!

— Po kolacji, teraz jestem za słaby — roześmiałem się.

Ale Maksio czekał nieustępliwie. Podjudzany przez wszystkich, zbliżał się groźnie.

Owsian podniósł głowę jak żuraw.

— To pszczoły — zaśmiał się Jankowski.

— Nie. To nasze „chrabąszcze”. Nasłuchiwałem wszyscy. Słabe brzęczenie przechodziło w głośniejsze granie motorów.

— Wracają.

Poderwaliśmy się wszyscy i wolno sunęliśmy na nadbrzeże. Za półwyspem na niebie srebrny błysk pływaków. Dwa Ery rosły w oczach. Wodowały bez okrążenia. Podsadzaliśmy pod nie wózki, wyciągnęliśmy na brzeg i zatoczyliśmy pod hangar. Wytarliśmy je, napoili benzyną i olejem, wepchnęliśmy do środka. Nałożyliśmy koszule i Fuszer poprowadził nas dwójkami do koszar.

Morski Dywizjon Lotniczy w Pucku miał dwa Ery na kołach, z dziesięć na pływakach i trzy jakieś ciężkie, straszne monstra lecące sto kilometrów na godzinę przy silniejszym wietrze z czoła. To wszystko mogło być straszne dla ludożerców na Borneo, rynsztunkiem może dla Paragwajczyków, choć boję się, czy nie obrażam tego dzielnego narodu, lubiącego zabawę w wojnę. Czasami wpadała nam gazeta ze zdjęciami Heinkla, Stukasa czy Messerschmitta. Przyglądaliśmy

się drapieżnym sylwetkom i ból wykrzywiał nam gęby. Jankowski zawołał: „Nasze przy nich jak chrabąszcze!” i odtąd mówiliśmy: „nasze chrabąszcze.” Wychodzący z nich po lotach oficerowie mieli miny bohaterów. I skąd się u nich brało tyle dumy? Może ze wspaniałych uniformów, mających w sobie magię ornatu.

Elegancki lotnik, porucznik Balot, był tragiczny od przydługiego czekania na przemundurowanie w lotnikamarynarza. Ciemny granat miał wieczorową wytworność, złoty szamerunek, „glapę” z mieczów, czarny pas jak z koronki, ze złotą, ozdobną sprzączką i krótki kordzik — cacko nad cackami. Makowski, żelazny chorąży, przerażał nas i śmieszył jednocześnie, nie wiedzieliśmy, na co się zdecydować. Niedokrwisty porucznik Kwieciński był superbrytanem, z miną, jakby strzegł pięciu oceanów, ale że ich nie było, całą swą władzę roztoczył nad nami. Stawaliśmy przed nim na baczność o pół kilometra. Skąpy w słowach, za najmniejszą niedokładność w mundurze oddawał nas w ręce podoficerów. Bardzo łatwo można było mu się narazić miną, spojrzeniem. Dostrzegał najmniejszy okrucieństwo i umiał go zdusić.

Był też między nami jeden, nazywał się Fabianowicz. Wspaniałe zjawisko. Kruchy rodzaj ludzki rodzi czasem lwa. Wcale nie olbrzym. Trochę więcej niż średniego wzrostu, o kształtnych proporcjach, znamionujących siłę. Miał może tylko zbyt masywne kości obojczykowe i szczyty ramion, u nasady rąk. Pływał, ale nie lubił wody jak kot, raczej dla słońca chodził z nami kąpać się. Nogi jak kolumny dźwigały ciężki tors. Wspaniała muskulatura owita złotawą skórą, lśniąca zwierzęcą witalnością. Każdy ruch miał wrodzoną

zręczność. Nieomylny refleks pozwalał mu siłującym się z nim chwytać niespodziewanie w uścisk nie dający możliwości wyswobodzenia się. Potem, z dobrym uśmiechem rozwierał swoje kleszcze. Najsilniejsze, ogromne chłopiska, unikały takich zabaw z nim. Czasami natężony błysk jego ciemnoniebieskich oczu zdradzał niepojętą siłę. Był z innej gliny niż my. Zawsze pogodny i skory do śmiechu; samo istnienie dawało mu radość. Był przyjazny i uczynny. Lubiliśmy go bez żadnej zawiści. Roztaczał wokół siebie jakąś pewność, przy nim zapominało się, że świat jest nieprzyjazny. Podoficerowie trzymali się na odległość i zostawiali go w spokoju. Tylko on był wolny od ucisku porucznika Kwiecińskiego, gdy my wszyscy merdaliśmy ogonkami.

Aż raz zobaczyliśmy go okropnie styłanego w błocie, prał w umywalni robocze ubranie. W takim stanie wychodziliśmy po karnych ćwiczeniach z łap mata Schmidta. Spaliśmy, a Fabianowicz długo jeszcze czyścił oporządzenie i karabin. Po kilku dniach nie dostrzegliśmy go między nami przy porannym apelu. Dowiedzieliśmy się, że późnym wieczorem wracał z przepustki i natknął się na porucznika Kwiecińskiego w służbie oficera inspekcyjnego. Ten mówił coś do niego, ci ze zmiany przy bramce słyszeli tylko: „Mało jeszcze?” — i zaraz — „brać go!” Chcieli odprowadzić Fabianowicza, ale strząsnął ich z siebie. Potem, obwieszony ciałami, darł się do porucznika Kwiecińskiego. Ten cofnął się z pistoletem w dłoni i krzyknął: „Warta”. Z pobliskiej wartowni wyleciało z dziesięciu chłopów i z niemałym trudem obezwładnili Fabianowicza. Skutego i związanego jak biała odwieziono ciężarówką do więzienia.

Przed porucznikiem Kwiecińskim nadal merdaliśmy

ogonkami, ale już nie tak. Pragnęliśmy wojny, by w pierwszym starciu uderzyć w niego salwą. Czuliśmy obrzydzenie przy pucowaniu do połysku niemrawych gratów. Znajdowaliśmy dziecięcą radość w majstrowaniu kordzików z kawałka zwędzonej stali. Wszystkie gnaty z kotła, pasujące na oprawki, były już zamówione. W miasteczku wykupywaliśmy grzebienie rogowe, najróżniejsze ozdóbki z kolorowych mas i układaliśmy z nich miłe dla oka warstewki. Kordziki z wychyloną, pstrą rękojęścią nosiliśmy w lewej kieszeni spodni. Piotruś chodził z nim nawet po Warszawie jak oficer, kordzik dyndał mu na udzie. I my odbieraliśmy swoją porcję chwały na urlopach. Każdy był przynajmniej strzelcem pokładowym i choć raz posłużył się spadochronem. W najokrutniejszych sztormach pędziliśmy hydroplanami we współdziałaniu z flotą. Samym pojawieniem się odpędzaliśmy dziesięciokrotnie silniejszą flotę hitlerowską. Mówiąc prawdę wyrządzilibyśmy krzywdę uwielbiającym nas szczyrom lądowym z Poznania czy Łodzi.

A jednak byli to dobrzy chłopcy i z takim wyobrażeniem służby szli na ochotnika.

Nie byliśmy marynarzami ani lotnikami. Przez krótkie lato mieliśmy napad zwariowanych letniczek, bo Kaszubki nie dawały brać się na mundur. Dla nich byliśmy jakimiś przebierańcami. Wzdychaliśmy więc do końca służby; w moim roczniku nie było ani jednego kandydata na zupaka.

Najprzyjemniejsze chwile były po kolacji, kiedy odbijaliśmy jak najdalej od koszar.

Pędziłem z umywalni na łeb i szyję, ubierałem się jak podczas alarmu.

— Na służbę żebyście się tak spieszyli — wymawiał mat.

29

— Och, my też — udawał gorliwca Aluś.

— Aluś, „biustonosz!” — wołałem.

Odwracałem się do niego plecami i stawałem swobodnie. Z czuciem zawiązywał mi tasiemki, potem ja jemu. Chichotaliśmy przy tym trochę. Nie podobało nam się babskie zamocowanie kołnierzyka. Za to w spodniach bez rozporoka, noszonych bez paska, mocno opiętych w pasie, czuliśmy się lekko jak toreadorzy. Ostatnie spojrzenie na mundury. Poprawialiśmy najdrobniejsze szczegóły, by przedrzeć się przez sito wszytkowidzących oczu naszych władców.

Po odmeldowaniu się u podoficera służbowego wpadaliśmy w cug. Dopiero daleko za bramką zwalnialiśmy kroku i uśmiechaliśmy się. Tu już nie groziła nam dodatkowa praca, służba czy warta.

Ruszyliśmy. Odrzuciliśmy napiętą czujność ciągłego pilnowania się. Byliśmy wolni. Wypatrywaliśmy jeszcze oficerów, by minąć ich przykładnie. Z wyjątkiem Kwiecińskiego nie byli już straszni. Z radością przyjrzeliliśmy się pierwszej napotkanej kobiecie i pierwszym swobodnym cywilom.

— Chodźcie, funduję piwo — zaprosił gestem Piotr.

Jego stary miał dwie duże barki na Wiśle. My nigdy nie dostawaliśmy paczek, a żołądu nie starczało na proszek do zębów i Erdal.

Nie smakowało nam cierpkie piwo w knajpie u Budzisz, ale miny mieliśmy jak przystało. Tylko Piotr stał na rozwartych nogach jak na pokładzie. Niedbałym, ułożonym ruchem podnosił wielką bombę do ust. Nie spieszył się. Oddmuchiwał piankę, smakował i pił. Kupił paczkę dobrych

30

papierosów. Zapaliliśmy. Sam zwykle nie palił, ale przy piwie pasowało. Wydmuchnął wielki dym i skrzywił się.

— Strasznie w tym Pucku. Spojrzało na nas kilku zasmolonych rybaków kaszubskich. Przylegająca jadalnia była pusta.

— Dobrze byłoby w knajpie, gdzieś w Bordo czy w Barcelonie — wtrąciłem.

— Tam są tawerny — poprawił Piotr.

— Jak śpiewają, a jak tańczą z kastanietami...

— I każdy marynarz ma swoją dziewczynę. To jest życie!

— I każda jest bardzo elegancka i bardzo...

— Znowu zaczynasz, ślimaku?! — zgromił Alusia. — Chodź — zwrócił się do mnie. — Przygadamy Mery.

Była to roślina dziewczyna o słomianych włosach i słupkowatych nogach. Ślepią skrzyły jej się tak bardzo, że aż przechodziło nas mrowie, a z oficerów opadała godność.

— Najlepiej samemu. Tylko śmiało! — krzyknąłem za odchodzącym na czaty.

Z Alusiem skierowaliśmy się na brzeg. Długa promenada miała pustkę śmierci. Nagie drzewa koloru zardzewiałego żelastwa i trochę suchych liści na żywopłotach. Zatoka jak z ołowiu i takie niebo. Z wody tchnął przenikliwy ziąb. Spowiała nas mżawka, lepiąca się do mundurów. Postawiliśmy kołnierze kurt i zasadziliśmy ręce w kieszeniach. Ani śladu łodzi, ani głosu syreny, tak jakby statki nie istniały. Zeszliśmy na ścieżkę i brnęliśmy coraz dalej i dalej, jak dzieci uciekające z nielubianego domu. Zatrzymaliśmy się na wysokim brzegu pod Rewą. Wyprostowaliśmy się, strząsnęliśmy wodę z twarzy. Ogarnęło nas zwątpienie. Należało poddać się i wracać do koszar.

31

Kiedy wewnątrz ogarnęło nas zimno, zaczątek śmierci, powiedziałem:

— Pomyśl Aluś, teraz, w tej chwili, w południowych krajach jest ciepło, a przy równiku dużo słońca, zawsze gorące słońce.

— Przydałoby się trochę słońca. Myślę, że nie byłoby mi nigdy za gorąco.

— Na wyspach Pacyfiku żyją sobie dzikusy. Mają jadła w bród, mają piękne kobiety, zawsze chodzą nago i nigdy nie jest im zimno.

— Chciałbym być dzikusem — cieszył się Aluś.

— Tysiące statków żegluje po świecie. Mijają wyspy koralowe, na tych wyspach rosną palmy.

— Palmy... — westchnął Aluś.

— Na pewno jest teraz gdzieś straszny sztorm, tornado, cyklon czy najgorszy z nich tajfun. Załogi walczą o życie. Na pokładach wszystko zdruzgotane. Potem wszystko uspakaja się i z połamanymi masztami wpływają do portu.

— Można utopić się.

— Nie tak łatwo. Radio woła S-O-S. Żaden kapitan w najgorszy sztorm nie zawaha się skierować swojego statku na ratunek.

— Marynarze zawsze trzymają się razem — uśmiechnął się, jakby mówił o rodzinie.

— Są też pasy, szalupy. Tratwy nie toną, tylko trzeba trzymać się dobrze. A potem przesiada się na inny statek.

— Niektórzy topią się.

— Co, boisz się?

— Nie — strząsnął głową.

Mówiłem mu o cudach tropików, o egzotycznych ludziach, romantycznych Arabach, a Aluś słuchał. Nie widzieliśmy szarugi obumarłych pól i ponurej wody. Zaczęło ściemniać się. Na skórze grzbietów

32

czuliśmy zacinający deszcz. W końcu roześmialiśmy się głośno, zawracaliśmy.

Na rynku, pod okapem balkonu, zobaczyliśmy Piotra.

— No co? — zawołałem.

— Pojechała z błyszczącą nędzą, z oficerem na motocyklu.

— Też powinieneś sobie kupić — podmawiał Aluś.

— Jego razem z motocyklem. Zła ich mać! — Bluznął z hardością młodziutkiego burżuja.

— A Mery? — zaśmiał się Aluś.

— I ją też — odpowiedział z pewnością siebie.

— Chodź z nami! — zawołałem.

— Poczekajmy, będą wychodzić z kina.

Zostawiliśmy go samotnego na czatach i poszliśmy do koszar.

Zima pędziła w mokrych szarugach, potem cwałowała po lodzie w zamieciach. Stale pędzono mnie na warty. Miałem dużo roboty porządkowej. Chowałem się jak mogłem, ale zawsze byłem na widoku. Kiedy nie mogłem już wytrzymać, szedłem do kicia na ścisły. Wtedy, wieczorami, słyszałem głos Alusia: Jesteś? Odpowiadałem cicho i z prawej strony wpadały do blaszanego kosza owinięte w papier kromki chleba, kawałki kielbasy i kilka gazet, zwinięte w rolkę i przewiązane sznurkiem. — To od Piotrusia — mówił jeszcze i skakał z jego ramion.

— Trzymaj się, chłopie, aby do wiosny — wołał czasem Piotr, a Maksio stał na rogu, by wszystko było w porządku.

Były to jedne z najradośniejszych chwil i wiosna nie była już daleko, a z nią koniec służby. Wchodziłem więc na podstawiony pod okno taboret. Przekładałem rękę przez kratę, wyciągałem

z blachy znajomy drut i rozplatałem siatkę. Wybierałem drobne zawiniątka i zaplatałem siatkę na nowo. Najadałem się wtedy do syta i popijałem wodą. Na drugi dzień, od świtu, było czytanie. Nie mogłem pojąć odwagi Alusia. Zawsze był taki uległy, bał się na pewno, a jednak...

Wychodziłem z paki uspokojony. Chłopcy byli mi przyjaźni, tylko prymusi trzymali się z daleka. Twardniałem, ale w najgorszych chwilach uśmiech sam wciskał się na twarz.

Kiedyś przy raporcie kapitan Kołodziejczyk wbił swoje oczy w moje i jednym tchem wyrzucił jak odkrycie:

— Te twoje oczy, gdybyś mógł, spaliłbyś tu wszystko!

Nie mogłem nie uśmiechnąć się, ale odpowiedziałem spokojnie:

— Nie zrobiłbym tego, przecież to także moje!

Oficerowie spoglądali na mnie jak na parszywą narośl na ich szlachebnym posłannictwie narodowym. Patrzyłem prosto, nie byłem przecież gorszy od nich. Nie zrobiłem nic, czego mógłby wstydzić się mój ojciec. Wyrzucono mnie ze Szkoły Lotniczej, ale nie za złe latanie. To już była inna sprawa, która przyszła stamtąd z tajną opinią, o której wiedzieli wszyscy, choć nie mówili o niej między sobą.

Na spacerach chodziłem sam, czasem z Piotrem uganialiśmy się za Kaszubkami. Aluś ciągle był na hamowni przy remontach i generalnych próbach silników. Brał służbę, by nocą wkuwać mechanikę. — Zwariował chłop — kpił Piotr — przecież pocziwina nie nadaje się nawet na podoficera!

Aluś nie gniewał się, uśmiechał się i robił swoje. Zima schodziła topornie, aż w końcu zeszła.

34

Byliśmy na wylocie, z wielkiej radości łamał się pruski dryl i niektórzy z nas szli do paki.

Pod koniec marca, razem z Alusiem pełniłmy wartę przy prochowni w Swarzewie. Chodziłem z karabinem tam i z powrotem po wysokiej skarpie. Dniało już, gdy doszedł mnie szmer, to Aluś wychodził z wartowni. Podszedł blisko i powiedział:

— Dowódca zdrzemnął się.

Przytaknąłem znużonym ruchem głowy, wszystko dobrze.

Szedł wschodni powiew, z nim siarczysty mroziak. Uniosło się słońce, świetliste aż oślepiające. Wstawał ciepły, wiosenny dzień. W lekkim, suchym powietrzu była świeżość i radość. Przyglądaliśmy się w niemej zadumie, ale wewnątrz nas wszystko drgało.

— Jeszcze tylko tygodnie — wymówił Aluś.

— Tak — odpowiedziałem głośno, by przełamać zdziwienie.

Przy trzcinach w lodowatej wodzie rażno uwijały się kaczki. Z dala od nich nieruchome łabędzie w dostojnym zamyśleniu.

— Czy myślisz wracać do domu? — zapytał prawie szeptem.

— Po co, na tę bidę?

— Co myślisz robić?

— Zostanę w Gdyni i na statek.

— Myślisz, że dostaniesz się?

— Nie mam innej drogi.

— Ja też nie mam po co wracać. — Słowa z trudem przechodziły mu przez usta.

— Idziemy razem — rzuciłem głośno.

— Razem — powtórzył bez namysłu i najserdeczniejszy uśmiech rozlał mu się po twarzy. Ze Swarzewa wracaliśmy w słoneczne popołudnie

z marszowym śpiewem przy wtórze sosen. Chciwie oglądaliśmy wszystko przed ostatnim spojrzeniem, z radosną świadomością, że mamy całą dobę na odpoczynek.

Nie ukrywaliśmy naszego zamiaru. Do mnie zresztą pasowało wszystko nieobliczalne, ale Aluś... Tego nikt nie mógł pojąć. Wszyscy pragnęli tego samego, ale jak przejść granicę wielkiej wody? Za nią był nieznany, wielki świat, zmienny i wrogą. Zupełna samotność, zdanie się tylko na siebie. Wszyscy z eskadry, choć nie bardzo chcieli, wracali do domów, a tam — „jakoś to będzie”.

W połowie kwietnia wydano nam nasze zleżale i zatechłe cywilne ubrania. Przebieraliśmy się szybko. Każdy wyglądał, jakby wyszedł psu z gardła. Piotr w przysłanym, jasnym ubranku znowu poczuł się warszawiakiem. Tylko ci, co wysłużyli belki, nie pozbywali się mundurów. Ostatnia zbiórka. Kiedy patriotyczne pożegnanie dowódcy eskadry zaczynało się przeciągać, gdzieś z tyłu usłyszeliśmy Jankowskiego:

— Mamy dość tej zabawy.

Głośny śmiech i szybkie zakończenie.

Starannie zwijaliśmy z Alusiem przechodzące na naszą własność mundury, ułożyliśmy wszystko w brezentowych workach i spięliśmy kłódkami. Worki zarzuciliśmy na plecy i wśród radosnych pohukiwań wyszliśmy z koszar. Idąc z lotniska kapitan Kołodziejczyk uśmiechnął się znacząco.

— No, no, udało ci cię gładko — powiedział ze zdziwieniem.

Jawnym śmiechem przyznałem mu rację. Miałem przecież podzielić gorszy los.

— Szkoda Fabianowicza — rzuciłem otwarcie. Kapitan stężał, po chwili odszedł.

36

— Chodź szybko — pociągnął mnie Aluś. — Jeszcze cię zamkną.

Z worami na plecach skierowaliśmy się na stację wśród nieprzerwanego korowodu takich jak my cywilów. Mijani przechodnie po raz pierwszy nie wydawali nam się obcy, Kaszubki oglądały się za nami, a Mery z balkonu jarzyła się w uśmiechu. W ostatniej chwili wpadliśmy do pociągu.

Szybkość zawsze była moim żywiołem, ale teraz nie podobała mi się. Może w tym diabelskim pędzie lecę na swoją zagładę?

Pomykały stacyjki, zbliżała się Gdynia. Przerazała mnie jej wroga obcość. W wojsku miałem stu władców, ale było jadło, ciepłe legowisko i przyodziewek. Teraz byłem wolny od tego wszystkiego. Przerazała mnie taka wolność. W domu byłoby bardzo nędznie, ale byli ojciec i siostra, a z nimi strasznie miło. Byłby znów KZM, a może i partia, i więzienie jak u większości kolegów. Uciekałem od tego. Nie nadawałem się na bohatera. Świat z przeczytanych książek był piękny, pragnąłem obejrzeć go.

Aluś był uśmiechnięty, ufał mi, w ten sposób czułbym spojrzenie brata, gdybym go posiadał. Mogliśmy nie rozmawiać, czułem go w sobie. To ja namówiłem go przecież, opowiadając różne cuda. Nie mogę go zawieść, nie mogę powiedzieć, że się boję, że wracamy do domu.

Zaniósłem się głupim śmiechem.

— Co, co? — pytał Aluś.

— Myślałem o Piotrusiu — łgałem wstydliwie.

— Jutro będzie paradował w mundurku i z kordzikiem po Warszawie.

— Dobre chłopisko.

— Tak.

— Przydałby się nam Fabianowicz.

37

— Za duży zuch.

— Z nim można wszystko, byle nie na udry.

Byli przeciwieństwem. Fabianowicz porywał sobą wszystkich, Aluś zjednywał ludzi dobrą ustepliwością.

Na stacji w Gdyni hulał zimny wiatr. Włożyliśmy kurty i zostawiliśmy wory w przechowalni bagażu. Na ulicy pochłonał nas tłum. Ludzie zajęci sobą pędzili gdzieś. Przedarliśmy się do Świętojańskiej i w samym środku miasta zobaczyliśmy wysoką górę. Wdrapaliśmy się na nią, usiedliśmy. Trochę z prawej, jak na urągowisko, bieleły się zbytkiem jachty. Z przeciwnej strony elewator i mostki statków, wychylające się zza magazynów: czarna ciżba w chmurze pyłu, ładująca węgiel przy najbardziej wysuniętych nabrzeżach. Na redzie z dziesięć statków i jeszcze idące zza kosy Helu. Za nią tajemniczy horyzont, rzucający urok nie do odparcia.

— Tam są te kraje, o których mówiłeś — wyszeptał Aluś.

— Łatwo mówić, lecz jak przejść?

Aluś uśmiechnął się, jakby same słowa miały dla niego niemałą wartość.

Tuż pod nami duże miasto, tysiące białych domów, dla nas żadnego kąta.

— Ile masz pieniędzy? — zagadnął Aluś.

— Złoty i osiemdziesiąt groszy. Ostatni żołd. A ty?

— Pewno ze cztery złote. Latem moglibyśmy spać na plaży. Noce jeszcze zimne.

— Gdzieś tu jest Dom Marynarza.

Zbiegliśmy z góry. Od pierwszego, napotkanego oficera dowiedzieliśmy się, gdzie jest Dom. Znaleźliśmy. Błyszcząca emalia na drzwiach i oknach, udywaniony hol. Musimy być członkami Związku

38

Marynarzy, by móc zamieszkać — powiedział kierownik. Popędziliśmy do Związku. Przedstawiciel w okienku mówił, że wpierw musimy być na statku. Nawet do rezerwy nie może nas zapisać, i tak jest za duża — powiódł oczami po bandzie obszarpańców.

— Co możemy robić? — zapytałem naiwnie. Wzruszył obojętnie ramionami. Zawtórował mu wisielczy śmiech czekających na statki.

— Możecie zapisać się do Strzelca Morskiego — odezwał się ktoś z ponurym sarkazmem.

— U tych łamistrajków przyjmują wszystkich szczeniaków.

Aluś ciągnął mnie ku wyjściu. Nie chciałem uciekać.

— Nie jesteśmy z tych — odpowiedziałem. Podszedł do nas drab o złych oczach. Spodziewaliśmy się najgorszego.

— Sami musicie sobie znaleźć — mówił z twardą życzliwością. — Najlepiej na blindą. W obcych portach, o statek łatwo.

Po tej końskiej radzie wyszliśmy w przyjaznych uśmiechach. Byliśmy przerażeni tym, co nas czeka. Nie chciało nam się mówić o tym. Poszliśmy do portu.

Przy najbliższym nabrzeżu stał „Kraków”. Wzdłuż burty pełno łazików, spoglądali ostro uważnymi oczami zgłodniałych psów. Na trapie przehandlowaliśmy nasze kurty. Aluś za swoją, niemal nową, wziął trzydzieści złotych, ja za moją podniszczoną piętnaście. Weszło ściągnęliśmy je ze siebie. Nieśmiało wspomniałem o jedzeniu. Chłopcy przeciągnęli nas obok pilnującego Argusa i zaprowadzili do messy. Napychaliśmy do syta zimne mięso z obiadu. Pytano nas o mundurowe łachy z Marwoju. Lubili wełniane, błyszczące

39

sukno. Kazali jeszcze coś przynieść, a na drogę obdarowali konserwą rybną i kostką masła.

Wiatr przewiał swetry, zimno lizało po grzbietach, ale parzyło nas mięso w żołądkach. Pędziliśmy na kraniec miasta, aż pod las. W ostatnich kamieniczkach pytaliśmy stróżów o jaką budę. Zamiatająca baba zaprowadziła nas do maleńkiej rupieciarni w suterenie.

— Dziesięć złotych tygodniowo — powiedziała jak z łaski.

Ucieszyliśmy się, popędziliśmy po nasze wory. Wróciliśmy wieczorem. Po omacku zesliśmy do naszej nory. Absolutna ćma i zbutwiały smrodek. Pokazała się mielązgająca, maleńka naftówka.

— Naftę sami będziecie kupować — powiedziała babunia i odeszła.

Na posadzce worek i wsparty o ścianę stół na trzech nogach. Przystawiliśmy do niego dwie skrzynie ze spiętrzonego rumowiska, zjedliśmy konserwę. Z worów dobyliśmy zimową bieliznę, włożyliśmy na siebie i buchnęliśmy się na żelazne łóżko. Kilka słów na następny dzień. Kocyk nie grzał, ale nie było nam zimno. Przytuleni do siebie zapadliśmy w sen.

Trzymaliśmy się portu. Całymi dniami łaziliśmy od statku do statku. W kilku angielskich zdaniach pytałem, czy potrzebują kogoś na dek, do hotelowej czy do maszyny. Zawsze była odpowiedź — no. Jeśli gdzieś trzeba było jednego, zlatywało się stu. Zawsze za późno. Trafiali się jednak szczęściarze, potem tylko wieść niosła między nami, że taki a taki „Grek” czy „Skandynaw” zamustrował jednego czy dwóch.

W południe czyhaliśmy, by wdrzeć się na jakiś statek, ale kiedy marynarze wychodzili z messy, byliśmy spychani przez głodniejszych. Na czas

40

postoju każdego statku jakiś łazik opanowywał messę, robił bakszaft za żarcie, a drugie tyle wynosił wieczorem. Jeśli był pracowity, sprzątał załogowe kabiny za „amerykany”, potem łatwo opylał je każdemu przyzwoicie ubranemu. Bardzo ceniliśmy to zajęcie i często wynikały bójkі o nie. Czasami policja pędziła nas, robiła obławę, ale pierzchaliśmy sprytnie, rozłaziliśmy się jak wszy.

Któregoś dnia spotkaliśmy Brandta, mego znajomego i krajana z Łodzi. Był bez statku, ale przyzwoicie ubrany i z czarną Cymą na ręku. Opowiedziałem mu o naszych staraniach. Przyznał, że tu beznadziejnie. Za dużo kundów. Radził Gdańsk — przez tę dziurę można przeleźć. Zapytał, czy nie jesteśmy głodni. Zaśmialiśmy się — dawne czasy, kiedy nie byliśmy głodni. Pociągnął nas na najbliższego „Szweda”. Z największą swobodą szedł pierwszy po trapie, my za nim. Wachtującego Argusa zupełnie nie zauważył. Pozdrowił i zagadał po angielsku przechodzącego po pokładzie szturmana. Obaj wybuchnęli śmiechem. Jak przedstawiciel Kompanii wyminął Argusa z gestem pozorującym chwytanie, dokumentu w kieszeni. Skinął na nas, szliśmy za nim na rufę. W messie podpitym chłopakom rzucił familiarne pozdrowienie w ich języku z wylewą słów, już klepali się po plecach.

Rozsiadł się i mówił do nich, przeplatał niemieckim, angielskim, o wódce i dziewczynach. Na stole pojawił się obiadowy poczęstunek. Odsunął go dla nas z zachętą: — Wpieprzajcie. — Przyniesiono dla wszystkich. Jak z łaski jął się jedzenia i mówił z pełnymi ustami. Oglądał zegarki na rękach Szwedów i doradzał, za ile mają sprzedać, by nie dać się wystrychnąć na dudka. Kiedy podjedliśmy dobrze, powstał. Umówił się

41

jeszcze ze Szwedami na popijawę w knajpie. Wyszedł, za nim my. Przy magazynie zaśmiał się serdecznie i pożegnał nas.

Spoglądaliśmy za nim jak dwie sieroty. Spotykaliśmy go jeszcze, ale nie czepialiśmy się. Na pewno miał ważniejsze sprawy — kupował, sprzedawał, może waluta? Był arcyłazikiem. My z chłopską jednoznacznością chcieliśmy tylko na statek.

Najczęściej były dni, że od śniadania do wieczora nie mieliśmy nic w ustach. Kupowaliśmy kilogram najczarniejszego chleba, górę świeżych, wędzonych szprot i robiliśmy sobie biesiadę na plaży. Pokazywały się gwiazdy, morze podchodziło do samych stóp. Marzyliśmy o portach, gdzie łatwo o statki, o szczęśliwych krajach, gdzie nigdy nie jest zimno.

Do naszej nory szliśmy niechętnie. Gdyby choć raz weszła do niej ładna dziewczyna, ileż zostawiłaby po sobie uroku i ciepła! Kiedyś, wieczorem, byliśmy w knajpie u Piątka, nawet samotne dziwki nie dostrzegały nas. Wiedziały doskonale, że stać nas tylko na małe piwo. Mieliśmy zupełną swobodę także od najgorszych ulicznych z Świętojańskiej. Przyzwoite i ładne dziewczyny były w odległości gwiazd.

Poszło drugie dziesięć złotych za budę. Byliśmy coraz bardziej głodni i brudni, a woda w morzu ciągle jak lód. Dwa razy skoczyliśmy do Gdańska. Legitymowała nas tamtejsza policja, a szczeniaki w mundurach Hitlerjugend urządzały sobie drwiny. Na pewno rzucaliśmy sobą wyraźny cień na tamtejszą zamożność. Nasuwała się myśl o blindzie, wychodziły nieśmiałe słowa. Statek był dla nas rzeczą nieznaną, nie umieliśmy nawet porządnie

42

chodzić po nim. Jedno było pewne: legalnie nie zamustrujemy.

Wśród łazików gruchnęła wieść, że za dwa dni przychodzi „Batory” z amerykańskimi pasażerami. Mówiono o milionerskich tipsach i o tym jak dostać się na statek.

Popędziliśmy do Związku Marynarzy. Znajomi z poprzedniego pobytu uśmiechali się z cierpką ironią.

— Co, w Strzelcu Morskim nie chcieli was przyjąć? — zapytał chudzielec z gębą pełną śmiechu.

— Nie chcieli. Czemu ty nie idziesz? — odciąłem się.

Odezwał się śmiech, i nie wrogi.

— Trochę zbidnieliście — powiedział drugi.

— Wy też nie wyglądacie na burżujów.

Głośniejszy śmiech z odrobiną zdziwienia.

Odeszła mnie już poprzednia nieśmiałość. Czuję się jednym z nich, chociaż patrzyli na nas z góry. Byli związkowcami, w końcu muszą zamustrować, choć teraz wiodło im się niewiele lepiej niż nam.

Przy okienku zapisywano na dejmankę. Kiedy odszedł ostatni szczęśliwiec, podsunęliśmy się, by usłyszeć:

— Już nie ma miejsc.

Spojrzałem po twarzach naszych wesołych prześladowców.

— Zapisz ich, zapisz — odezwali się głośno.

Związkowiec z okienka zażądał dowodów osobistych i wciągnął nas na listę.

Wypadliśmy na ulicę radośni jak nigdy.

Niedobrze działało się z moim żołądkiem. Posiłki tkwiły w nim nie dłużej niż pięć minut. Straszny kłopot. Przestałem jeść, aby się go pozbyć. Piłem

43

trochę herbaty. Dotąd niewiele na to zważałem, ale teraz czekała mnie praca.

W mgliste rano zobaczyliśmy „Batorego”. Jakaś niepojęta kamienica-pałac. Czuliśmy tchnienie oceanów i szczęśliwych krajów. Pasażerowie tryskali rosą z wszystkich porów, chrzęścili elegancją. Przy podziale zostałem skierowany do luku. Układaliśmy bagaż na grubą sieć, ustępowaliśmy na boki i patrzyliśmy, jak cały hiw idzie w górę. Zjeżdżał z oczu i z dudnieniem windy opadał na nadbrzeże. Zazdrościliśmy szczęśliwcom pracującym tam, kieszenie na pewno pęczniały im od tipsów.

Rozkładaliśmy opadającą sieć i znów ładowaliśmy skórzane walizki, otapetowane nalepkami hoteli z egzotycznych miast, brezentowe wory z solidnym zamknięciem. Zataczałem się pod nimi. Najcięższe były metalowe kufry. Chwytałem je we dwóch. Zawsze zbierałem wszystkie siły, by nie upaść pod uchwytem.

Podczas obiadu w messie załogowej z zazdrością spoglądałem na opychających się kolegów. Zjadłem trochę zupy z chlebem, potem ciągle musiałem wylazić na górę, aż zawołano z luku, bym już nie schodził do nich. Wziąłem szczotkę i zamiatiałem pokład. Często zachodziłem do messy. Ostrożnie podjadałem biszkopty z paroma łykami herbaty. Nie było to groźne...

Nareszcie koniec pracy. Aluś miał w kieszeni cztery zielone dolarowe papierki. Radość, jakby to był skarb. Potem legowisko przyjemne ciepłe, tylko lepka wilgoć i zbutwiały zapach nie do zniesienia.

Nazajutrz nastąpiła zmiana. Z luku poszliśmy na nabrzeże. Wyjmowaliśmy bagaż z sieci. Pasażerowie wskazywali swoją własność. Asystent

ochmistrza skreślał z listy i któryś z nas dygał ciężar do limuzyny, taksówki czy bagażówki. Brał coś w łapę i pędził po nowy kurs. Wszyscy byli niesamowicie czujni i chętni. Czasami jedną walizkę chwytano dwóch. Ustępował słabszy, bojąc się bójki po robocie. Ustanawiana kolejka ciągle była łamana. Nie podobało mi się takie marynarstwo. Najchętniej dygano walizki pięknym kobietom. Były trochę zawstydzone i bardzo hojne. Wydawało mi się to najbardziej upokarzające. Jakieś haniebne, zupełne oddzielenie od nich. Tu chociaż nie pędzono mnie, zadowoleni byli z mojego frajerstwa. Byłem słaby, ledwo dźwigałem swój cień. Po skończonej pracy Aluś wyszedł z luku i zapytał mnie:

— Ile masz?

— Nic.

Uśmiechnął się bez wyrzutu.

Pobraliśmy po dziesięć złotych za dwie dniówki. Po raz pierwszy od dwóch tygodni wymyliśmy się porządnie pod prysznicem na statku. Włożyliśmy przyniesione z sobą czyste zmiany bielizny i ubraliśmy się. Aluś podjadł w messie załogowej, ja zwędziłem kilka paczek biszkoptów i poszliśmy pomarzyć na plażę. Jednak zaczął padać deszcz, musieliśmy zmykać.

I znów łaziliśmy po porcie. Robiło się coraz ciaśniej. Policjanci zaczęli nas legitymować i zapisywać w notesach. Przyszły deszcze i straszny ziąb.

Późnym wieczorem zziajani wpadliśmy biegiem do naszej nory. Byliśmy przemoknięci aż do grzbietu. Alusiowi udało się zapalić naftówkę. Trochę burawego światła, czarne ściany i my — oślizłe szczury portowe. Zrzuciliśmy z siebie wszystko, wciągnęliśmy wełniane ubrania mundurowe.

Ulewa biła kaskadami o chodnik i zaciniała w okienko szczytem wychylające się nad ziemię. Za szybą gromadziła się woda i spływała strumieniami do środka. Położyliśmy kilka paczek na ubitej ziemi, na nich nasze worki, usiedliśmy na łóżku.

— Pozostał nam tylko blind — wymówiłem.

— To blind — głucho powtórzył Aluś.

— Nie mam odwagi.

Aluś spoglądał pytająco. Od pewnego czasu nasuwała mi się myśl, będąca jakby wyjściem z naszej beznadziejności. Nie wierzyłem w powodzenie, ale obolała głowa chwyciła, co mogła.

— Od dwóch lat nasza „Polonia” wozi Żydów z Rumunii do Palestyny. Nie przychodzi tu wcale. Pracuje na niej dużo obcokrajowców. Kompania nie posyła ludzi, za dużo kosztuje przejazd. W Konstancy zamustrowalibyśmy na pewno.

— Daleko to?

— Z półtora tysiąca kilometrów. Aluś szeroko otworzył oczy.

— To cholerne zimno od morza może tak trwać aż do lata i całe lato też. Jest już maj. Będziemy ciągle szli na południe, coraz więcej słońca. Rumunia to jak południowy kraj, tam rośnie wino.

Aluś jak zawsze, uśmiechał się słuchając moich majaków.

— To pójdziemy?

— Pójdziemy — odpowiedział wesoło.

— I pomyśleć, że tu mamy statki pod nosem — zaśmiałem się cierpko.

— No co, skoro nie można... — bronił mnie.

Zrobiło nam się weselej, pozbyliśmy się koszmaru czekającego nas blindu. W naszych rodzinach wielka woda zawsze była daleka, obca i wroga. Wstąpiła w nas radość wędrówki po twardej,

dobrej ziemi. Tkwił w nas jeszcze mocno atawizm przodków, w hordach deptających kontynenty. Nie słyszeliśmy ulewy bijącej o chodnik. Przed zaśnięciem mówiłem jeszcze Alusiowi, że nareszcie napijemy się wina, mówiłem o białym chlebie i o ludziach, podobnych do Rzymian.

W biurze angażowania załóg GAL-u urzędnik podający adres Polskiego Domu Marynarza w Konstancy odezwał się:

— A na co to wam?

— Idziemy tam — odpowiedziałem.

— Koleją?

— Pieszko.

— Nogi wam w dupę wejdą — zagrzmiał jakiś ciężki zejman. Zawtórował mu chłoszczący rechot innych.

Uciekliśmy w deszcz przed nie bardzo przyjaznymi kolegami. Pogoda nie sprzyjała pochodowi. Aluś chciał chociaż trochę oddalić się stąd kolejną. Zaśmiałem się — świat mi pojaśniał.

— Zapiszemy się do Junaków! — wykrzyknąłem.

— Po co?

— W Sandomierzu wałują Wisłę. Aluś ciągle nie kapował.

— Chodzi o kolej. To po drodze, a później dalej.

— To jazda.

Na pobliskiej poczcie znalazłem w książce telefonicznej adres biura werbunkowego obozów pracy. Poszło nam gładko, podpisaliśmy odpowiednie deklaracje. Mieliśmy do wyboru, podróż koleją lub statkiem „Vistula”. Wybraliśmy statek.

Sposobiliśmy się szybko. Krawiec obciął nam ogromne kołnierze bluzek mundurowych i przerobił na normalne. Na piersiach wszył zamki błyskawiczne. Na polskich statkach sprzedaliśmy

wszystko, co tylko było można, wraz z marynarskimi workami. Robiliśmy to w różnych porach, by zawsze trafić na wyżerkę. Ostatniego ranka ogoliliśmy brody, założyliśmy spodenki (do diabła z gaciami!), marynarskie koszule, spodnie, swetry, wiatrówki przerobione z bluz, czyste wełniane skarpety i buty wyjściowe z fasunku. Resztę łachów zostawiliśmy i lekko, z wolnymi rękami opuściliśmy norę.

Podobał nam się biały statek przy nabrzeżu w Gdańsku; gdyby nie ogromne, niemrawe koła wyglądałby przyzwoicie. Był tu bar, można było zamówić przyzwoity obiad, choć to wydawało nam się bardzo drogie. Z pożyczoną z kuchni bańką skoczyliśmy po zakupy. Kilka bochnów razowca, kostka masła i pięć litrów mleka, to było najdoskonalsze jadlo na pochód. Wieczorem weszło kilkunastu pasażerów, pobrano ostatnie partie ładunku. Zaczęły się obracać ogromne koła jak w jakim pływającym młynie. Ruszyliśmy na południe.

Przysiedliśmy z Alusiem na występie nadbudówek śródkręcia. Blaszana ściana chroniła przed zacinającym deszczem z zachodu i grzała plecy ciepłem z kotłowni. Kilka elektrycznych lampek na pokładzie, jak dla dekoracji. Pełzały w czerni światła pojedynczych domów, wsi, miasteczek. Z brzegów dochodziły głosy ludzkie. Wszystko łagodnie sunęło obok nas, a my siedzieliśmy i wygrzewaliśmy się jak koty. Kiedy napatrzyliśmy się do syta, zeszliśmy do naszych koi, suchych, z miękkimi, puszystymi kocami — po dwa w każdej. Najczystsze powietrze i spokój jak na wsi, ze ściszonego odgłosem zaczarowanego młyna. Mieszał się sen z jawą, aż w końcu pozostał tylko sen. Zbudziłem się z jasną głową. Czułem w sobie

wzbierającą krzepkość. Zniknął prawie trzytygodniowy koszmar Gdyni. Aluś siedział już na swojej koi i spoglądał na promiennie złoty snop, wciskający się przez bulaj. Zaśmialiśmy się do siebie, wskoczyliśmy w spodnie. Na pokładzie ciepłe słońce, rzeka, pola, cały świat w słońcu. Od wydającego obiad kucharza pożyczaliśmy mydło. Kubłem na lince czerpaliśmy wodę zza burty, myliśmy się kolejno i wzajemnie oblewaliśmy sobie grzbiety. Ręcznik, słońce i wiatr. Na gołe skóry wciągnęliśmy granatowe swetry z fasunku, wysoko podwinęliśmy rękawy i wzięliśmy się do przepierki koszul i spodenek. Rozwiesiliśmy je i przywiązaliśmy do relingu na rufowej nadbudówce.

Aluś przyniósł prowiant. Rozsiedliśmy się zwróceniem do siebie, na szerokiej, stałej ławie, w środku, na białym papierze nasz pochodowy wikt. Dobyliśmy marynarskich sprężynowych noży. Krajaliśmy razowiec, smarowali masłem, jedliśmy i popijali mlekiem z litrowej butelki. Gospodarskie spojrzenia na suszący się przyodzievek. Soczysta zieleń pól na brzegach. Pasażerowie byli już po obiedzie — dobre samopoczucie przyzwoitych turystów. Trochę zdziwieni, że nie skrywamy naszego bogactwa. Uprzątnęliśmy stół i rozparliśmy się wygodnie na oparciu. Sytość i ciepło. Zaduma czekającej nas drogi i miny, jakbyśmy płynęli do Ameryki. Gdyby wiedzieli, co z nas za ptaszki... Porozumiewawczo dzieliliśmy się z Alusiem nikłymi uśmiechami — czym to się skończy? Dodawaliśmy sobie otuchy, zapadaliśmy w drzemkę.

Nocami przystanie były zupełnie puste. We dnie — pełne ciekawych dzieci. Witały nas i żegnały radosnymi wybuchami. Statek był dla nich

interesującą zabawką. Podrosłe pędraki brały się do zrzucania cum, potem biegli na wyścigi ze statkiem. Nikły głosy i zacierały się wyciągnięte do nas ręce.

W pobliskim sklepiku we Włocławku Aluś kupił okazały krąg kielbasy. Pochłanialiśmy ją w uniesieniu, jak prawdziwe tatarskie mięso spod siodła.

— Jak twój żołądek? — pytał troskliwie Aluś.

— Zapomniałem o nim.

Z pełnymi ustami, z łechcącą w gardle śliną wybuchnęliśmy śmiechem. Trochę zdrowego powietrza, słońca, radości — i byłem zdrów. Podświadomie zbierałem psychiczne siły na długą drogę.

Do Warszawy przybyliśmy rankiem. Na twarzach załogi znużenie i wyzwolenie z napięcia. Mieli za sobą prawie pół Wisły.

— Długo postoiemy, panie szyper? — zawołałem?

— Póki nie załadujemy — odpowiedział z mostku i spojrzał na nabrzeże zavalone ładunkiem.

— Do wieczora?

— Tak będzie.

Popływaliśmy trochę. Pod prąd nic nie mogliśmy działać. Porywał nas z miejsca, poddawaliśmy się i wpadaliśmy w prawdziwy bieg. Do statku wróciliśmy pieszo. Z wielkiego miasta, jak z ula dochodził szum.

— Może zwiedzilibyśmy stolicę — spytałem.

— Możemy.

Ubraliśmy się szybko i ruszyliśmy.

Najbardziej zadziwiał nas most. Kawał dobrej roboty, przypominający port. Ludzie kręcili się zwawo. Bogatsi mieli dostojne i ważne miny, biedniejsi jakąś skorość do drwiącego śmiechu.

50

Nie byliśmy podobni ani do jednych, ani do drugich i trochę było nam obco. Zacząłem zastanawiać się:

— Może spróbujemy postarać się o paszporty zagraniczne?

— Możemy.

W poszukiwaniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych pomogli nam usłużni ludzie. Sycili nas otuchą; skoro wszyscy są tu tacy, będzie dobrze. A jednak zmroził nas wspaniały gmach i mundurowy woźny przy szklanych wieżejach. Z miejsca obciął, że nie pasujemy do tego urzędu. Już przy wymijaniu jakby chciał nas zatrzymać; wszedł za nami i nie spuszczał nas z oczu.

— Chodź i nie oglądaj się — wymówiłem cicho do odstającego Alusia.

Przechodząca starsza pani z miną panującej hrabiny na zapytanie o wydział paszportowy wskazała ruchem głowy następne drzwi.

Za szlifowanym szkłem litery długich napisów. Zadrżeliśmy, jak drży obłaskawiony mieszczuch przed tabliczką „Zły pies”. Na taki wypadek znaleźlibyśmy sobie dobre kije, ale tu była siedzi-
ba lwa. Mój ojciec przez całe życie nie był w urzędzie. Był Bóg i jego posłaniec, ksiądz. Urzędnik był wcieleniem czarta. Być tu znaczy-
łoby dla ojca tyle, co popełnić śmiertelny grzech. Wierzyłem w grzechy śmiertelne tylko wobec lu-
dzi. Czułem się jednak jak przestępca. Zawsty-
dzony, jakbym miał popełnić coś bardzo brzyd-
kiego.

Aluś oglądał się, czy woźni nie lecą po nas. —
Śmiało! — wyleciał ze mnie głos. Jemu
przytakująco drgnęła broda. Nacisnąłem
klamkę, weszliśmy do środka. Za ciężkim,
przestrzennym biurkiem starszy pan

o zmęczonej twarzy przeglądał papiery, urzędniczka, jak z filmu, pochylona i uśmiechnięta mówiła coś do niego. Wielki, udywaniony pokój, na ścianach olejne portrety władczych głów. Ogromna, ozdobna szafa i kilka wymyślnych krzeseł przy drzwiach. Staliśmy. Aluś spoglądał na wszystko z pokorą jak w kościele. Pomyślałem, że będzie najlepiej, jeśli wszystko to powiem najważniejszej osobie.

— Proszę — usłyszeliśmy starszego pana. Pociągnąłem Alusia, podeszliśmy bliżej.

— Chcieliśmy widzieć się z panem naczelnikiem
— wymówiłem jednym tchem.

— Dziś to niemożliwe. — Matowy, zimny głos.

— Dlaczego niemożliwe? Starszy pan drgnął.

— Ma już wyznaczonych petentów, potem konferencja.

Mówiłem, że jesteśmy przejazdem, że nie mamy gdzie się zatrzymać.

— A panowie w jakiej sprawie?

— My do pana naczelnika — jak tylko mogłem wysiłałem się, by go przekonać.

— Wszystkie sprawy przechodzą przez moje ręce.

Nabrałem tchu i zacząłem mówić o naszych zamiarach. Niebywałe zdziwienie, potęgujące się z moimi wywodami. Filmowa diwa wybiegła dusząc się ze śmiechu. Szybko wróciła, nie chciała stracić ciągnącej się opowieści. Za nią jeszcze jedna ślicznotka i dwóch młodzieńców. Otoczyli nas kołem. Diwa nie straciła wiele, jeszcze nie byłem w połowie. Nowi przybysze mieli ucieszne miny, jakby znali dobrze pierwszą połowę opowieści. Nie podobał mi się narastający śmiech

52

i oczy kłujące drwiną. Aluś poczerwieniał czystym wstydem, ja z oburzenia.

— Zajmujące — wyszeptał jeden z młodzieńców.

— Niemożliwe. — Głos zza biurka: — Gdybyście mieli zapotrzebowanie na tę „Polonię”, podanie, kilka załączników, jeszcze trzeba by trochę poczekać. Tak jest niemożliwe.

— Gdybyście chcieli, dalibyście w drodze wyjątku — natarłem.

— To uprościłoby genialnie naszą pracę — wymówił drugi młodzian.

— Jedna osoba mogłaby pełnić cały urząd. — odpowiedział starszy pan.

— Wspaniale! Wybralibyśmy się z nimi na wędrówkę — zaśmiała się nowo przybyła ślicznotka.

— Najbardziej odpowiadał by im paszport turystyczny — głos pierwszego młodzieńca. Po chwili wesołości głos starszego pana:

— Cóż, nie opłacą...

— Nie chcecie, dlatego nie wydacie! — cisnąłem.

— Nie możemy wywracać całego urzędu... — bronił się starszy pan.

Nie mogłem znieść drwiny. W pierwszym porywie chciałem skłąć ten nieludzki urząd, wtedy można by wyjść.

— Nie wydacie, bo nie chcecie — powiedziałem głośno. — Obejdzie się bez waszych paszportów. Z Haify przyślemy wam pocztówkę.

— Dobrej drogi — kończył przyjęcie starszy pan. Spojrzałem na niego spode łba.

— Chodź, Aluś — Ruszyliśmy ku drzwiom.

— Niech się wam powiedzie! — dobiegł nas głos ślicznotki.

53

Odwróciłem głowę, podziękowałem jej uśmiechem.

Na ulicy Aluś zaczął głęboko oddychać jak po wielkim wysiłku. Mnie napadł zły śmiech.

— Aluś, musi nam się udać.

Mocno czułem ziemię pod stopami — na co mi urzędy. Pragnąłem tylko zniszczyć ich drwinę i stłumić śmiech. Nie miałem drobiny wątpliwości, że może być inaczej. Byłem rozjątrzony, aż drgałem.

— Chcą, byśmy byli miejscowymi wołkami do pracy. Ale my takimi nie będziemy, Aluś.

Jawiła mi się granica i my, czający się w chaszczach. Obok wilcy-bracia, z nami wymijający stanicę.

— Wilczo, Aluś, tylko wilczo — wyszczekałem.

Błysnął białymi zębami, był wzburzony nie mniej ode mnie.

Szybko pędziliśmy na kołowiec.

Zakrzątnęliśmy się z zakupem prowiantu. Wieczorem przystań zamrowiała się ludźmi. Rozdźwięczała śmiechem, słowami, wołaniem. Im więcej wylewało się ludzkiej troski, przyjaźni, czułości, tym bardziej cisnęła nas pustka i samotność. Zrywaliśmy z tymi ludźmi, z całym ułożonym życiem w tym kraju. Odrzuciliśmy ciepło naszych rodzin, zostawiliśmy je z całą ich nędzą, grajdającą się w kółko na piędzi błota. Szliśmy szukać więcej jada, uciekaliśmy przed zimą, a także by obejrzeć uroki świata.

Koła zaczęły dudnić, zostawiliśmy podnieconą przystań.

— Jak długo jeszcze do Sandomierza? — pytał Aluś, jakby chciał to wszystko zostawić poza sobą.

— Za dwa, trzy dni.

54

Siedzieliśmy obok siebie, bark przy barku. Wszystko inne było obce.

Nasz młynek sapał parą i młócił czarny gościniec Wisły, rozświetlony po brzegach. Sunął w coraz czarniejszą ćmę. Długo jeszcze miasto biło w niebo łuną światła. Miasteczka, wsie aż w końcu zostały tylko światła boi, mniejsze od zapalek. Pokład coraz bardziej pustoszał, my zeszliśmy do koi.

Odtąd jakby miało być tylko słońce. Cały pokład to biwak pokładających się ciał. Mężczyźni rozbierali się do spodenek. Kobiety na bosaka, dziewczyny wkładały najlżejsze bluzki i podciągały sukienki.

Na rufie zrobiliśmy sobie z Alusiem legowisko na rozłożonych portkach i wiatrówkach. Niskopienny las wiklin aż błyskał młodą zielenią, drażnił nos wzbierającymi sokami. Lśniące łachy ślepiły jak śnieg, nad nimi drgające żarem powietrze. Na wąskich psychówkach rybacy w zgrzebnych koszulach podbierali węcierze, bardziej podobni rolnikom na chwilę odrywającym się od roli. Szum opadającej wody z kół, muzyka ciszy. Żadnej chwiejby.

Zaczarowany młynek płynął jak dywanik. Słońce dogrzewało, że aż parzył goły pokład. Młodzi chłopcy oblewali się kubłami wody. Wykąpać się! Niemożność kąpieli śmiesznie mnie irytowała. Z leżącej buchy wziąłem koniec niegrubej liny, opasałem się pod pachami i zawiązałem na pierśsiach w nieobsuwający się węzeł. Na końcu rufy przelazłem przez reling. Aluś wolno popuszczał linę, aż znalazłem się w wartkim prądzie, jakiego nie zna żadna rzeka. Nie obawiałem się, że lina połamie mi zebra. Nasz młynek nie znał nawet szybkości ryby.

55

— Wypuść wszystko! — zawołałem.

Odstałem o jakie pięćdziesiąt metrów. Nie było zupełnej swobody pływania, ale była radość prądu. Woda obmywała mnie jak górski potok, cisnęła, ssała, rzeźwiła ostrym chłodem. Barki pomagały jak stateczniki, sterowałem nogami. Brzegi wydały mi się bardzo wysokie. Byłem sam. Coraz bardziej przenikał mnie chłód.

— Ciągnij, Aluś! — zawołałem.

Zobaczyłem go, jak wybierał linę. Ktoś mu pomagał, nie było lekko. Kiedy moje stery nie działały sprawnie, Skręcało mną. Szybkie szusy i znalazłem się przy rufie. Pierwszy pręt relingu i wyskoczyłem na pokład. Szyper pogroził mi z mostku. Dobrze ochłodzony ległem na pokładzie, nasiąkałem ciepłem, aż zasnąłem.

Przebudziłem się wyspany jak dzikus. Aluś ubrany już, siedział przy mnie. Drzewa nabrzeżne przesłoniły słońce. Z ziemi napływał mrok. Ubrałem się. Podjedliśmy kiełbasy z chlebem. Na rzece zabłysły boje. Z wikliny zanosił się pierwszy słowik. Narastała noc i trele z brzegów. Gwizdy i klaskania milsze od fletów. Rozbrzmiewały całe chóry. Niepojęte szaleństwo małych istnień, ich miłości. Odpływały, przyływały nowe.

Ogarniał nas kojący smutek, dający najcichszą, najczystsza radość. Był mądrością. Tak mało potrzeba, by być szczęśliwym. Gdy mówią słowiki — ludzie milkną. Wtulone w siebie pary, owinięte pledami, urzeczony zachwytem. Westchnienia, cichutki, krótki śmiech, szczęście. Z prądem przeleciał idący blisko statek. Zaszumiał pędem, jazgotliwą muzyką z płyt. Rozświetlony, z tańczącą cizbą na pokładzie. Oddalili się szybko i znów podniosły się brzegowe chóry. Przenieśliśmy się

56

z Alusiem na szeroką ławę. Pólsen i trele. Na wschodzie czerwieniało niebo. Ogarniało nas znużenie, a śpiewacy nie milkli. Zabraliśmy się do koi, by odespać bezsenną, słowiczą noc.

Znów słońce. Senna młódź i wyspani, ruchliwi staruszkowie. Pośrodku nurtu psychówka i baba sygnalizująca chustką. Koła stają, kontrują. Chłop sprawnie odpycha się drągiem od dna. Hoża, gruba baba chwyta za reling, przełazi zręcznie i krzyczy:

— Ostrożnie z jajami!

Śmieje się i chwyta podawane lekko duże kosze. Zauroczona spogląda na oddalającego się w łodzi chłopca. Sadowi się swobodnie jak kwoka.

Pasące się krowy podnoszą głowy, przyglądają się statkowi obojętnie. Jedną z nich, zażywającą kąpieli, ledwo wyminęliśmy przy śmiesznym oburzeniu szypra.

Kąpię się na linie. Innym podoba się to, ale nie próbują. Na pokładzie biwak rozgrzanych ciał.

Naraz maleńki wstrząs, siedzimy na mieliźnie. Marynarze biorą się do ogromnych drągów. Przywieramy z Alusiem do jednego z nich i napieramy całym ciężarem ciała. Manewrowanie kołami, sterem, w końcu schodzimy w uciesznej wrzawie wszystkich. Ze sterówki przelatującej barki wylatuje chłopak.

— Naniósło! Za dużą wiechę weźcie w prawo! — krzyczy, ile tchu w piersiach. — A jak tam za wami?!

— Po staremu! — odkrzykuje szyper i dziękuje wzniesioną ręką.

Przechodzi coraz więcej barek. Kilkuczlone tratwy z potężnych pni. Na pierwszej szalas, dwóch ludzi zarabia ogromnym wiosłem. Na ostatniej też szalas, ognisko z zawieszonym kociołkiem,

57

porozkładani flisacy. Ponurzy, skupieni, wyczerpani każdym metrem złośliwego nurtu. Oni i Wisła to jedno, najlepsi jej wodniacy.

Do Kazimierza przychodzimy nocą. Na przystani dziwni ludzie. Pstrokato poubierani, wyglądają na warszawiaków. Większość pasażerów schodzi na ląd. Rankiem maleńki, cichy Sandomierz. Życzymy szyprowi głębokiej wody i odrywamy się od zaczarowanego młynka.

W oknie księgarenki duża mapa Polski, jakby dla nas zawieszona. Wybieramy szlak aż do Czerniowiec. Układam go, wbijam sobie w głowę. Nie chcę mieć mapy przy sobie, nie robię zapisków, nic, co by nas obciążało w zetknięciu z policją. Jesteśmy pełni napięcia, zamyśleni. Czujemy się jak przestępcy. Próbuję śmiać się, ale Alusiowi uśmiech nie wychodzi. Jest bardzo poważny, oczy mu błyszczą jak nigdy. Senni ludzie ruszają się z nawykiem automatu i z zamkniętymi oczami. Nie przeraża nas daleka droga. Jesteśmy wypoczęci, zastali, teraz rozruszamy się.

Zatrzymujemy się na wysokim moście. Pod nami szara Wisła. Na wzniesieniu uszeregowane junackie namioty. Umundurowani chłopcy z łopatami na ramionach idą ze śpiewem dwójkami do skarpy, tam wywrotki i taczki. Czuję w sobie jakiś niedobry ucisk. Oni ze swą naiwnością i dobrocią są w porządku, my nie.

— Może byśmy tak poszli do nich?

— Z wojska do wojska? — obrusza się Aluś.

— Nie wiedziałem, że tak tego nie lubisz.

— Mam dość.

Rozumiem teraz jego zupełną uległość, była po to, by łatwiej przetrwać.

— Może jednak poszlibyśmy do nich, Aluś? — mówię, choć nie chcę tego.

58

— Tak całe życie nie można.

— Tak. To nic nie daje.

Może istotnie żądamy czegoś, czego społeczeństwo nie może nam dać?

— Należy nam się statek, a jeśli nie mogą dać nam, weźmiemy sami — rozgrzeszam się.

Ruszyliśmy żwawo wyboistą, szutrową szosą. Bujna zieleń pól, dużo pszenicy. Wioski w sadach. Straszna chudoba zabudowań, ale ludzie nie mają wyschniętych twarzy, pooranych troskami jak na Mazowszu. Pożywiamy się, za mleko biorą drogo, ale za chleb nie chcą zapłaty. Czarny, lepki, mają go w bród. Wskakujemy do pustych furmanek. Chłopi niby nie widzą, ale zaraz lekko zacinają koniki, by się szybciej jechało, taki zwyczaj. Jaka radość iść pachnącymi lasami, gdy przeszło dwa lata dusiliśmy się w koszarach!

W południe ściągnęliśmy do Rozwadowa. Wydaje nam się to zbyt wolno, postanawiamy skorzystać z kolei. Przed dworcem kilka furmanek. Ostry zapach końskiego gnoju. Za półtorej godziny pociąg idący do Przemyśla. By nie rzucić się w oczy, idziemy za miasto, na brzeg Sanu. Przy przystani Ligi Morskiej i Kolonialnej opaleni chłopcy na kajakach z przejęciem wiosłują w kółko. Gdyby tak mieć kajak, dostać się na Dniestr, potem na Prut, Dunaj i brzegiem morza do Konstancy! Toż byłaby radość!

Podrywamy się na wyczucie. Równy z pociągiem wpadamy na dworzec. Nie ma kontroli biletów w przejściu na peron.

Pociąg ruszył. Jedziemy mniej więcej w środku zestawu z maleńkich, bardzo starych wagonów. Stoimy w przejściu, w samym tyle jednego z nich. Aluś pilnuje doczepionego za nami, ja korytarza. Robimy to jednym okiem, z nieznacznym wychyleniem

59

głowy. Dostrzegam konduktora. Pozwalamy mu przesunąć się trochę, otwieramy drzwi i wychodzimy na zewnątrz. Owiewa nas pęd. Koła trzaskają na złączach szyn. Schyleni, czepiamy się poręczy, przechodzimy do poprzedniego, już skontrolowanego wagonu.

Znów stoimy w przejściu. Przez szparę w zaciągniętych firankach widzę bogato ubranych pasażerów. Towarzystwo nieme, obce sobie, a jednak szukało się wzajemnie, by nie otrzeć się o pospólstwo. Na stacji z miejsca pod oknem wychodzi pan z panią. Zajmujemy z Alusiem ich miejsca. Mrużymy oczy do drzemki. Dla takiego przedziału konduktor ma inną miarękę i poszanowanie. Niby senni, spoglądamy po sobie przez szparki powiek. Męczymy się, Aluś więcej niż ja. Nie nadajemy się na trampów dla samej tylko jazdy. Wszystkie głosy, spotęgowane, biją we mnie jak młot. Pociąg zatrzymuje się często. Wpadają baby z tobołami i miejscowi chłopci, cisną się w przejściu. Jedzie się szybko, wygodnie, choć niedobrze. Umęczony, drętwieję na wszystko i zasypiam. Budzi mnie Aluś. Zazdrości mi, musiał się porządnie wymęczyć.

— Przemyśl. Dalej nie jedzie — orzeźwia mnie dobrą nowiną.

— Konduktor był?

— Przechodził dwa razy, ale nie zaglądał.

Objuczeni bagażami pasażerowie idą z biletami w dłoniach do wyjścia. Kręcimy się trochę po peronach, bo jak tu wyjść; na jednym z peronów widzimy wywieszkę, oznajmiającą pociąg pośpieszny do Lwowa za niecałą godzinę. W kiosku kupuję lwowską gazetę. By rozluźnić napięcie, czytam: o sojuszu Związku Radzieckiego z Czechosłowacją, o wielkich manewrach na Wołyniu, że Hitler

60

grozi Moskwie, o zwycięstwach Franca w Hiszpanii... Aluś nie chce gazety, myśli tylko o drodze.

Na peronie zbiera się coraz więcej czekających, nikniemy powoli. Nadjeżdża pulmanowski pociąg. Wchodzimy natychmiast, byle zejść konduktorom z oczu. Pilnujemy ich w biegu. Kiedy pokazuje się jeden z nich, wychodzimy na krótki stopień, przywieramy do niego rękami. Trzeba dobrze się trzymać, ściana powietrza bije twardo i trochę zarzuca. Pracujący w polu chłopcy są zdziwieni.

Odczekujemy, by konduktor minął nas przyzwoicie. Odchylamy ostrożnie drzwi, by wiatr nie wyrwał ich z rąk, i wślizgujemy się z powrotem. Znajdujemy przedział z bogatymi pasażerami, siadamy.

Pociąg pędzi, gra wysokim tonem. Gwiżdże przed stacjami miasteczek i przelatuje je. Zatrzymuje się tylko dwa razy. Pod wieczór dochodzi do Lwowa, zwalnia i zatrzymuje się. Schodzimy. Oddalamy się od kontrolowanego wyjścia, by nieco dalej przesadzić płot. Przez otwartą bramę wjeżdża bagażówka. Przemykamy się. Kolejarz uśmiecha się znacząco, przygląda się nam jak znajomym.

Pagórkowata ulica. Oddychamy swobodniej, choć daleko nam do zwawej wesołości mieszczuchów. Jesteśmy wypoczęci. Nie myślimy o kolacji. Nie chcemy napinać szczęścia. Na każde zapytanie ludzie odpowiadają serdecznym wybuchem. Dziewczyny śmieją się i zwodzą. Wyglądają cwanie, są dobre.

Odnajdujemy kierunek na Halicz. W maleńkim sklepiku na przedmieściu robimy zakupy. Każdy z nas trzyma w jednej ręce kromkę chleba, w drugiej kawał kielbasy, wystający z papieru,

mamy pełne usta, idziemy przed siebie. Ulica przechodzi w falistą szosę. Szarzeją pola, robi się ciemno. Trochę rozmawiamy, lecz nie o spaniu. Idzie się nam rażno, tak jakbyśmy wybrali się na wieczorny spacer. Mijamy śpiące wioski, tylko psy przeprowadzają nas ujadaniem. Zaczyna się pić deszczyk, przyjemnie chłodzi twarze. Wpadamy w jednostajny, monotony chód piechurów. Wschodzi słońce, parujemy jak konie, ale skorzy jesteśmy do uśmiechu.

Z prawej strony, gdzieś nie bardzo daleko, słychać słabiutkie dudnienie pociągów i przeciągłe, czyste gwizdy. Schodzimy z szosy, by podjeść i odpocząć. Na stacyjce dopędzamy towarowy. Skaczymy na bufory, sadowimy się w środkowym breku.

Z podobnej budki na samym końcu nie spuszcza nas z oczu kolejarz. Z przodu też jakiś smoluch patrzy z nietajoną złością. Jedziemy, lecz trochę wolno. Na pierwszej stacyjce zatrzymujemy się z rumorem. Ponury smoluch chrapliwie krzyczy do stojących przed budynkiem kolejarzy. Brekowsy z tyłu skoczył z przeciwnej strony i pędzi do nas tuż przy wagonach. Skaczemy. Odchodzimy swobodnie kilkanaście kroków. Smoluch z drugiej strony też spieszy do nas. Jesteśmy w nogach dużo szybsi od nich. Kiedy zwalniają, my robimy to także. Jeden z nich już się zmęczył, drugi zatrzymuje się. Stajemy. Kolejarze odchodzą, ruszamy i my.

— To dranie — wymawia Aluś.

— Tak. Zbierają puste wagony.

Półkolem wracamy do torów, idziemy wzdłuż nich. Ślizgamy się w rozmięklej glinie, przywiera nam do butów. Zeskrobujemy ją ułamaną gałązką, wchodzimy na tor. Sadzimy lekko. Staramy

się stawać na drewnianych podkładach. Trochę to męczy, potem staje się monotonne. Schodzimy z drogi kilku pociągów, idącym w obie strony. Towarowy sapie i brzęczy z daleka. Kurier pojawił się z szumem, przeleciał z jękliwym gwizdem i zniknął. Łatwo zagapić się.

Z obu stron oddalone wioski. Maleńkie domki dróżnika z pasącą się krówką przy rowie, kilkoro dzieci i ojciec pracujący w obejściu. W południe natrafiamy na większą wieś z bocznicą. Obok niej równo w stosy ułożone dębowe podkłady. Kilku robotników zdejmuje z wózka narzędzia, dróżnik w kolejarskich spodniach i w białej koszuli mówi coś do nich.

Mówimy dzień dobry, z gębami pełnymi śmiechu. Zza krzewów w ogródku wychodzi kobieta w małych saperkach w cholewach ma pełno łydek. Są zdziwieni, jakby tędy nigdy nie przechodzili ludzie.

— Czy możemy kupić trochę chleba i mleka? — mówię w jej stronę.

— Chodźcie — podrywa nas za sobą.

Cofamy się przed czystą kuchenką. Porządnie czyścimy buty. Kobieta przeprowadza nas do przyległego pokoju, sadza za stołem z wyszywanym białym obrusem. Przynosi duży dzban, nalewa mleko w kwieciste kubki i radosnym uśmiechem zachęca do picia. Jest wysoka, smukła i mocna. Powolna w ruchach i lekka. Stawia czubaty talerz z grubo smarowanymi masłem kromkami, drugi z białym serem. Podaje noże. Krząta się po kuchni i przez otwarte drzwi wesoło zagląda do nas. Niewiele starsza od nas, a czujemy się przy niej jak dzieci. Ma małą smagłą głowę, krucze włosy i niebieskie oczy. Wchodzi dróżnik

63

w białej koszuli, siada z drugiej strony stołu i też się śmieje. Na chwilę aż przestajemy jeść.

— Śmiało, śmiało — popędza nas. Znów zabieramy się wilczo do góry kromek. Podsuwa nam ser.

— Co to, wycieczka? — zapytuje z miejska.

— Wycieczka! — odpowiadam wesołym wybuchem.

— Z daleka?

Wymieniamy spojrzenia z Alusiem. Jego twarz aż mieni się radosną dobrocią. Jak tu kłamać?

— Z Gdyni. Wyszliśmy z Marynarki Wojennej.

Jest mocno zdziwiony. Jesteśmy jacyś egzotyczni. Zasypuje nas pytaniami. Wchodzi kobieta i siada przy nim. Jest starszy od niej o jakie dwadzieścia lat, mniejszy o pół głowy. Postawny, o suchej twarzy, z orlim nosem. Ona słucha nas z ożywieniem, jak to dziewczyna, a kiedy spotykają się oczami — lgnie do niego.

Znów stajemy się prawdziwymi marynarzami. Kłamiemy z Alusiem jak na urlopie. Potem opowiadamy o naszej drodze. Bawią się dobrze.

— A teraz dokąd zamierzacie? — zapytuje ona.

— Zobaczyć Hucułów.

Aluś zmieszał się. Spogląda po mnie, jakby wypominał mi kłamstwo. Otwieram się, mówię całą prawdę aż do końca. Alusiowi prostuje się twarz, a gospodarzom trochę zapiera oddech. Kiwiają głowami, aż zaśmiewamy się wszyscy. On poważnieje.

— Niełatwe. A może chcielibyście tu popracować. Będziemy podbijać tory.

— Niech idą za szczęściem. Są młodzi. — Jej , głos lekkomyślnie swobodny, ale w oczach błysk. Podrywa się i idzie do kuchni.

W drzwiach pojawił się robotnik, dowiedział

64

się, dokąd czyścić rowy, i wyszedł. Z Alusiem wstajemy od stołu, zabieramy się do wyjścia. Gospodarz podaje nam dłoń. W kuchni dziękujemy gospodyni. Wyjmuję ostatnie pięć złotych i kładę na stoliku. Żegnamy ją głośnym cmoknięciem w rączkę, a ona dopada jeszcze Alusia w progu i wciska mu paczkę. Wołamy głośno słowa pożegnania i uciekamy.

Idziemy torem. Nic nie mówimy. Jesteśmy oszołomieni i serdecznie zawstydzeni. Nie myśleliśmy, że istnieją tacy ludzie. Widzieliśmy tylko wrogość wkoło i osamotnienie. Jesteśmy objedzeni jak bąki. W piersiach płonie mi ogień. Jestem pełen tych obcych ludzi. Wysięk trafienia stopami na podkłady szybko staje się przykry, potrzeba przy tym czujności, by nie wpaść w monotonię. Polną drogą rżniemy do szosy. Znow niosimy na butach zwały gliny. Zdejmujemy je, obmywamy w kałuży, wiążemy sznurowadłami i przerzucamy przez ramię. Na bosaka glina nie przywiera tak mocno i łatwiej jej się pozbyć.

Mamy szosę. W rowie myjemy nogi i zakładamy buty. Wpadamy w miarowy chód piechurów. Zdejmujemy wiatrówki i przewiązujemy je rękawami na szyi. Jest tylko słońce i ciepło. Po kilkunastu kilometrach Aluś chce pozbyć się ciężaru, przechodzimy most, przerzucony nad strumieniem. Schodzimy w głęboki jar aż nad samą wodę i rozkładamy się na puszystej murawie. Aluś rozwija paczkę. Chleb z masłem i okazały kawał cielęciny. Jemy wół leżąc, wsparci na łokciach.

— Podobałeś jej się — mówię.

— Mam i swoje pięć złotych.

— Jakim cudem?

— Wsunęła mi do kieszeni.

65

— Ale baba, prawdziwa Podolanka!

— To pewno jego córka.

— Ładna córka, z niego też nie ułomek. Trochę stary, musieli się kiedyś mocno kochać.

Popiliśmy ze strumyka i znów dalej. Przejeżdża dużo fur, ale nie staramy się z nich korzystać. Trzęsą i są niewiele szybsze od nas, nie pasują do naszej drogi. Czasami mijają nas samochody. Lśniące limuzyny pędzą jak rakiety. Wzdychamy do takiej jazdy, a ręce same się podnoszą. Robimy to coraz śmielej. Samochody ocierają się o nas, tylko gwałtowny uskok ratuje nasze kości. Ludzie, posługujący się nimi, traktują nas jak kury. Jesteśmy ostrożniejsi, ale nie dajemy za wygraną. Zatrzymuje się wielki, czarny wóz. Jak mali chłopcy jesteśmy trochę przerażeni tym, cośmy zrobili. Gdyby tak można uciec. Ale podbiegam wbrew sobie, otwieram przednie drzwi i mówię:

— Idziemy na Halicz. Czy moglibyśmy się trochę podwieźć?

— Myślałam, że coś się stało — odezwała się zasuszona staruszka z głębi wozu. Jest zdziwiona.

— Siadajcie — mówi wspaniałomyślnie.

Sadowimy się. Przy kierownicy ni to admirał, ni ambasador, ma minę, jakby prowadził białego, obrzędowego słonia w Syjamie. Spoglądam do tyłu. Zastrachany Aluś. Maleńka matrona, niedosiężna jakby nieobecna. A jednak tylko ona naprawdę tu jest. Włada nawet ciszą. Język mnie swędzi — odezwane byłoby może grubiaństwem, a może mową do pól. Jestem też trochę zmieszany, może dlatego że tak jest przyzwoiciej i trochę chce mi się śmiać. Mkną łany pszeniczne, dorodny rzepak, buraki puszczają duże liście. Skupiska strzech pierzchają kury i dzieci. Zegar w tarczy motoru wskazuje, że jedziemy więcej niż godzinę. Mijamy

66

wielką wieś. Chłopi zdejmują czapki, i gołymi głowami gną się w pas. Trochę to wygląda, jakby kłaniali się pędzącemu samochodowi. Staruszka dostrzega ich, ze dwa razy skinęła głową — wystarczy, że patrzy na chłopów. Samochód staje w szczerym polu. Dziękujemy jak wioskowi chłopi i idziemy. Patrzymy, jak samochód skręca w doskonale wysypaną tłuczniem drogę. Z obu stron kukurydza jak las, w dali wielki dwór. Aluś oddycha głęboko, swobodnie. Pękam ze śmiechu. Idzie nam się lekko, jak nigdy w życiu.

— Ale siedzenie! — stwierdza Aluś.

— Wygodne.

— Jak w puchu.

Uśmiechamy się dziwnie. Nasze zadki przyzwyczajone do twardego drewna, zażyły rozkoszy. Słońce już bardzo nisko. Jest sucho i ciepło, nie tak jak nad morzem.

Podchodzimy do wsi i odnajdujemy sołtysa. Spogląda twardo i trochę pogardliwie. Mówimy, że idziemy do Stanisławowa. Wypisuje nam kartki noclegowe i zabiera dowody osobiste. Rozchodzimy się z Alusiem.

Wracam szosą, odnajduję mojego gospodarza. Na podwórzu zbija deski do nowego wozu. Płomiennorudy z podwiniętymi rękawami, w zgrzebnej koszuli, przedramiona pocętkowane piegami jak u tygrysa. Pozdrawiam go i podaję kartkę od sołtysa. Czyta, chowa do kieszeni i znów zabiera się do roboty. Mogłem odejść. Stoję i przyglądam się. Podnosi głowę, spogląda ostro.

— Chce się panu robić? — pyta twardą polszczyzną.

— Pewno.

Ruchem głowy wskazuje siekierę na pieńku.
Ściągam wiatrówkę i wieszam na płotku. Z
wielkiej

67

pryzmy zdejmuję karcze na ziemię. Rąbię trochę z bocznym zamachem od samego dołu. Odcinam rozgałęzienia. Odlatują za jednym zamachem, grubsze po dwa, trzy. Dobrze trafiam w stare nacięcia. Doskonała siekiera, ciężka, ostra, o długim stylisku, zamachowo wygięta, ze zgrubieniem na końcu, by nie było poślizgu. Na takim stylisku siekiera nie jest sztywna jak cep, daje większe wyczucie. Lgnie do dłoni jak topór bojowy. Ściągam koszulę, a z pryzmy nowe karcze. Żywiczne smolaki ostro uderzają w nos, to krew lasu. Rozgrzewam się. Przy najsilniejszych uderzeniach chrapię sobie po chłopsku. Odrąbane korzenie przecinam na drobne, to już zabawa. Słyszeć syte porykiwania. Z wioskowego stada odłączają się cztery krowy i rażno wpadają do zagrody.

— Katia! — woła gospodarz.

Wylatuje duża i gruba dziewczucha. Zapędza dwie krowy do obory. Biegnie do domu, wychodzi z ogromnym cebrem na brzuchu. Odlewa połowę do wanienki i stawia naczynie z dala jak piórko, krowy piją głośno. Grube ramiona, jak moje dwa, wsparła na zwalistych biodrach i przygląda się bydlątkom, odpędza jedno bosą nogą jak kolumna, by nie przeszkadzało drugiemu. Z krzykiem zapędza je do obory, słysząc jeszcze, jak mocuje się z nimi przy wiązaniu. Przybiega po drzewo. Nakłada na rękę, jest bardzo ucieszona i coś mówi po ukraińsku.

— Co to ma być? — zapytuje ją.

Odpowiada głośnym śmiechem.

— Ona nie rozumie po polsku! — woła gospodarz. — To jej robota. Mogą być dłuższe drewna.

Z wysokim naręczem podrywa się jak sprężyna i pędzi. Znow dźwiga cebry dla świń. Taki ciężar

68

i wszystko robi biegiem. W końcu woła na nas żywiołowo, radośnie.

Zabieram się do najgrubszych pniaków, rozglądam się, z czego by tu wyciosać tęgi klin. Gospodarz odkłada robotę, patrzy na mnie jak na domownika i mówi:

— Starczy na dziś, idziemy jeść.

W kuchni wskazuje zydę obok siebie. Pozdrawiam młodziutką kobietę o bardzo świeżej cerze. Stawia wielką wazę i biegnie do kwilącego dziecka. Wraca z nim i rozsiada się szeroko. Chłopak kręci się na podolku i próbuje wstawać. Rodzice mówią ze sobą po niemiecku, tak samo jak ich rodzice w takich chwilach. Twardy język staje się miękki, tkliwy.

Dolewamy sobie gęstego żuru z dużymi skwarkami, bierzemy chleb z masłem z kopca kromek, jemy. Katia z trudem powstrzymuje wesołość. Ciągłe ją bodzie wewnętrzny chichot. Ma okrągłą jak słońce twarz, nasyconą żarem zdrowia. Bure oczy płoną żółtawo. Siedzi swobodnie, pod stołem pełno jej nóg. Ostrożnie podciągam swoje. Wszystko wydaje mi się bardzo dziwne. Sołtys Polak, niemieckie małżeństwo na dorobku, ukraińska dziewczka, a ja — włóczęga Polak. Niemcy po rodzinnej radości, łagodnie patrzą na nas. Uśmiecham się, spoglądam na dziewczynę i mówię:

— Musi być bardzo mocna.

— Jak tęgi chłop! — śmieje się gospodarz.

Katia aż zanosi się w śmiechu, tak jakby zrozumiała. Je szybko, kończy i pierwsza odkłada łyżkę. Gospodarz coś do niej mówi po ukraińsku. Dziewczyna podrywa się, znika, wchodzi z naręczem der, koców i mości mi spanie na szerokiej skrzyni. Ze swojego żelaznego łóżka przynosi jedną z poduch. Gospodarze wynoszą się ze śmiesznymi

minami. Siadam na swoim legowisku, nie wiem, co z sobą począć. Katia myje statki i często spogląda przez ramię. Jest swobodna i ciągle ten chichot.

— Spać, spać! — ośmiela mnie. Szybko zdejmuję buty, spodnie i przykrywam się kocami. Przemknęła koło mnie, wśliznęła się pod pierzynę, aż jęknęło łóżko. Jest szarówka, przymykam oczy, ale widzę, jak wiewa jej nad głową bluzka, potem kiecka, z koszuli wychylają się piersi jak pagóry. Zaciskam oczy. Słyszę, jak się układa, słyszę oddech. Coś dzieje się ze mną, że aż się boję. Układam się na brzuchu. W poduszkę wciskam twarz, biorę głęboki, długi wdech. Jawi mi się daleka droga, rozplywa, zanika.

Rano budzi mnie trzaskający pod blachą ogień. Dziewczyna wychodzi po wodę. Zrywam się i ubieram. Potem patrzymy na siebie trochę łagodniej niż poprzedniego dnia. Wstają gospodarze. Po śniadaniu żegnam ich serdecznie i odchodzę. U sołtysa czeka już Aluś, zabrał nasze dokumenty. Wchodzimy na szosę. Żółtawa droga biegnie wesoło, nad rowami bujna zieleń zbóż. W złotawym błękicie oszalałe skowronki, słowiki naszych pól. Przypomina nam się Wisła. Wsparci na barierce zatrzymujemy się na wielkim moście. Pod nami łuszczy się czysty Dniestr. Czujemy już inne morze. Jego władztwo wydaje nam się słoneczne i przyjazne, nie takie jak władztwo Bałtyku. Na drugim brzegu wieżyczki kościołów, klasztoru, zamek, trochę domków — Halicz. Schodzimy z mostu i kąpiemy się. Szybko obmywająca, zimna woda. Czujemy się jak po chrzcie nowego obrządku, gotowi do nowych krajów. Przemykamy mieścina. Szosa przewija się jarem,

potem biegnie środkiem wgłębienia rozległej doliny. Pod wieczór jesteśmy w Stanisławowie. Łapiemy pociąg, ale spędzają nas na pierwszej stacji. Odbijamy od niej i dochodzimy do wioski już w nocnej ćmie. Gdzieś w chatynkach mielązgają jeszcze światełka. Przy szosie stoi gromadka chłopów, gorejące twarze w ogarkach rozjarzających się papierosów. Prowadzą ukraiński rozhovor.

— Z witki wy ?* — podnoszą się głosy na nasz widok.

— My na nocleg, do sołtysa — mówię.

— Z Polszczy — odzywa się trochę zdziwiony głos.

Otoczyli nas, przyglądają się i coś mówią do siebie. Jesteśmy niby we własnym kraju, a czujemy się zupełnie obco. Nasłuchaliśmy się i naczytaliśmy o ich wrogości, że mordują siekierami. Naród najbliższy nam krwią, krzepki i żywiołowy. Naród, który o mało uwolniłby moich dziadów od wspólnej niedoli pańszczyzny.

— Panowie, musimy iść do sołtysa — odzywam się, byle jak najprędzej odejść.

— U nas nie ma panów — podnosi się głos.

— Musimy się zgłosić — obstaję przy swoim.

— U nas nie potrzeba, u nas swobodnie — mówi ktoś drugi.

— U nas demokracja, tylko u was ciągle królestwo — jeszcze ktoś inny.

— To dobrze u was — ośmielam się.

— Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie było waszych panów.

Wybuchają szczerym śmiechem. Potem jakiś staryk w zgrzebnych portkach i w takiej koszuli, noszonej na wierzch, bierze nas ze sobą. W domu

* skąd wy?

budzi córę. Smagła dziewczucha szybko stawia na ławie glinianą wazę ogromnych klusek, w drugą leje śmietanę. Przysuwa ławę i zmyka do łóżka. Maczamy w śmietanie kluski drożdżowe i jemy, na końcu wypijamy śmietanę. Staryk widzi nasze zdziwienie.

— Dzisiaj niedziela.

Daje nam po wełnianej derce, poświeca lampą z wozu i prowadzi. W lewym sąsiedku stodoły jeszcze sporo siana. Wygrzebujemy dół. Zdejmujemy ubrania, owijamy się derkami i kładziemy przy sobie. Na wierzch nagarniamy siana. Staryk odchodzi. Jest miękko i ciepło, pachnie łąką, kwiatami.

— Dobrzy ludzie — odzywa się Aluś.

Zgadzam się. Czasami odzywają się psy, coraz sennie, aż i one zasypiają.

Budzą nas obcojęzyczne głosy, ruch w obejściu. W stodole pełno drgających krech, plam słońca. Na podwórzu uwija się i krząta liczna rodzina. Znów żur z chlebem, wylewne pożegnanie i droga. Wioska szumi porannie. Podbiegają psy, ale nie szczekają. Chciałbym tu zostać. Ludzie patrzą wesoło i gościnnie. Tak ukształtowała ich tutejsza hojna ziemia. Będą ryć, orać, zbierać z niej jadło, świata nie widząc poza nią. Wieczorem znów zejdą się chłopci przy drodze i będą mówić o panach Polakach.

Aluś schudł. Twarz wyschła i szerniała, tylko oczy błyszczą. To samo pewno jest i ze mną. Nie skarżymy się na żadne bóle, zmęczenie ani ułomności. Droga zaczyna kształtować nas. Odpoczywamy przy potokach. Zdejmujemy buty, myjemy nogi i moczymy w zimnej wodzie. Kiedy obsusza je słońce obuwamy się i znów droga. Nogi niosą nas sprężyste, są aż skóre do biegu. Już dawno

minęło południe, mamy jeszcze po pięć złotych, a nie myślimy nawet o jedzeniu. Coraz bardziej wciąga nas przestrzeń. Widzimy za sobą dwóch jezdnych wiodących konie. Zwalniamy kroku. Młode koniuchy siedzą na dwóch najgrubszych koniach, z derkami na grzbietach, obciążniętych popręgami. Po obu bokach w linkach trochę odstają luzaki. Przystajemy. Śmieją nam się gęby w wielkiej nadziei.

— To grzech — wołam — my tu na nogach, a wy prowadzicie konie luzem!

Koniuchy śmieją się i stają.

Aluś dosiada pierwszego z brzegu konia, ja wybieram smukłą kasztankę. Prawą dłonią chwytam ją za gruby kłak grzywy tuż przed łopatkami. Kobyła skręca szyję. Nieprzyjemnie czuję jej wargi na plecach. Zawsze byłem ostrożny wobec końskich nóg i pyska. Uginam nogi, w skoku podciągam się ręką i już siedzę na grzbiecie. Teraz im większy czort siedzi w kobyle, tym większa będzie radość. Czuję, jak krew mnie mrowi. Koniuchy patrzą na wszystko, chcą się zabawić. Po kilku krokach ruszają stępa. Naddaję się miękko, wyczuwam chód. Przechodzimy w trucht, trzęsie niesamowicie. Jest trochę śmiechu. Dotykam obcasami brzucha i w galopie wychodzę naprzód. Kasztanka płynie, rozgrzewa się, przechodzi w lot. Jak łatwo teraz, gdyby tak można całymi dniami! Pali mnie krew, chłodzi pęd powietrza. Z ręką na grzywie oglądam się za siebie. Ich ciężkie konie podążają z trudem i odstają coraz bardziej. — Hoł, hoł! — wołam. Kobyła słucha i zwalnia. Dopędzają mnie. Przechodzimy w stępa i w chód.

Aluś prowadzi z Ukraińcami rozhovor, uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Chłopaki zaciągają

śpiewnie. Kobyłka trochę strachliwa, kiedy czasami przejeżdżają samochody, chowam się z nią za konie, wtedy ślicznie tuli uszy i drobi nogami. Nie wyrywam się już do przodu. Z Alusiem jedziemy w tyle obok siebie, zdajemy się na prowadzenie. Suniemy wolno. Kiedy tamci z przodu ruszają szybciej, nasze koniki same podążają za nimi. Zupełna swoboda. Świat z wysoka radośniejszy, szersze nad nim władztwo. Siła konia pode mną jest moją siłą. Droga nie skuwa człowieka, można lecieć ponad nią. Gdyby tak można zajechać na tym grzbiecie aż do samej Konstancy! Prosto, poprzez najgorsze wertepy, nasiąknęlibyśmy polami, borami, ludźmi i słońcem.

Z prawej coraz wyższe graby, zachodzące na siebie, spowite bujnym kozuchem lasów. Fałdzista kreska najwyższych grzbietów niknie gdzieś na horyzoncie, sino zlewa się z niebem. Z daleka wygląda to łagodnie, ale ile tam jest wądołów, jarów, stromizn — idealne miejsce na rozbój. Kiedyś chodzili tędy Janosikowie, rycerze chłopscy, nie uznający panów ani granic.

Konie idą wyciągniętym krokiem, przywykliśmy już do ich grzbietów. I Aluś ciągle patrzy w prawo — ogromny widok spiętrzających się

gór.

— A jakbyśmy tak poszli na zbój? — odzywam się wesoło.

Aluś trzeźwo przeczy głową.

— A gdyby tak był z nami Fabianowicz?

— On by poszedł, ale to i tak by się źle skończyło.

— A do Hiszpanii poszedłbyś?

— Tam tak — dodaje po chwili. — Ja wiem, że ty jesteś taki — i patrzy na mnie serdeczniej niż brat.

Czasami ruszaliśmy stępa i znów chód. We wsiach przeważnie Ukraińcy. Przypominają mi się odgłosy ich wołań o szkoły i samorządy. Za to mieli więzienia i pacyfikacje. Stąd ta wrogość do wszystkich Polaków. Ale i nam, żyjącym z pracy rąk, niewiele lepiej niż im. Gdyby tak zatrzymać się w Kołomyi i chwycić jaką robotę? Na pewno w największych skupiskach pracy trafilibyśmy na ślad KPP czy KPZU... Iść na całego w konspirację, bez reszty przygotowywać świadomość mas, organizować ją i przy narastających dobrych warunkach przejść do rewolucji. We wspólnej walce o wolność zniszczyć wzajemną wrogość!... Wydaje mi się to tak piękne, że aż olśniewające. Ale zaraz jawi się Rumunia, słoneczne kraje i świat toczący się przed naszymi oczami, radośniejszy i łatwiejszy. Wiem, że go wybiorę, dlatego czuję się winny i nędzny.

Słońce nisko nad górami, spływa z nich i zachodzi. Napływają skłębione chmury, przelewają się po niebie. Z końskiego grzbietu prawie nie widać drogi, ale koniki nie potykają się, idą gładko.

Koniuchy zatrzymują się, podajemy im linki i schodzimy z grzbietów. Kilka okrzyków podziękowania, pożegnanie i zaraz nikną na polnej drodze.

Przez chwilę stoimy z Alusiem na szosie. Zupełna
ćma i głusza. Ruszamy wolno kaczym chodem,
trochę nas bolą zadki. Przechodzi. Coraz bardziej
wyciągamy i przyspieszamy kroku. Myślę o
spaniu i Aluś też, ale nie mówimy o tym. Jest
czarno, pusto i późno. Zaczyna padać deszcz.
Przechodzimy w bieg. Musimy trafić jakieś
porządne drzewo o gęstych liściach. Suche
ubranie — to ciepła noc. W silniejszych
podmuchach spada ulewa i z miejsca omywa nam
skóry. Zaprzestajemy

75

biegu, bo i po co? Z prawej, na wznoszącej się
pochyłości ciemnieje nareszcie las. Ulewa ślepi
nas, nie ma co mocować się ze ścianą wody.
Wchodzimy w gąszcz. Mokre kiście biją, drapią
po twarzy. Brniemy jak ślepcy z wyciągniętymi
przed siebie rękami. Gęste chaszczce przebywamy
na czworakach. Natrafiamy kilka świerków. Wy-
bieramy środkowy, gruby jak pagoda, ze strzechą
gałęzi niemal do ziemi. Jest pod nim cicho, tylko
górami szumi deszcz. I igliwie pod nim suche,
zgarniamy je, ile się da. Kładziemy się blisko
siebie i otulamy ściółką. Jest zupełnie cicho, tylko
górami grzmi nawałnica, aż drzewa jęczą.

O kilka kroków rozlega się trzask gałęzi. Siadamy. Aluś dobywa z kieszeni marynarki, sprężynowy nóż, otwiera go. Robię to samo. Znów niepokojący trzask. Podrywamy się i idziemy schyleni, jeden przy drugim. Zdaje się, że przeszliśmy to miejsce, zatrzymujemy się i nasłuchujemy. Żadnego szmeru, tylko górą dmie wiatr.

— Co to mogło być? — mówię szeptem.

— Nie wiem — odpowiada Aluś.

— Chyba nie człowiek.

— Chyba nie.

— Może zając — ciśnie mi się śmiech.

— O, nie. Mógł być dzik.

Skóra jeży mi się na grzbiecie, jest w tym bojaźń, i pełne zdecydowanie na wszystko. Po kilku minutach wracamy z powrotem do swojego legowiska, które zabraliśmy jakiemuś zwierzowi. Chowamy noże, wtulamy się w siebie. Próbujemy spać, nie udaje się. Od pleców i grzbietu Alusia nie przenika ani odrobina ciepła. Jesteśmy dobrze zziębnięci. Byłoby lepiej, gdybyśmy podpalili ogień.

76

— Przydałyby się zapalki — szepczę mu do ucha.

— Przydałyby się — odpowiada z wyrzutem.

Za bardzo ufamy naszemu końskiemu zdrowiu, swej wytrzymałości. Zapadamy w odrętwienie na granicy snu. W głowach huczą rozdzierane wicherem konary. Coraz bardziej zapadamy w kojącą nieczułość na wszystko, ale zasnąć jednak nie można. Deszcz coraz mniejszy. Otwieram oczy, z boku trochę prześwituje niebo. Siadam. Przysiada i Aluś.

— Idziemy — mówi zdecydowanie.

— Tak, rozgrzejemy się.

Wstajemy, przedzieramy się do szosy.

Ruszamy się jak na szrudłach. Z każdym krokiem ciała nabierają giętkości. Przyspieszamy kroku, wpadamy w bieg. Nareszcie ciepło. To nic, że pada deszcz. Niech pada, nie jesteśmy z cukru.

Na wschodzie coraz jaśniejsza siność. W reflektorach przelatującego samochodu migotliwa kaskada deszczu. Coraz widniej, wreszcie nastaje chmurny dzień. Mijamy śpiącą wioskę. Wydaje mi się, że jesteśmy jak śmieszne Janosiki.

Chwilami pokazuje się ciepłe słońce. Przystaje padać. Buchamy parą jak konie.

Spotykamy dziwną gromadę. Zatrzymujemy się w samym jej środku i przyglądamy się z uciechą. Trochę młodszy od nas chłopcy odziani w czystą czerń. Na głowach mają maleńkie jarmułki, jedwabne chałaty. Spod przykrótkich, wąskich spodni wyglądają białe skarpetki. Doskonałe kamasze z uszami na wierzchu. Wypuszczone, obszerne, białe szale z czarnymi, kabalistycznymi szlaczkami. Nigdy nie widzieliśmy bardziej egzotycznych ludzi.

— Patrz, jakie ładne świderki — chichocze Aluś.
— Chciałbym pogłaskać.

— Daj spokój — powstrzymuję go.

Wszyscy mają śliczne, czarne pejsy, niektórzy tak długie, że aż okręcają je sobie za uszy. Błede twarze, oczy jak z zaświatów. Są nie mniej zdziwieni, wydaje się, że nigdy nie widzieli takich barbarzyńców. Odchodzą bez obrazy jak dzieci.

— Wyglądają jak małe rabinki — śmieje się Aluś.

— Pewno jakaś szkoła rabinacka. Teraz dostrzegamy, że wyglądamy jak niedźwiedzie po wyjściu z gawry. Pełno na nas igliwia. Szczotkujemy się wiechciami czystej trawy. Przy najbliższym strumyku zdejmujemy utyłane w glinie buty. Myjemy je gruntownie, potem twarze i stopy, przepłukujemy skarpety. Z podwiniętymi spodniami, ze związanymi butami przerzuconymi przez ramię i skarpetami przez drugie, idziemy na bosaka. Czasami trafi się ostry tłuczeń i uwiera nieprzyjemnie. Po stu krokach zapominamy o tym, znów czujemy się jak kiedyś na rżysku za krowami.

Zaczynają się rozległe pola. Dochodzimy do jakiegoś ogromnego skupiska chałup, za nimi wieża kościelna i kilka wysokich rur-kominów. Niska, tartaczna wieś i wszędzie pełno drzew — Kołomyja. Znów płuczemy nogi w rowie i obuwamy się. Ważniejsze ulice są nawet brukowane.

Wolno snują się chłopi, wśród nich trafiają się fircykowaci eleganci, miejscowi bogacze. Wchodzimy do księgarni i prosimy o mapę tutejszego województwa. Uważnie przeglądamy szosę idącą na Czerniowce. Kiedy wszystkie znaki układają się w nas jak na kliszy, składamy ją i oddajemy z wdzięcznym podziękowaniem. Księgarz odebrał

78

mapę z niewzruszoną obojętnością; gdyby był trochę bardziej wścibski, nie mógłby nie odgadnąć naszych zamiarów.

Na dworcowej mapie kolejowej przeglądamy tor, by nie wleźć na niego. Bez urazy spoglądamy na policjantów, szczęśliwie udało nam się nie zetknąć i z nimi. Widok kopistów nie jest już tak przyjemny. Szybko odchodzimy jak grzeczni chłopcy. Kupujemy bochen chleba i pokaźny krąg surowej kielbasy. Połowę zjadamy za miastem na łączce, w krzakach wierzbin, resztę zgrabnie owijamy w papier i starannie obwiązujemy sznurkiem. Krótka narada. Jak największa ostrożność i jak największa śmiałość, szybkość, wszystko, co nas spotka, według okoliczności brać jak najlepiej. Podrywamy się z wyzywającymi uśmiechami na twarzach.

Dobrze smalimy szosą. Zwalniamy, kiedy pokazują się ludzie. Zaczyna siąpić deszcz, w końcu leje. Przemykamy wioski z minami naiwnych jagniąt. Dawno minęło południe, nie zwalniamy. Czasami szybko przejeżdżają furki, nie chcemy korzystać z nich. Przed przedostatnią wsią schodzimy polami w lewo, by potem wyjść na dróżkę idącą z niej na północ, do innej wsi. Przed tą zaś schodzimy w prawo i jeszcze trochę odbijamy na północ, w pustkowiu, gdzie nie ma już wsi. Teraz wprost na wschód.

Deszcz chwilami słabnie, ale nie przestaje padać. W zupełnym bezludziu idziemy około godziny. Jakieś ugory, trochę na nich drzew i jałowców. Słońca ciągle nie widać, ale już niedługo powinno się ściemnić. Omijamy golizny. Lekki spadek w stronę granicy, ani przez chwilę nie tracę tego kierunku. Zatrzymujemy się przed większą golizną. Na

samym skraju gęste krzaki jałowców. Wybieramy najurodziwszą kępę i wchodzimy do środka. Dobrze stąd widać pochyłość i wycofać się można niepoznacznie. Zginamy wewnątrz miotły jałowców i siadamy na nich. Gdyby nie deszcz, można by i wyciągnąć się wygodnie.

Zjadamy kielbasę z chlebem, jesteśmy tak nasiąknięci wodą, że nawet nie myślimy o picciu. Staramy się nie mówić, a jeśli trzeba, to szeptem. Czasami któryś z nas wstaje i rozgląda się. Potem już tego nie robimy, zdajemy się na słuch. Zaczynamy odczuwać zimno.

Wreszcie zaczyna się mroczyć. Strasznie wolno przychodzi ta noc. Ruszamy plecami z zimna, zaczynamy drzeć. Nie można poskakać ani zabić rąk.

— Może już? — odzywa się Aluś.

— Najlepiej po północy — odpowiadam.

Bardzo chcielibyśmy już rwać, byłoby ciepło. Zaczynamy szczekać zębami i wiercić się. Jest bardzo ciemno, deszcz chwilami ustaje i gdzieś tam pokazują się gwiazdy. Do północy na pewno nie wytrzymamy. Jeszcze odczekujemy, ile tylko możemy, wreszcie wstajemy.

Deszcz przestaje padać. Pogodne, ciemne niebo. Jarzy się Wielki Wóz, Polarna świeci jak drogowskaz. Wolno wychodzimy, stąpamy jak koty. Trochę odstępujemy od siebie dla większej swobody ruchów. Co kilka kroków stajemy, słuchamy. Uszliśmy kilometr, powinno już być blisko. Dość daleko przed nami odzywają się psy. Tam nie ma wioski. Jak najszybciej wracamy na miejsca. Po przebyciu połowy drogi zatrzymujemy się obok siebie.

— No co? — pyta Aluś.

— Jeśli poczuły nas, będzie alarm. Nie przejdziemy.

80

– Było za daleko.

– Nocą psy na granicy nie szczekają tak sobie.

– To co?

– Odbijemy w bok, potem byle szybko, nim się kopiści rozejdą.

Przebiegliśmy z kilometr, popatrzyłem na Polarną i ruszyliśmy na granicę. Znów szybki chód, stąpamy jak koty. Wykorzystujemy krzaki, zatrzymujemy się i słuchamy. Tylko wiaterek z północy. Jakaś linia drzew w poprzek, tuż za nimi rzeka.

— To tu — wymawiam.

Zbliżamy twarze, by zaśmiać się do siebie.

— Rozbieramy się? — pyta Aluś.

— Nie ma czasu. Może i po drugiej stronie będziemy musieli wiać.

Po brzegu zsuwamy się w wodę, wpadam cały. Wypływam, widzę głowę Alusia. Po kilku metrach dotykam rękami dna. Brodzę do brzegu. Znow spotykamy się.

— Jesteśmy przestępcami — wymawiam.

— Tak — odpowiada Aluś. O mało nie wybuchamy śmiechem.

Idziemy szybko, by nocą jak najprędzej odbić od granicy. Falisty teren i rzadkie krzaki. Popaduje deszcz, ale jest nam ciepło i wesoło. Przed nami naszczekuje jakiś psiak, zatrzymuje się.

— Skąd się tu wziął? — wymawiam w ostrożnym zdziwieniu.

— To lis — odpowiada po chwili Aluś. Spod nóg odskakuje zając, a na wierzchu pagóra widzimy drugiego lisa.

— Polują — mówi Aluś.

— Na nas też — dopowiadam.

Noc wydaje się ożywiona i przyjazna. Leniwe naszczekiwanie psów, teraz jest wioska. Obchodzimy ją, mijamy skrajem lasu. Jakieś straszne

81

wertepy, o mało nie łamiemy nóg. Rozmiękła glina więzi nogi. Z trudem wyciągamy je, by ślizgać się w przód. Potykamy się, czasami padamy. Pomagamy sobie rękami, by oszczędzić portek przed większymi plackami.

Robi się coraz widniej, aż nastaje dzień bez słońca. W głowie mam jakąś czujkę, która podświadomie i nieustannie pilnuje potrzebnego kierunku. Już zdaje nam się, że nie przebrniemy gliny i wądołów, gdy niespodziewanie wchodzimy na drogę polną. Ulga! Za drzewami łagodnego zakrętu, przy wozie stoi kilku chłopów, wszyscy mają oczy zwrócone na nas, za nimi zwarta wioska. Drgnąłem. Odwrót byłby podejrzany, dałby im pewność, że nie jesteśmy w porządku.

— Idziemy — mówię cicho.

Chłopi przyglądają nam się natarczywie.

— Z witki wy? — pyta jeden.

Idziemy bez odpowiedzi, by nie upewnić ich zupełnie. Ten sam chłop śmieje się po cwaniacku i woła:

— Wy z Polszczy! Dezertery!

Mijamy ich bez słowa i bez rozeznania, czy są nam przychylni. W samej wsi ludzie już nie są tak zdziwieni. Psy podbiegają, ale nie szczekają. Jakby trzymały z nami. Radośnie odczuwam ich życzliwość. Po wyminięciu chałup kilka razy odwracamy głowy, nic podejrzanego. Jak bardzo przydałoby się teraz trochę gościnności...

**Znów pola. Czystą wodą z rowu zmywamy gli-
niane placki na portkach. W dzień nie będziemy się przewracać. Droga zbytnio wykręca na pół-
noc, schodzimy w prawo miedzą w wysokie,
dobrze już wykłoszone żyta. Ruszamy szybciej,
by jak najdalej odejść od wioski. Nie będzie
dobrze, jeśli chłopci zameldują o naszej obecności.**

Dorodny, liściasty las. Natrafiamy przejazd, trzymamy go się, ale idziemy trochę w głębi drzew. Znaczna swoboda a z nią ulga. Próbujemy uśmiechać się do siebie, ale na twarzy wyłazi zmęczony grymas. Aluś ma zapadnięte policzki, obciążnięte pociemniałą skórą, ostre szczęki i oczy jak świece. Ja na pewno nie wyglądam lepiej. Dwie doby bez snu, zlewani strugami deszczu. Zmęczenie, jakiegośmy nigdy jeszcze nie zaznali. Ale nie padamy z nóg. Wszystko nas boli, na całym ciele nie ma miejsca wolnego od bólu. Przechodzimy łąki. Przydałby się jakiś stóg siana. Odespalibyśmy dobę i znów wszystko byłoby dobrze. Próżno jednak szukamy kopek siana. Nie widzimy ich nawet w zagrodach. Wypaśli wszystko, w tym miesiącu będą sianokosy. Gdyby deszcz nie padał i gdyby wyszło trochę słońca, moglibyśmy spać gdziekolwiek jak zające.

Każdy krok stawiamy z wysiłkiem. Obchodzimy wieś, i przy niej żadnej kopicy. Chałupy dymią, pachnie chlebem i jadem. Głód nie ssie już, a wilczo rwie brzuchy. Dwieście metrów za wsią las, pod nim samotna zagroda. Wchłaniają nas drzewa, zatrzymujemy się. Siadamy za rzadkimi krzaczkami i spoglądamy na wieś jak wilki. Nie możemy odejść od niej. Popaduje zimny deszcz, ma się już pod wieczór. Nic nie mówimy. Myślę o zbliżającej się nocy i o deszczu, który może nas dobić.

— No co? — pyta Aluś.

Jak chętnie zapytałbym go w ten sposób, by zdać się na jego prowadzenie. Nieprawda, że przeszliśmy już najgorsze, teraz dopiero zacznie się trud. Chce mi się tylko jeść i spać. Widzę czekającą nas drogę i czuję lęk.

— No co? — pyta Aluś.

83

Ogarnia mnie złość. Staram się mówić spokojnie, wychodzi jeszcze gorzej:

— Słuchaj, Aluś, nie może być tak, że jeden głowa, drugi dupa.

Coraz szerzej otwierają mu się oczy, wciąga powietrze bez westchnienia. Nawet oddychanie nie będzie teraz łatwe. Ale wszystko zapada się nagle — Aluś uśmiecha się. Teraz mnie boli to bardziej niż jego. To ja naopowiadałem mu bajek o ciepłych krajach i wywlokłem na tę bidę, a teraz zraniłem do krwi. Nie przepraszam, można to naprawić tylko czymś niezwykłym albo po długim czasie.

— Idę do tej chałupy, tu, pod lasem — wyrywa mi się — lepiej w pojedynkę.

Podnoszę się i idę. Od strony wsi osłania mnie sad. Odpycham furtkę, zawieszoną na korzeniach. Obskakuje mnie psiak, ujada. Wychodzi jary starzec.

— Dobry dzień — pozdrawiam go.

— Dobry dzień — odpowiada uroczyście.

— Jeść możecie mi dać? — mówię wprost.

— Spraszaju — mówi bez namysłu. Gościnnie ruch ręką, godny wielkiego pana.

Zatrzymuję się przy drzwiach w dużej izbie. Pod blachą tłące się polana i pełno donic z warzącym się mlekiem na obszernej, glinianej kotlinie.

— Sadzi sia — wskazuje ławę i szybko mówi coś do wchodzącej młódki.

Kobieta bierze oburącz jedną z donic, stawia na drugiej ławie. Na talerzach w kwiatki podaje grubo krajany chleb i ser. Robi to bez podnoszenia oczu, odchodzi.

— Jedz — mówi stary i zamasyście kiwa głową.

84

Staram się nie pochłaniać wilczo, trud niemały. Myślę o Alusiu pod krzaczkiem. Stary przygląda mi się z powściągliwą radością.

— Ty z Polszczy? — mówi otwarcie.

— Tak.

— Dezerter?

— Nie. — Pokrótce opowiadam mu o nas.

— To wołaj go! — śmieje się.

Wychodzę, za mną stary uważnie ogląda drogę. Zataczam przyzywającym ruchem ręką. Z lasu rażno wyskoczył Aluś, smali z kroku. Wymawia pozdrowienie i uśmiecha się diablo miło. Stary puszcza nas przodem, rozgląda się i wchodzi za nami.

Jemy z Alusiem, staremu śmieją się oczy. Wchodzi rosły młodzik, mówi pozdrowienie, ale trzyma się prosto i z dala. Przyglądamy mu się uważnie. Stary spostrzega to.

— To mój syn, najmłodszy — uspokaja nas. — My nie Rumuny, my Besarabcy.

— Jak to dobrze, że nie Rumuny — podchwytyję.

— Też ludzie — dodaje z zadumą.

Kończymy donicę, chleba z dokładki też niewiele zostało. Stary przynosi nam łąszki. Zrzucamy nasze, myjemy się w cebratce. Wciągamy suche, zgrzebne portki i koszule. Płuczemy nasze, utyłane w glinie i rozwieszamy je nad kotliną. Syn podłożył drzewa pod blachą. Na ławie pojawił się gąsiorek. Próżno wymawiamy się z Alusiem, musimy pić i drugi, i trzeci kubek. Stary zawsze pierwszy wysusza i dolewa. Uśmiechamy się, jest już wino i ciepłe kraje wydają się bliskie. Stary opowiada, jak to wojował w wojnie światowej w austriackim wojsku. Strzelał do nieba, bo gdzieżby śmiał zabijać swoich. Potem przyszedł

85

do swojej wsi, dobrze schował karabin i mundur, wciągnął na siebie zgrzebną siermięgę i skończył wojnę. Z trudem staramy się utrzymać otwarte oczy, zasypiamy. Widzę jeszcze starego z kozuchami na ręku. Prowadzi nas do przyległej izby, rozkłada baranice na podłodze.

— Prześpicie się, a jutro dalej — mówi i odchodzi.

Przykrywamy się z Alusiem. Jest mi bardzo gorąco. Wszystko znika w poźodze krwi.

Ciepło. Z całego ciała emanuje jakaś radość, tak jakby ból i zmęczenie w ogóle nie istniały. Dziecięco dobrze jak przy matce pod pierzyną. Otwieram oczy. Na stole, w kącie izby czarny Christ, rozpięty na drewnianym, prawosławnym krzyżu. Za oknami pochmurny dzień. Może to ostatni już gościnny dom na naszej drodze. Gdybyśmy tak dołączyli do bandy Cyganów ciągnących na południe. Oni też omijają sprytnie prawo, lecz jak trafić na takich? Coś mnie tknęło, ale Aluś odwraca się do mnie i otwiera oczy, ciemnoniebieskie, naiwnie dobre. Patrzę w nie i boli mnie wewnątrz. Jak mogłem zranić go w ten sposób? Aluś wie, co się we mnie dzieje, i uśmiecha się przyjaźnie, ale przez to boli jeszcze mocniej. Nie mogę znieść jego uśmiechu. Twarz mi twardnieje. Nie mogę odsunąć z pamięci tych okropnych słów. Już chyba nigdy nie wyburzę ich z siebie. By nie odwracać twarzy mówię cokolwiek:

— Słuchaj, chłopie. Pchamy się do Czerniowiec. Tam pono mieszka sporo Polaków, musimy ich znaleźć. Oni nam pomogą.

**Aluś przytaknął wesoło, jakby mówił — „Pro-
wadź choć w cały świat!”**

**Wchodzi stary z naszymi ubraniami. Wesoły jak
szpak, mówi, że już południe. Ubieramy się.**

86

**W kuchni na ławie głębokie miski z czubami
hreczki w mleku. Wyjadamy do dna i podnosimy
się. Stary tłumaczy drogę do Czerniowiec, łatwo
zajdziemy przed zmrokiem. Dziękujemy mu, ścis-
kamy mocno starczą, suchą dłoń. Jest wzruszony
jakby wspomnieniem własnej młodości.
Wychodzi pierwszy. Przemykamy obok niego.**

**— Wspominajcie, tylko nie mówcie! — woła za
nami.**

**Podnosimy hardo głowy, że choćby na mękach —
nie wydamy go.**

Idziemy lasem, z boku koleina po wozach. Jesteśmy tak zdziwieni ostatnim wydarzeniem, że nie mamy słów i nic nie mówimy. Skłębiona radość wyrzuca nam uśmiechy na twarze. Dłońmi wygładzamy na sobie ubrania. Za lasem wieś. Po obejściu jej wracamy na drogę. Nie pada deszcz. Z dziurawej chmury wyjrzało trochę słońca.

— Dobrze — stwierdza Aluś.

— Oby tak dalej — mówię z nadzieją.

Zupełnie puste pola. Droga łagodnie wije się między nierównościami. Na bokach kępy krzewów. O jakie pięćdziesiąt metrów przed nami dwóch karabinierów. Długie karabiniska niosą na pasach. Idą swobodnie, bez pośpiechu.

— Prosto na nich — wymawiam cicho.

Mimo że skóra mrowi się na grzbiecie, niedbale wywołuję różną minę.

Odległość staje się coraz groźniejsza, nawet krzaków nie ma, łyse pole. Jedno jest pewne. Nie pozwolimy pędzić się jak barany. Będzie trzeba — wydrzemy im karabiny. Czuję się lekko. Jestem od strony karabinierów. Niby nie patrzę, ale nie spuszczam z nich oczu. O jakie trzy kroki ten z brzegu schodzi z drogi. Schodzę i ja. Przygnębione

87

twarze, smutniejsze od naszych. Nateżam uszy, słyszę za sobą ich kroki, idą dalej. Po chwili odzywam się swobodnie:

— Smutne chłopaki.

— Bo w wojsku — odpowiada Aluś.

Nie wymijamy wiosek, poczynamy sobie coraz śmieiej. Przed szarówką wpadamy na szosę i widzimy Czerniowce. Podchodzimy trochę bliżej, schodzimy z drogi. Pokazują się maleńkie chałupki jak na wsi. Potem okazalsze drewniaki w ogródkach. Przechodzimy most na Prucie. Jednopiętrowe kamieniczki, wyboiste ulice, skąpo oświetlone żarówkami na drewnianych słupach. Suną ludzie gadatliwi jak szum potoku. Śpiewny, żywy język i dużo śmiechu. Tylko policjanci są osamotnieni, jak wszędzie. Nic nie jest nam wrogie.

Pędzimy rażno ulicami, nagle o jakieś dziesięć metrów słyszemy naszą mowę. Szybko wymijamy dzielących nas przechodniów, idziemy za plecami kłócących się dwóch eleganckich młodzieńców. Często wybuchają głośnym śmiechem. Serca nam rosna. Krajanie są w takim ferworze, że nie śmiemy im przerwać. Wpadamy na nich, kiedy zatrzymują się, by lepiej dojść do ładu. Podnoszą głowy, wietrzą zaczepkę.

— Bardzo przepraszam, panowie jesteście Polakami? — zapytuję łagodnie.

— Tak — odpowiada jeden z nich podniesionym głosem, urażony, że śmiemy wątpić.

— Gdzie jest Związek Polaków? . — Niedaleko stąd. Nie wiecie?

— Nie. My z Polski. Przeszliśmy granicę. Odsłużyliśmy marynarkę wojenną i idziemy na statek „Polonia” do Konstancy.

Po chwili osłupienia zanieśli się śmiechem.

88

Spojrzeliśmy z Alusiem po sobie. Ogarnął nas strach przed zbiegowiskiem.

— Panowie, ciszej trochę — proszę.

— Och, tu już nie trzeba się bać!

— Widzisz, a to chłopaki urządzili sobie zabawę
— mówi drugi i znów wybuchają śmiechem.

— Czego chcecie od Związku? — zapytuje pierwszy.

— Zanocować gdzie...

— To już lepiej nie w Związku — wtrąca drugi.
— Bierz ich do siebie, ja zaraz przyjdę — i w jednej chwili zmyka.

Przeciskamy się przez tłum rozbawionej młodzieży. Połyskliwe oczy chłopców. Perlisty szczebiot i śmiech dziewczyn. Chwilami trafiamy na gąszcz nie do przebycia, drepjemy w miejscu albo obchodzimy jezdnią.

— Skąd tu tyle ludzi? — wymawiam ze zdziwieniem.

— Taki zwyczaj wieczorem. Możemy sobie przymówić ładne panienki. Chcecie? Speszony Aluś przecząco kręci głową.

— Nie znamy języka — wykręcam się.

— Tym większe będziecie mieć wzięcie — natrzęsa się krajan.

— Lepiej nie. Trochę to niebezpieczne.

Nie namawia nas. Wodzi oczami po tłumie. Nie przepuści żadnej ładnej buzi. Rzuca zuchwałę spojrzenia i miękkie uśmiechy.

Zostawiliśmy tłum za sobą. Po dziesięciu minutach wchodzimy w bramę kamieniczki, skręcamy w korytarz parteru. Krajan uporał się z drzwiami, wybłysk światła, zaprasza nas do środka, prowadzi przez maleńką kuchenkę do wielkiego pokoju, sadowi w niskich fotelach. Przeprasza nas, zostawia samych. Dochodzi kuchenna krzątanka,

89

rozglądamy się. Szeroki tapczan, kanapa pod oknem, szafa, biblioteka, dywan. Zjawia się drugi krajan.

— Przyniosłeś coś, to nawet dobrze — słyszymy gospodarza.

Przybyły zajmuje krzesło, uśmiecha się łagodnie. Wodzimy oczami po obrazkach na ścianach.

— Dobrze tu życie — odzywam się.

— Tak sobie — odpowiada wchodzący gospodarz. Jest w śnieżnej koszuli. Stawia na stole butelkę wina i kieliszki. Kolega pomaga znosić talerze, siadamy wszyscy. Gospodarz nalewa wino i podnosi kielich.

— Za waszą pomyślność.

Pijemy i jemy bigos. Znów jest nam gorąco. Zdejmujemy wiatrówki, chociaż nasze koszule nie są tak białe.

— Jesteście bogaczami — wymawiam z podziwem.

— Gdzie tam. Pracujemy w firmie importowej, u polskich Żydów! — śmieje się gospodarz. — Ja w dziale niemieckim, on w polskim.

— Jak się tu czujecie?

— Przyjemny kraj. Tu łatwo.

— Mówcie jak tam u was? — ciśnie nas kolega gospodarza. — O waszej drodze.

Zaczynam od początku. Staram się na wesoło. Aluś uśmiecha się, wtrąca, przypomina. Krajanom dech zapiera, to znów parskają śmiechem. Skaczę i omijam szczegóły, by dobrnąć do końca.

Gospodarz zrywa się, przynosi gorącą kielbasę.

— Chyba się rozgotowała — kręci nosem. —
Dobrze, że ruszyliście się. Jak myślicie dotrzeć do
Konstancy?

— Na nogach — odpowiadamy jednocześnie z
Alusiem.

90

— To niemożliwe — wtrąca kolega gospodarza.

— Złapią ich.

— Tak — wtórują obaj.

Na takie chwile mamy z Alusiem uśmiechy.
Wodzimy po sobie oczami.

— Czy macie pieniądze? — pyta gospodarz.

— Nie mamy — odpowiadam. Nalewa kieliszki
aby zatrzeć zgrzyt. Krajanie spoglądają po sobie.

— Najgorsze już przeszli — mówi z uznaniem
kolega gospodarza.

— Kolejną uda się na pewno. Patrzą na siebie
znacząco. Gospodarz przynosi drugą butelkę.

— Pijcie — zachęca nas. To tanie jak barszcz.

Pytają o Warszawę. Niewiele o niej wiemy. Opowiadamy cuda o Gdyni. Są wzruszeni. Najwięcej sentymentu mają dla Krakowa, zbierają się tam na wypad.

— Może zdrzemniecie się? — proponuje gospodarz.

— Lepiej nie — radzi kolega — Niech śpią w wagonie.

Nasze zdziwienie zbywają uśmiechami i wchodzą w szczegóły odbytej drogi. Dla nich byłoby to niemożliwe, dlatego tak chętnie słuchają. Gospodarz spogląda na zegarek i wkłada marynarkę. Wciągamy i nasze wiatrówki. Spoglądamy po sobie znacząco, wychodzimy.

Pustawe ulice. Na dworcu gospodarz odchodzi, po chwili daje nam bilety.

— To pociąg na Bukareszt. W Buzau przesiadka i tamtym już do samej Konstancy — wsuwa mi w kieszeń maleńki zwitek. — Paręset lei, przyda wam się.

Niewiele ludzi. Prowadzą nas na peron do podstawionego

91

już zestawu. Mówimy mało, i to przyciszonym głosem. Krajanie uśmiechają się, bawi ich to. Sadowią nas w wagonie. Pusty przedział, oddzielony tylko półścianką. Radzą nam spać albo udawać, że śpimy. Żadnych prób rozmowy, nie dać się wciągnąć przez gadatliwych Rumunów. Głębiej niż pacierz wbijam sobie w pamięć adres gospodarza. Żegnają nas wesoło i odchodzą. Widzimy ich twarze za szybą. Opuszczam okno. Nasi konwojenci rozglądają się po peronie. Pociąg rusza. Wychylamy się z okna i podnosimy ręce. Jesteśmy bardziej wzruszeni niż inni pasażerowie żegnający swoich najbliższych.

Krajanie znikają. Podciągam szybę. Zaśmiewamy się z Alusiem, gasimy światło. Zajmujemy miejsca pod oknem naprzeciw siebie, czekamy na sen.

Pociąg dudni jak smok. Zostaje tylko rytm, coraz cichszy aż w końcu zanika. Czuję ucisk na ramieniu. Otwieram oczy. W rażącym świetle widzę konduktora. Przymykam oczy i sennym ruchem podaję bilet. Aluś ocknął się i podaje swój. Konduktor dziurkuje, przekręca kontakt i odchodzi.

— Dobrze idzie — odzywa się Aluś.

— Dobrze — odpowiadam.

Z nocy wyłania się jakaś stacja. Skąpe światła, kilkunastu pasażerów. Znów nasenny rytm. Swobodnie rozluźniam się cały, wygodnie wciskam w kąt i zasypiam jak w łóżku. W głowę wwierca mi się wibrujący hałas, budzi mnie. Ze skowytami mijają nas pociąg pasażerski. Jest dzień, nisko zawieszony słońce. Nie spotykana u nas przejrzystość powietrza. Doliną z krzakami po brzegach, płynie Seret. Pojawia się i zanika. Z prawej strony łagodnie wznoszące się, pokryte lasem góry.

Na jednej ze stacji gęsty tłum, tak jakby cała miejscina skupiła się na peronie. Już w biegu wdzierają się do pociągu. Aluś budzi się, od razu przytomnieje. Wiem, co to znaczy. W przejściu rozlewa się żywy potok ludzki. Otwierają się drzwi. Otwierają się i nasze, w jednej chwili przedział wypełnia się ludźmi.

Pociąg rusza, w wagonie podnosi się chóralny śmiech radości. Opada, by ustąpić dźwięcznej i bardzo szybkiej mowie. Spoglądam szparkami oczu. Baby i młódki z koszami, tobołami przy bosych stopach. Odzywają się do nas, jesteśmy jak martwi. Coś radzą między sobą. Siedząca przy Alusiu czarnuszka zalewa go kaskadą słów. Coraz śmielej, potem śpiewnie, prosząco. Baby śmieją się z jej niepowodzenia. Dziewczyna aż wzdycha w udanej żalości. Trąca mnie w nogę palcami stopy. Smagła, gibka jak łasica, opalona. Radośnie byłoby patrzeć w jej ciemne, porywiste ślepia. Żywy ogień — umarły by powstał. My „śpimy”. Babskim piskiem przyjmują młodego konduktora. Ten szybko przegląda bilety i ucieka. Dziewczyna znów próbuje budzić Alusia. Trąca go w bok. Aluś przez sen osłania się ręką. Dziewczyna pyta, potem woła:

— Szty rumuneszti?

Nie mogąc doczekać się, sama odpowiada:

— Nu szti rumuneszti.

Baby wtórują. Są zdziwione i jeszcze bardziej ciekawe. Biorą się do jedzenia. Próbują częstować nas pszennym chlebem i żółtym serem, ale i to się nie udaje. „Śpimy”.

Zbliża się spore miasto. Pociąg staje — Fokszany. Ludzki wylew i znów bieg pociągu. Jesteśmy sami, możemy odpocząć od „spania”.

— Poznały, że jesteście obcokrajowcami.

93

— Na pewno. Trochę miałeś stracha! — śmieje się z Alusia.

— Dobrze, że nie szarpały.

— Wtedy by nas „przebudziły”.

— Byłoby gorzej.

— Zakochała się w tobie, czy co? Śliczna bestia.

Aluś nie zwraca na to uwagi, cały zwarty w sobie, byle dobrnąć do „Polonii”. Za oknami nie kończąca się równina. Ogromne folwarczne łąny pszenicy i kukurydzy i posiekane różnymi barwami chłopskie pólka. Bogata ziemia, ubogie wioski. Pilnujemy teraz stacji, jest Buzau. Wyśiadamy. Dużo ludzi, nikt nie zwraca na nas uwagi. Przeglądamy rozkład jazdy, za cztery godziny nasz pociąg. Jest upał jak nigdy u nas.

Kierujemy się za miasto. Natrafiamy na rzekę, idziemy brzegiem w górę, w zupełne pustkowie. Wysokie spalone brzegi, krystaliczna woda o szybkim nurcie. Rozbieramy się.

Jesteśmy złaknieni słońca i nareszcie mamy go wiele. Przejrzystość powietrza, z nieba leje się złoty żar — przedsmak południowych krajów. Pośrodku rzeki wody zaledwie po pas. Widać piasek, biały jakby koralowy. Bystry prąd wyrywa go, aż zapadają się stopy. Trudno stać. Poddaję się. Zimna bystrzyna pędzi mnie w harcach, po kilkuset metrach wyrzuca na płyciznę. Idę do Alusia, zostaję przy szatkach, on udaje się w spływ. Powraca, siadamy w spieczonych kępach traw. Wokół wysoki, suchy step na pagórkach spiętrzających się ku zachodowi w wysoki masyw. Stamtąd wywija się rzeka.

Tuż przy nas wpada do wody hałaśliwa gromadka wyrostków z dużym psem. Zrzucają na wyścigi koszule i portki. Psu wiążą kamień do

szyi. Najroślejszy za przednie łapy wlecze go do rzeki. Gromada za nim. Puszczają psa, a ten idzie po dnie na zadnich łapach, z łbem na wierzchu. Szczeniaki walą kijami. Wypływa mu jedno oko, drugie wyskakuje w siny guz. Szczeniaki aż wyją z uciechy, okładają go. Ośleply, ale żywy pies ciągle idzie po dnie, ponosi go prąd. Gromada wypada z rzeki, ubiera się i odbiega po radosnej zabawie. Spoglądamy po sobie, otrząsamy się, łeb psa prześladowuje nas jak zmora.

— Szczeniakom należałby się wycisk — odzywa się Aluś.

— Ale jak to zrobić? — mówię z żalnością. — Nigdy w życiu nie topiłeś psów?

— Tak, od razu.

— W ten sposób nigdy nie topiliście w waszej wsi?

— Nigdy! — wybucha Aluś.

Tutejsi ludzie wydają mi się łagodniejsi od nas, lecz gdy pomyślę o tych szczeniakach, rysuje się na nich jakaś skaza. Zapadamy w drzemkę. Budzimy się jednocześnie, ubieramy się. Nie mamy zegarka. Pędzimy na dworzec, za późno, pociąg odszedł. Następny o północy. Kupuję bez słowa długą, pszenną bułkę, kawał kielbasy i znów idziemy nad rzekę. Jemy, kąpiemy się i zasypiamy. Budzimy się, kiedy skóra zaczyna odczuwać brak słońca. Wdziewamy szatki, jest bardzo ciepło. Wschodzi miedziany jak patelnia cygańska księżyc. Coś nas korci, by obejrzeć miasto.

Roztarta glina zapyłonej ulicy na peryferiach, oświetlonej tylko poświatą księżyca. Maleńkie domki z czerwonymi okienkami, pod nimi gdzieś gromadki młodzieży, romansująca para. Zaglądamy przez uchylone drzwi. Na półkach butelki, na bufecie pali się większa naftówka, tuż

przy niej wielki półmisek z kanapkami zakąsek. Po zgodnym słowie wchodzimy. Skinęliśmy głową myjącemu szklanki. Przy jednym ze stolików siedzi trzech chłopów przy winie. Wybieramy zakąski z mięsem, bierzemy je z półmiska i wolno jemy. Bufetowy poukładał już czyste szklanki, wytarł ręce. Próbuje rozmawiać z nami, zbywamy go uśmiechem. Dobry knajpiarz nie jest natrętny.

— Wino? — odpowiada nam troskliwie.

— Wino. — przytakujemy;

Stawia butelkę, nalewa w szklanki, mówi coś szybko do siedzących. Jeden z nich podrywa się i wychodzi. Podaję papierek stulejowy. Dostaję dużo reszty, nie licząc, chowam do kieszeni. Pijemy wino przyjemnie kwaśne, łaskocze mocą i aromatem. Wraca chłop, który odszedł przed chwilą, za nim dwóch bosych Cyganów, ciemnych jak noc. Jeden z nich, smukły chłopak ze skrzypcami pod pachą, drugi stary, zażywny. Pozdrawiają nas, odpowiadamy skinieniem głowy. Chłopak podnosi skrzypce, grając podchodzi blisko nas. Stary skromnie trzyma się z dala, ale czarna twarz śmieje się, jakby chciał z nami podzielić duszę. Odpowiadamy mu uśmiechami. Wesoła melodia, jakby powitalna. Spoglądam na knajpiarza, zataczam ręką od wina do Cyganów. Nalewa jeszcze dwie szklanki. Aluś podsuwa także dla niego. Knajpiarz sięga po nową butelkę, nalewa sobie i aż mieni się na twarzy. Pijemy wszyscy. Cyganie dziękują nam. Stary Cygan próbuje rozmowy z nami, ale prócz uśmiechów nic nie może z nas wydusić. Chłopak gra, żałosna radość skąpana w ogniu, żądza i spazm. Jeszcze jedna butelka i płacę. Aluś wie, że to koniec. Pijemy. Chłopak tnie jakieś radośniejsze strzępy z czardaszów. Siedzący pod oknem pohukują, wchodzą chłopcy

z dziewczynami. Robi się tłoczno. Ścieśniamy się z Cyganami. Stary wskazuje na szklanki, że puste. Robię żalną minę, mówię:

— Nu lei.

Znów ma twarz, jakby chciał nam sprzedać duszę. Stawia. Pijemy z Alusiem cygańskie wino. Chłopak gra, ciągnie na wielu strunach, że aż smyka braknie. Dzika tęsknota za dalą, za swobodą, za szczęściem płynie w gorącym winie. Spalają się wszystkie trudy i udręki. Jednym skokiem dosiężny jest cały świat i nie pragnę go, o dziwo, potrzebuję tylko muzyki.

— Już czas, idziemy — szepcze Aluś.

Idziemy — odpowiadam; spostrzegam, że wszystkie nakazy wyleciały mi z głowy.

Kłaniamy się, podnosimy ręce i odchodzimy. Knajpiarz krzyczy. Cyganie zatrzymują nas.

— Nie zapłacone? — pyta Aluś.

— Wszystko — odpowiadam.

Knajpiarz chce nam postawić przed odejściem. Pijemy i odchodzimy. Rumuni pohukują pożegnalnie. Za nami ciągną Cyganie. Księżyc jak patelnia. Idziemy miedzianą ulicą, chłopak gra.

— Nie mogą iść z nami na dworzec — wymawia Aluś.

— Nie.

Mocno ściskamy im dłonie i szybko odrywamy się w boczną ulicę. Jest mi smutno. Gdyby można było dogadać się pozostałbym z nimi, by iść za cygańskimi skrzypcami.

Na dworcu staramy się iść prosto, uważnie wymijamy ludzi. Nadchodzi pociąg, wsiadamy do pustego przedziału. Jestem wypełniony muzyką i winem, opędzam się jak mogę, ale nasenny rytm wyburza wszystko.

Budzi nas trzask drzwi. Wchodzi dwóch panków.

97

Zajmują miejsca, trzymają się sztywno. Ci stracili już serdeczność ludu, tym lepiej dla nas.

Na południu rozciąga się spora miejscina Folestio. Pociąg wjeżdża na wysoki nasyp, z obu stron rozległa dżungla wikliny, trzciny. Dwie wieżyczki, pod jedną żołnierz, u nogi karabin z nasadzonym bagnietem. Most, ale wody długo nie widać, aż wreszcie szary, zagliniony, ogromny Dunaj. Znow baszty i żołnierz. Ze zdziwienia, kiwamy głowami. Takiej rzeki i mostu nie widzieliśmy jeszcze. Suchy kraj spękanej gliny, z niej ulepione wioski i ludzie.

Pociąg wpada w duże miasto i staje. Wychodzą wszyscy. Na peronie oglądamy się za wyjściem. Tłum popycha nas jak fala, wyrzuca za szeroką bramę ogrodzenia. Wszystko w nas drga, wszystko jest radością. Idziemy do portu. Już z dala patrzymy na statki, na ciemny, głęboki błękit morza. Wracamy z powrotem. Na głównym placu gapimy się na Owidiusza w todze. Zatrzymuję młodziutką dziewczynę, pytając wymawiam nazwę ulicy. Dziewczyna mówi szybko, spostrzega, że nie rozumiemy, i zaśmiewa się cudownie. Wskazuje kierunek ręką, odmyka ją nagłym ruchem w prawo. Dziękujemy uśmiechami, pędzimy. Jest nasza strada i jednopiętrowa kamieniczka z frontowym napisem „Polski Dom Marynarza”. Wchodzimy po kilku schodkach, dzwonię. Otwiera stara babcia, niewiele rozumie naszej mowy, aż sama wreszcie upraszcza:

— Wy polskie matrosy?

— Tak, babciu — odpowiadamy.

— Chadzicie.

Wpuszcza nas, sadowi w fotelach w holu i zostawia samych. Czujemy się jak we własnym domu. Śmiejemy się od ucha do ucha. Kres drogi.

98

Po pół godzinie wchodzą dwie eleganckie panie, witają się z nami i siadają. Polki. Pokrótce mówię o naszych zamierzeniach. Staram się mówić bardzo skromnie i z odrobiną wstydu, by nie potraktowały nas jak andrusów, jakimi właściwie jesteśmy. Coraz częściej wstrząsa nimi śmiech, nie mogą usiedzieć. Podnoszą się, jakby chciały uściskać nas. Siadają. Śmieją się dźwięcznie, głośno. Jedna z nich mówi po rumuńsku do babci. Po chwili herbata i kanapki. Zachęcają do jedzenia.

— Rozgoście się, czemu jesteście jeszcze nastroszeni — ośmiela nas starsza.

— Baliśmy się trochę — odpowiadam — że panie nawymyślają nam od przestępców, że czeka nas więzienie.

Zagłuszają mnie rozkosznym piskiem i obsypują pochwałami, aż się czerwienimy. Dowiedzieliśmy się, że kierownik pojechał do Bukaresztu, że pustego Domu pilnuje tylko stara Besarabka. Już one jej powiedzą, nie piśnie nawet słowa. Że zbiorą się wszystkie żony oficerów i uradzą. Za trzy dni przychodzi „Polonia”. Będą rozmawiać z mężami, i to jak: — Niech Was tylko nie wezmą, już my im damy! — Aż mrużą oczy i śmieją się z własnych słów. Mamy nie wytykać nosów, komenderuje starsza. Babcia będzie nam gotować jedzenie. Besarabka przytakuje i zbiera szklanki.

— Nie wyda nas? — zapytuje Aluś.

Babcia zrozumiała jego nieufność. Jest obrażona, krzyżuje ręce na piersiach i zarzeka się w swoim języku. Panie śmieją się i tłumaczą:

— Mówi, że chociażby ją zabijali, że ma takich, synów jak wy. Prowadzą nas na piętro. Babcia otwiera drzwi,

99

pokoik z dwoma łózkami, świeże powleczenie. Polki żegnają nas.

— Nie będzie wam tu smutno — pociesza nas młodsza, opalona jak Rumunka. — Gdy panie dowiedzą się, że przyszliście z Polski, zaraz tu będą.

— Wy budzicie matrosy, mnogo dziengów, wy kupicie mi sachar — szepcze Besarabka.

— Babciu, mnogo sacharu! — odpowiadamy.

Jeszcze tego samego dnia mamy kilka odwiedzin. Potem panie przychodziły z winem i ciastkami. Byliśmy skromnymi chłopakami i dziecinnie chcieliśmy tylko statku. Może przez to mieliśmy tak czułą babską opiekę jak nigdy w życiu.

Rankiem trzeciego dnia babcia uroczyście powiedziała nam, że jest „Polonia”. Koło południa przyszły panie z pierwszych odwiedzin, by powiedzieć, że wszystko już ułożone. Tylko musimy sprytnie wejść na statek. Odeszły, życząc powodzenia.

Wyszliśmy. Minęliśmy zadumanego Owidiusza, nie było nam wesoło.

Zobaczyliśmy żółte kominy z widełkami Posejdon. Przeszliśmy Dworzec Morski. Wielki stary grat, już bez pasażerów. Z pierwszego luku krany szarpia ładunek. Trochę gapiów przy trapie i dwóch karabinierów. Podchodzimy bliżej. Grupa robotników idzie na statek, wsuwamy się w środek i razem z nimi stajemy na pokładzie.

— To wy? — zatrzymuje nas wachtowy.

— Tak.

Kiwa głową na drugiego marynarza. Spieszymy za nim. Mijamy zdziwionych, zaśmiewających się chłopaków.

— Udało się wam! — odezwał się jakiś swojak.

100

Błysnęliśmy oczami. Po zejściu w dół ochmistrz przydzielił nas do kabiny chłopaków.

Statek aż zatrząsł się nowiną. Oglądają nas. Niektórzy z jawną pogardą. „Marynarze, co idą 2000 km pieszo!” Innym podoba się to. Nie tłumaczymy, że było trochę inaczej. Nie chcemy zostać kanciarzami.

Nie mustrują nas ani nie pędzą do pracy. Ciągła niepewność. W każdej chwili karabinierzy mogą nas wywlec.

Nadchodzi dzień odjazdu, pasażerowie już na burcie. Po południu przychodzi po nas asystent z pokładu, w śnieżnej bieli, smukły, o chłopięcej twarzy jak efeb. Tylko tacy mogą prowadzić na Olimp. Otwiera drzwi kapitańskiego salonu, sam zostaje. Ogromna, mroczna przestrzeń, od burty do burty. Za stołem siedzi kapitan, z prawej stoi pierwszy oficer, jego prawa ręka. Obaj w tropikach — biel i złoto. Na nasz ukłon ledwo dostrzegalny skłon głowy. Chmurna twarz, maleńkie oczy przenikają nas na wskroś. Bezruch i chwila stężałej ciszy. Podniosła aura surowego władztwa.

— Panowie przyszli z Polski...

Głos cichy, wolno skandujący, o wschodnim akcencie. Raczej konstatuujący niż pytający. Robi mi się wesoło. To „panowie” w jego ustach śmiesznie do nas nie pasuje.

— Tak, panie kapitanie — odpowiadamy z Alusiem. Pomruk, z odcieniem wzburzenia.

— Z ambasady z Bukaresztu, przysły książeczki żeglarskie. Jesteście panowie przyjęci. — Składa na nich swój podpis i podsuwa je „prawej ręce”.

101

Pierwszy oficer bierze książeczki i pociąga nas za sobą. Za drzwiami mówi wesoło:

— Zrobicie sobie zdjęcia u fotografa statkowego. I do roboty.

Ginie ostatni strach.

Aluś zaraz przeprowadził się do załogi maszynowej i poszedł do kotłowni. Widuję go czasami, jak znosi w dół kubek z zimnym napitkiem dla palaczy, tylko w spodenkach, oblany potem. Ja jestem kartoflarzem, dziesięć i więcej godzin dziennie obieram kartofle.

W Pireusie zeszliśmy na ląd. Przyjemnie czuliśmy w kieszeniach książeczki żeglarskie. Napiliśmy się soków z grejpfrutów, wróciliśmy na statek. W Haifie pancernik angielski „Repulse”, ulicami przelatują czołgi, słysząc strzały. W dzielnicy arabskiej, o mało musielibyśmy ściągnąć spodnie, by dowieść, że nie jesteśmy Żydami. Jedno słowo dało nam przejście. — „Polonia” — powtarzał uspokojony tłum.

Po powrocie do Konstancy pierwsza, niepełna wypłata, bardzo dużo lejów. Przekazem pocztowym spłacamy dług Polakom w Czerniowcach. Aluś ze swoich pieniędzy kupuje 5 kg sacharu dla starej Besarabki. Ba, skoro zarabia trzy razy tyle co ja.

Myślimy o wysłaniu widokówki z pozdrowieniami dla wydziału paszportowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. W końcu wystarczy nam uśmiech; zapalczywość mija, gdy człowiek dopnie swego.

Z Pireusu wybraliśmy się koleją elektryczną, potem serpentyną autostrady na Akropol. Las kolumn Partenonu z zachowanym frontonem. Znow Ateny. Na jednej z szerokich ulic pełno rzeźb: w chitonach, w chlajnach, w zupełnej nagości.

102

Późna noc, więcej posągów niż żywych ludzi. W wędrówkach po Morzu Egejskim upewniam się, że tylko tu mogło kiedyś trwać władztwo poezji. Wyspy i wyspy. Na lazurowej toni porozrzucone skały wszystkich wielkości i kształtów. Zielone uskoki z pasącymi się stadami owiec i kóz. Gaje oliwek i palm. Wysoki błękit i słońce. Tylko tu mogli żyć ludzie równi bogom, mogli sypiać z boginiami, bogowie mogli łaknąć ich kobiet. Chłonie to nawet najbardziej zapijaczony marynarz i spływa na niego radość. Czasem widzimy rybaków, chłopów, w maleńkich łupinach żeglują na którąś z wysp. Niepojęta granica państwowa.

Każdą wolną chwilę po pracy spędzamy na dziobie, w miejscu wydzielonym dla załogi. Opalamy się na Arabów. Wykąpany Aluś wypoczywa po katorżnej pracy, której sprostaliby tylko najgorsi galernicy. Nie mówimy wiele, bo i po co — jest dobrze. Tylko coś się łamie we mnie, kiedy przypominam sobie słowa, jakie rzuciłem Alusiowi po przejściu granicy. Aluś miał wtedy najbardziej naiwną minę, był jak dziecko. Chwilami zdaje mi się, że zapomniał o tym. Ja nie potrafię.

Znów w maszynie zasłabł węglarz. Idę na jego miejsce, w najniższe dno piekła. Będzie za to kupa pieniędzy.

W Konstancy coraz chłodniej, aż przychodzą zimowe szarugi. Po przepłynięciu Dardaneli — wieczne lato. W Haifie na Karmelu wille obsypane kwitnącymi różami. Otchłań kotłowni nie odpowiada mi, nie ma powietrza ani słońca, ni widoku. Staram się na pokład, ale tam już liczna kolejka chętnych. Nocą długo myślę, czy nie odmustrować się przypadkiem i nie zaciągnąć na

obcy statek. Zadrzałem wtedy, chciałem wrócić do ojca; mama już dawno umarła...

W Pireusie kazałem szyć ubranie na miarę i płaszcz gabardynowy. Kupiłem trochę bielizny, skórzaną walizkę, by schować to wszystko, i baskijkę z małym daszkiem. W Rumunii słońce już dobrze dogrzewa, w Polsce ma się na wiosnę. Z Bukaresztu przyszedł paszport. Odmustrowałem bez widzenia się z kapitanem. Spakowałem walizkę. Z kotłowni wywołałem Alusia, by uścisnąć mu grabę. Dziwne pożegnanie, tak jakbym wychodził za pierwszy z brzegu róg napić się piwa, gdy być może, nie zobaczymy się już nigdy.

Druga, miękka klasa; nie przychodzą tu bosa dziewczyny, nie ma Cyganów. Wszystko wydaje mi się dziwne; poddaję się ospałej pewności siebie. Chłopi orzą wołami. Na stacjach tłum, odziany własnym pomysłem lub przemysłem. Dużo mężczyzn w sandałach z opon samochodowych. Granica.

Kopiści i deszcz, jak prawie rok temu. Odprawa celna po naszej stronie. Czyż jestem już bardzo bogaty?

W rowach leżą jeszcze płachcie śniegu. Ziemia coraz bardziej jałowa. Kraj szary, zimny, ale mój. Aż wszystko zamazuje lepka noc.

Rankiem pokazuje się Łódź z burą, mokrą czapą dymu. Minęły dwa lata, odkąd wyjechałem z tego miasta. Nie pamiętam tramwaju, pytam o linię do Górniaka. Nie wykorzystałem ostatniego urlopu w marynarce — nie miałem na bilet.

W tramwaju niedożywieni ludzie z widmem nędzy na twarzach. Myślę, czy nie wziąć ze sobą butelki wódki. Jednak ojciec nie przyjąłby tego dobrze, marnowanie grosza. Od Górniaka smalę z kopyta, z walizką w jednej ręce, z ogromnym

104

kręgiem kielbasy pod pachą drugiej. W domu zawsze pragnęliśmy najeść się jej do syta.

Nagle Bolesław Przybylski. Wzajemny wybuch radości. Zagadaliśmy się, a on przecież do pracy.

— Przyjdę. Serwus.

— Serwus.

Szare, odrapane kamieniczki, strasznie to nędzne. Wchodzę w ciemny korytarz, pukam jak obcy. Słyszę głos siostry. Przechodzę próg. Pisk. Ojciec z brzegu, więc biorę go za bary. Odsuwa mnie i trzyma za ramiona. Aż zbladła sucha, pociągła twarz. Małe oczy przeglądają mnie na wskroś.

— Na twarzy nic się nie zmieniłeś. Zawsze dziecinny.

— Wykapany ojciec! — śmieje się siostra. Odpycha ojca, też chce się przytulić. Potem ojciec odpędza ją.

— Dałabyś spokój. — Niech odetchnie.

Pierwsze wzruszenie odpłynęło już, ale za jeszcze jedną taką chwilę popędziłbym na księżyc. Ojciec opowiada, jak to kiedyś chodził do Prus na saksy, zdaje mu się, że i ja powracam z jakiś saksów. Schodzą się koleżkowie, stare baby, już pełna chałupa. Przypominają mi, jak to kiedyś byłem tyci i zawsze w zabawie zastawiałem rynsztok ku ich utrapieniu. Muszę odpowiadać.

— Przecież mogliby cię wziąć do więzienia — wypomina ojciec.

— To, co zrobił, nie jest grzechem — bronią mnie baby.

Siostra odkłada pracę, nie może szyć bielizny. Robi sobie święto. Popędzają mnie, więc świecę im jak kiedyś Alusiowi. Wszyscy chcą iść w świat.

105

Przychodzą, odchodzą, w końcu siostra wypędza ich wieczorem.

Chodzę, rozglądam się, rozmawiam z kolegami. Kasetemu już nie ma, partia rozwiązana. Jeszcze schodzą się grupkami, radzą i narzekają, narzekają i radzą, aż do kołowacizny.

Pieniądze kończą się wreszcie. Ojciec nie pracuje. Siostra za grosze depcze maszynę kilkanaście godzin dziennie.

Boleś urządza mnie na poczcie, jestem listonoszem. Zajęcie trochę jak gazeciarz, odpowiada mi. Czasem za dobrą wiadomość ludzie leją we mnie kielicha, kucharki dają podezreć, byłem tylko listy miłosne przynosił od kuchni. Męką są wezwania do sądu, zawiadomienia o eksmisji i zajęciu ostatnich gratów.

Siostra ledwo wiązała końce miesiąca, ani najeść się kielbasy do syta. Widziałem pięćdziesięcioletnich listonoszy, zesłabłem. Bolesł przekonywał mnie: gdy będę się starał, na pewno podniosą mi grupę. On, jako lakiernik w warsztacie samochodowym miał już wyższą. Ubierał się ładnie, mnie nie podobało się to.

Paszport musiałem oddać, ale miałem jeszcze książeczkę żeglarską. Przypomniała mi się Gdynia, ogarnął mnie strach. Aż w końcu napisałem cały elaborat do generała Zaruskiego, że jestem marynarzem, że pływałem na „Polonii”, że tylko morska przyszłość może być naszą wielkością, że kiedyś Polska była od morza do morza, a teraz w przyjaźni z Rumunią, też możemy korzystać z Morza Czarnego, że stamtąd na Bliski Wschód jest kilkakrotnie bliżej niż drogą wokół Europy, że kiedyś na pewno zostanie przekopany Kanał Wisła-Dniestr i że małe statki będą wtedy chodzić z Bałtyku na Śródziemne, że harcerze powinni

106

torować drogę tym poczynaniom i założyć przy ujściu Dunaju stanicę.

Zaruski odpisał mi wielkodusznie. Taka stacja będzie brana pod uwagę, a jeśli chcę, może mnie zaciągnąć na bosmana na „Zawiszę Czarnego”. Grzecznie wypowiedziałem pracę. Siostra próbowała mnie powstrzymać, ale ojciec pchał:

— Niech idzie. Co tu ma dobrego? Popatrz na mnie, jak wyschłem.

Zakręciło mi się w oczach, bez walizki wypadłem na dworzec.

W pociągu miałem dużo czasu, by uładzić się z sobą. To z harcerstwa poszedłem przecież do KZMP i byłem tam aż do pójścia do marynarki wojennej.

Nie chciałem pozbawić się uroków pierwszego, odrzuciłem tylko światopogląd. Nasz drużynowy, harcmistrz Zakrzewski, nie będąc komunistą, snuł plany tworzenia spółdzielni harcerskich, które mogłyby być zaczątkiem komun. W konspiracji mieliśmy taktykę przenikania wszędzie, by kopać, ryć, drążyć, organizować, aby potem porządnie pchnąć, aż wszystko runie z trzaskiem. W rozsypce, gdziekolwiek byliśmy, czuliśmy się nadal kazetempowcami.

Gdynia nie wydaje mi się straszna. W kilka osób stałej załogi zbroimy „Zawiszę”. Przychodzi dowódca, Zaruski. Jest mały, władczy, nie oślepia strachem. Żywiołowa młodź strasznie go lubi. Zaruski zawiera w sobie jej dążenia i marzenia. Jest generałem, ma jednak twórcze, szerokie spojrzenie na świat.

Przechodzimy na szkolny, służbowy dryl. Staram się dopiąć, by zmieścić się w nim. Nie lubię komendy, a jeśli mam ją wykonać, coś we mnie chichocze, przełamuje się śmiechem.

Po całodziennym, ptasim zgiełku idę wzdłuż nabrzeży, by popatrzeć na statki. Poniżej Żeglugi Przybrzeżnej leży szkuner rybacki „Marie-Alice”. Chłopaki w swobodnym spokoju. „Marie-Alice” ma trochę przykrótkie maszty, obcięte, pewno wpakowali jej potężnego dizla. Ogromne, ryżawe chłopisko płucze w nafcie tuleje, panewki. Spoglądamy na siebie, śmiejemy się. To Chojnacki z emdelotu*. Rozpoczynamy rozmówkę. Idą na pionierską wyprawę homarową na Skagerrak, mają niepełną załogę. Na drugi dzień przenoszę się na „rybaka”, odchodzimy w niezapomnianą noc świętomorską. Za nami kuter, inne mają przyjść później.

Stoimy w porcie rybackim Skagen, przy samym cyplu Jutlandii. Rybaków że ho, ho! Z całej Północnej Europy. Na szkunerze urządziliśmy fabryczkę konserw: stoły, maszynka do zamykania puszek, kocioł do gotowania. Przerabiamy szyjki homarowe i makrele. Zaopatruje nas w nie kilka polskich kutrów, inne sprzedają rybę na miejscowej, wielkiej aukcji.

Kiedyś po robocie siedzimy na nabrzeżu z nogami spuszczone ku wodzie. Chojnacki mówi, że pisuje z Alusiem. Aluś powrócił już do Gdyni, bo stary grat „Polonia” ma iść na złom, a sam niedługo tu przyjdzie i zajmie miejsce Chojnackiego, bo ten jedzie do Anglii na większy szkuner-tramp, którego współwłaścicielem jest Polak, sławny Pigiel. Rzeczywiście, wkrótce przybywa trawler „Ławica” z puszkami dla nas — i z Alusiem, a Chojnacki odpłynął pasażerem z Kopenhagi.

Aluś jest już otrząskany, pewny siebie i bardzo cięty na robotę. Nie mówimy wiele, rozumiemy

*** Morski Dywizjon Lotniczy — w skr. MDL**

108

się doskonale. Czas nie może zatrzeć naszej wielkiej drogi. Nie wspominamy jej jednak, siedzi w niej cierń, raniący nas obu.

Coraz częściej przychodzą Duńczycy, mówią o wojnie, od nas chcą się czegoś dowiedzieć. Nie jesteśmy ciekawi, mało to mówiono o wojnie? Aż jednego wieczora ogarnia nas niemy pośpiech. Szukamy się po mieście, potem zrzucamy cumy i odchodzimy. Kierownictwo wyprawy dziwnie zainteresowane silnikiem. Aluś dogląda go jak nowo narodzonego dziecka. Dowiadujemy się, że z Gdyni przyszła iskrówka, by natychmiast płynąć do Szwecji. Nad ranem przychodzimy do Marstrandu. Celnicy pytają, czy już wojna. Ale wybuchła dopiero następnej nocy. Niemały wstrząs. Nocą przemykamy się wodami terytorialnymi do Göteborga. Stajemy na Gocie, wiążemy do boi.

Przychodzą coraz cięższe dni, w końcu czas zapada się i odpływa z naszych zainteresowań. Wieczorami siadamy na pokładzie, mało słów, drętwo. O pięćdziesiąt metrów na rzęście oświetlonym drewnianym pomoście miejscowe podlotki urządzą sobie zbór ze śpiewami, piskami i śmiechem. Przychodzą jesienne chłody, my nie mamy nawet ciepłej bielizny. Zapłatę według umowy mieliśmy dostać po powrocie do Gdyni. Coraz bardziej jałowe jedzenie, w końcu objeżdżamy łódką kilka stojących w pobliżu polskich statków, ściągamy kartofle, krupy, kawał słoniny, co się da. Kierownictwo często przychodzi pijane, chłopaki widują je za ogromnymi taflami szyb luksusowych knajp. Zaczynamy szemrać. Idę w delegacji. Karp, ogromne chłopisko, współwłaściciel kutra, chce mnie wypędzić. Powstrzymują go dwa inteligenciaki. Wrogość. Późnym wieczorem słyszymy z pomostu Karpia,

wołającego o łódkę. Przewiózł go jeden z Kaszubów. Karp przetacza się przez reling jak monstrualny krab z bluzgiem pijackich przekleństw. Nie jest ułomkiem, rybak na schwał, stary awanturnik. Staje mocno na pokładzie, toczy spojrzeniem. Chłopaki cichną, by nie dać powodu. Spozrzegł mnie i wali wprost. Ociera się brzuchem, lekceważąco, pewnie. Z gardła zionie wóda, charkoce:

— Ach, to ty! — Cwany łobuz nie mówi, że byłem delegatem. Nie chce poruszyć innych. — Masz szczęście, że nie byłeś w łódce.

Bluzga na mnie plugastwem. Roślejszy o głowę, szrama jak krecha przy nic nie wyrażających ustach. Patrzą w wypłowiałe oczy zbója. Karp wyczuwa, że jeśli mnie ruszy, teraz pójdę, mimo przegranej, na całego. Chce tą gotowość zdusić coraz groźniejszym bluźnieniem, załatwi mnie, kiedy będę porażony strachem. Milczę, zmęczy się, przestanie. A jednak oblewa mnie nie kończący się potok gnoju. Nagle tuż przy nim Aluś. Dobywa nóż od patroszenia ryb, przykładając mu do brzucha.

— Ani słowa! — Brzmienie słów trochę cienkie, ale strasznie zajadłe.

Karp milknie. Na bladym pysku odcień ironii, ciągle szatańsko groźny. Odchodzi, macha ręką. Bulgoce sam do siebie i znika w zejściu do pomieszczenia dla kierownictwa.

Pilnujemy się trochę. Aluś jest jeszcze skromniejszy, a przecież „oddał mi” z nawiązką to głupie powiedzenie znad granicy rumuńskiej. Jest górą, ale — zdaje mi się — on tak nie myśli...

Tuż przed wyjściem naszych statków do Anglii, w kilku komunistów odrywamy pół setki marynarzy i — zostajemy. Szwedzi umieszczają nas,

110

zdrowych byków, w domu dla starców. Politykujemy. Aluś nie bierze w tym udziału, chodzi ciągle po porcie, w końcu przepada. Nas przewożą na farmę świńską do Pielbo. Z ambasady radzieckiej nie możemy doczekać się pozwolenia na wyjazd do tego kraju. Nie mogą doczekać się i Szwedzi, w końcu pakują nas do więzienia w Göteborgu. Pięciodniowa głodówka, sprawa w Rikstagu. Możemy iść na statki. Z więzienia wiozą nas przed samym zdejmowaniem cum, jak kiedyś za starych, wielkich i dobrych marynarskich czasów.

I trafia mi się „Blankaholm”, najlepszy statek w moim życiu. W Anglii nie mamy zejścia na ląd jako neutralni, a w Stanach tylko ja nie dałbym dęba. W wolno wlokących się po Atlantyku konwojach dużo czasu do rozmyślań. Wspominam Alusia, nie wiem, gdzie się obraca. Może zapomniał już o mnie? Tak byłoby najlepiej, pozbędzie się ciernia.

Po roku odmustrowałem w Norfolku. Ani mi się śni zostawać tu dłużej. Chcę tylko wydać pieniądze, by się nie utopiły. Straszna chwila — tonąć z pieniędzmi. Chcę obejrzeć ten piękny kraj. Nowy Jork jak jakaś Belgia czy Holandia, cudowna Floryda. Wydawałem szybko, a resztę ukradł amerykański Polak, włóczęga, którego przyhołubiłem. Oby mu dobrze służyły. Cieszyłem się, że chociaż trochę opłaciłem gościnność, jaką darzyli mnie rodacy. U obcych było dobrze, miałem nawet trochę szczęścia w wygodnym urządzeniu sobie życia. Ale znowu chciałem do ojca. Przed pójściem na statek, chciałem nacieszyć się Polakami. Wybrałem Detroit. Wieczne lato Florydy uciekało w godzinach jazdy. Pędziłem samochodami na gapę. Spałem w czasie jazdy. Szoferzy ogromnych

troków zabierali mnie ze sobą na posiłki do swych barów. Trafiało się, że jedliśmy w dobrej restauracji przy jednym stole z właścicielem drogiej limuzyny. I znów w drogę. Trochę wolniej przedarłem się przez karkołomne i pustawe Alleghany. Ciężka zima. Zwały i nawisy śniegu. Strzaskane ciężarówki w przepaściach. W Detroit Dom Polski — pełno jadła i praca.

Butelkuję lemoniadę u Polaka. Właściciel fabryki najwięcej z nas wszystkich pracuje i święcie wierzy, że będzie milionerem. Wieczorami chodzę do Domu Polskiego. Strasznie tu dobrze, czasami zdaje mi się, że jestem w Polsce. Któregoś dnia w holu, miałem już wychodzić, a ciągle nie mogłem pożegnać się z krajanami, widzę przez oszklone drzwi zajedzający ładny, ciemnowiśniowy samochodek. Wychodzi para. Smukła dziewczyna w białym misiu, o bujnej, jasnej grzywie. Facet trochę niższy, w burym, wołokowym płaszczu. Kiedy przeszli obok nas, aż otworzyły mi się usta. A facet jeszcze rozgląda się po bufecie.

— Kto to jest? — pytam.

— Mechanik, bardzo zdolny chłopak. Będzie inspektorem odbioru u Chryslera — gorliwie odpowiadają mi krajanie.

Pędzę. Ta sama skromność. Twarz trochę blada.

— Co tu robisz, Aluś?

Twarz jeszcze bardziej jaśniej. Oczy rozbłysły w dobrym uśmiechu.

— Nie może tak być, że jeden dupa, a drugi głowa!

Potem z otwartymi ramionami runął na mnie do serdecznego uścisku.

112

GUADALAJARA! GUADALAJARA!

Ciało moje i myśli przepelnione były bólem, aż jęk rozsadzał głowę. Chwilami byłem na nic nieczułą bryłą lodu, to znów krew tętniła zarem jak płomień. Drżałem. Paleniska szumiały jak żywioł. Za stalową ścianą pasł się nim łomot tłoków — znaczący ponury rytm mojej męki.

Przy środkowym kotle stał olbrzymi Kola. Spoglądał w popielnik i mrucał coś do siebie czy do ognia. Pod jedną burtą kwadratowy Funio jak niedźwiedź przestępował z nogi na nogę i oglądał się jak za pajdą z miodem. Sidorowi twarz złagodniała niczym dziecku, wyrośnięty był jak Kanak... Potężne, nagie torsy wypoczywały w łatwej wachcie. Odbiłem klapy „rękawów” i węgiel sam sypał się pod kotły. Można było odechnąć...

To było tak, jakby umarła mi matka, jakby wymarła mi cała rodzina. Mój ojciec, człowiek nieskończonej dobroci, tę samą dobroć wpajał mi przez całe życie. To wszystko nieprawda, był w błędzie. Można ludzi zabijać jak muchy. Odwracałem się, kiedy ucinano łeb kurze, a teraz wziąłbym topór i rąbałbym ludzi.

Miałem trochę ponad dwadzieścia lat, byłem węglarzem i pracowałem wcale nie lżej od Koli. Kobiety mogą się wyplakać, mężczyźnie, jeśli tak się podda, świat wali się na głowę.

Do Koli przytoczył się Funio, podszedł Sidor. Pokazali sobie wesołe gęby, potem spoglądali na mnie, jakby zapraszając. Nie miałem ochoty.

113

— Nic nam dziś nie powiesz? — wołał Kola.

Podszedłem.

— Co wam powiedzieć? Czy jak Niemcy i Włosi zbombardowali Guernikę i Almerię?

— Ano! — domagał się Funio.

Mówiłem im o Guernice, obróconej w perzynę przez włoskie i niemieckie samoloty, o Almerii, bombardowanej przez „Deutschland”.

— I to tak we śnie; niektórzy budzili się jeszcze na swoją śmierć — ruszył wyobraźnią Kola.

— Kobiety, dzieci... — dopowiedział Sidor. Mimo trzydziestki był zupełnie chłopięcą. Kobiety były, by mógł je kochać i dawać im rozkosz.

— Łotry — wymruczał Kola.

— I to Niemcy? — nie mógł pojąć Funio. Pochodził z Pomorza; był zapatrzony w ich kulturę.

— Hitlerowcy, faszyści! — odpowiedział Kola, jakby to był inny gatunek.

Posmutniały twarze. Kola przeklął, chwycił łopatę i ze złością wydzwaniał nią o kocioł na podsypkę. Ujęli swoje i wzięli się do roboty. Twarde, zawzięte zmaganie się z ogniem przynosiło ulgę dławiącej ich ludzkiej męce i śmierci. Byli bezbronni, bezsilni i gniewni. Wypowiadali parę prostych słów bez bluźnierstw i przekleństw, by nie urazić zmarłych. Trafił się dobry węgiel i do samego końca wachty nie zaznali radości łatwego palenia.

Po wachcie siedzieliśmy na materacach i paliśmy papierosy. Obszerne podwyższenie rufowe drgało trochę od mlących śrub, ale przyzwyczajeni, nie dostrzegaliśmy tego. Statek sunął na największej szybkości, bez najmniejszego kołysania jakby stał w miejscu.

Głęboki, ciemny błękit wody i jaśniejszy nieba, z łagodnym blaskiem drżących gwiazd. Morze

114

tchnęło orzeźwiającym, mokrym ciepłem. Noc jak puszysty kot ocierała się o nasze czyste już skóry. Z dolnego pokładu dochodziło zawodzenie w hibru.* Z otchłannego smutku przebijała najczystsza radość. To pasażerowie, „wieczni tułacze”, płynęli do swojej Ziemi Obiecanej. Przy schodkach, na samym brzegu wzniesienia, wyłoniła się samotna kobieta, niepewna i ciekawa. Nikt nie odezwał się ośmielająco, by została. Sidor podszedł i oparł się o reling, ale więcej niż na wodę spoglądał na pokład, na pary siedzące w leżakach, splecione w objęciach rąk. Wrócił po chwili i wymówił cicho:

— Ale tam są śliczne dziewczyny!

— Gdzie? — pytał Funio.

— W Andaluzji.

— Ooo! — zawtórował Kola.

Tam ogniste dziewczyny w zapamiętaniu oddawały się płomiennym rytmom fandango, w kaskadach kaskanietów, w szumie gitar. Czyste[^] perliste głosy unosiły się w ekstazie, w obejmujących męskich przyśpiewach. Potem zamierały w pocałunkach. Zakołysała mi się śródziemnomorska noc. Teraz, w tej chwili, zabijano te dziewczyny jak muchy. Ich chłopcy odrzucili gitary i z karabinami w rękach, w ostatnim krzyku, rzucali się w objęcia śmierci.

— Ale tam są dziewczyny! — powtórzył Funio.

— Daj spokój — strofował go Kola — nie są najszcześniejsze.

Legliśmy na materacach, aż wszystko okrył dobry sen.

Węgiel nie sypał się już sam, trzeba go było brać z wielkiego bunkra. Nakładałem czubate łopaty na żelazną taczkę, ile się dało. Chwytałem

***w języku hebrajskim**

115

drewniane uchwyty, prostowałem grzbiet i napierałem całym ciałem. Ostrożnie przemykałem wąskim przejściem pomiędzy parzącymi kotłami i jednym ruchem, przez koło, wywracałem taczkę. Pod paleniskami było niewiele węgla. Nadażalem, ale chciałem zrobić zapasik, by odsapnąć trochę. Z pustą taczką pędziłem biegiem, i znów od nowa; nakładałem uważnie, by po drodze nie usypywał się czub i by bryły nie zaśmiecały mojego toru. Nieraz o mało nie wybiłem sobie zębów. W wąskim przejściu syczałem z bólu, znów otarłem się o rozpalony kocioł. Z początku na obu ramionach miałem skorupy oparzeń, dopiero niedawno wygoiły mi się. Spływałem potem, aż bluzgało w buciorach, choć na każdą wachtę starannie owijałem stopy świeżo wypranymi, suchymi onucami z białej flaneli.

— Pływasz? — zawołał Sidor.

Strącałem pot ze łba, by nie ślepił. Było to prostsze niż wycieranie szwajstukiem*, jak robili palacze.

— Nieźle biega — śmiał się Funiu.

— Jak szprinter — dogadywał Kola — ze dwa lata, a wyślemy go na Olimpiadę.

Parskałem im śmiechem w nos i pędziłem jeszcze szybciej.

— Nie chciał być marynarzem od strugania kartofli — dobiegł mnie głos Koli.

Był to cholerny czas. We dwóch w dzień i noc obieraliśmy ziemniaki dla tysiąca pasażerów i dwustu osób załogi. Miałem ziemniaczaną skórę i bałem się, że mi kartofle wyrosną na dłoniach. Przeklinałem Kolumba i odkrycie Ameryki. By nie przyzwycząić się do siedzącej roboty, sam najwięcej natrząsałem się z siebie. Aż padł mój

***mały ręcznik**

poprzednik z obecnej pracy. Przewrócił się i nie mógł wstać. Wyciągnęli go na wierzch w wielkim kiblu od popiołu, a ja zeszedłem w dół, na jego miejsce. Teraz byłem między chłopami z żelaza. Byli ponurzy, niemi i dumni ze swojej roboty. Kiedyś jakiś zwariowany pasażer popchnął stewarda. Zaczęto narzekać i jęczeć, może poszłoby wszystko w niepamięć, ale palacze zebrali się w messie i jednego spośród siebie wysłali do kapitana, że proszą go do siebie. Kiedy przyszedł, Kola wymruczał niskim głosem:

— Tu nie ma nic do gadania. Musi przeprosić.

— Może być gorzej — dorzucił ktoś.

— Rzucimy sukinsyna za burtę — jeszcze inny.

— No, no, panowie, jeszcze ja tu jestem — odpowiedział spokojnie, powiódł po nas władczo jasnymi oczami i wyszedł.

Po dłuższej chwili przyszedł jego oficer.

— Przeprosił — powiedział miękko i odszedł.

U kapitana cieszyliśmy się łaskawymi względami. Czasami w codziennej inspekcji pytał nas o jedzenie, doradzał najlepszą wołowinę, kury, że niby można wybrać. Nikt prócz palaczy nie śmiał wtedy zagadać do niego. Zawsze wchodził pierwszy, w śnieżnym uniformie kapiącym od złota jak w ornacie. Za nim kierownik działu, starszy oficer, lekarz, ochmistrz, któryś z młodszych oficerów i pisarczyk. Rozpoczynał uroczystą celebrację z kardynalskim namaszczeniem. Nie uśmiechał się nigdy. Mózg i wola, wokół niego oficerski rozrząd. Do dziś nie mogę pojąć, jak można znieść taki stan ciągłego napięcia. Mieliśmy najtroskliwszą opiekę, jak okazałe woły od najcięższej roboty. Kapitan Stankiewicz, „Byk”, były wielkorządca na Rusi, ostatnio wódz na „Polonii”, Wielki Pan, Dobry

117

Pan, potężny filar bożego i cesarskiego porządku, ostatni z Horeszków w naszej flocie.

— Starczy już! — wołał Funio.

Nawoziłem węgla aż po popielniki. Wytarłem twarz. Nabierką sięgnąłem z kubła cytrynowego napitku z lodem. Przeniknął mnie dobry chłód. Zeszliśmy się, by popatrzeć na siebie w tej czarnej otchłani i by chociaż słowami z niej wybiec.

— Mów o Hiszpanii — odezwał się Kola.

— Zrobi wam się smutno — opędzałem się.

— Mów, mów — dopominali się Funio i Sidor.

Mówiłem o umęczonym Oviedo, Santander, o Barcelonie i o Madrycie, strząsającym z siebie całe armie, o dzielnej Guadalajara, o Ebro. O bohaterских miastach, rzekach i górach, o Garcii Lorce. Zapadało w nich.

Kiedy umorusani odpoczywaliśmy po wachcie na spardeku, mówili do siebie:

— No pasaran!

— Guadalajara! Guadalajara! — wołał Kola.

Nigdy nie mogłem się dość napatrzeć na podsypkę. Otwierali paleniska, aż ślepiło oczy. Buchała spiekota. Rozciągali gracami biały żar i brali się do łopat. Płynne ruchy wyznaczały łuk lotu węgla tak, jak chcieli, nakładał się wtedy równą warstwą.

Skrecające się nagie torsy we wszystkich odcieniach płomiennej czerwieni, zacięte twarze, przymrużone oczy, by ich nie wyżerało gorąco. Funiu ze złością robił na siłę, Kola lekko, a Sidor bardzo zręcznie, tylko, biedny, miał delikatne wargi i zagryzał szwajstuk. Wszystko jak najszybciej, by nie spadła para. Potem odkładali łopaty i łagodnieli. Pędziłem z taczka i rosły nowe góry pod kotłami. Całą trójką skupieni przy Koli, wołali:

118

— Guadalajara! Guadalajara! Znaczyło to, że starczy węgla, że wołają mnie do siebie, i dużo, dużo więcej. Odstawiłem taczka.

— Chce wam się śpiewać?

— Tak wpadło w ucho — odezwał się Kola. — Jak to tam było od początku?

- Po wyborach socjaliści byli w większości.
- W Kortezach — wtrącił Kola.
- W Kortezach. Chcieli ziemię zabrać obszarnikom i ukrócić burżujów. Wtedy ich Franco ze swoimi dzikusami rozpoczął juntę w Maroku. Wylądował pod osłoną hitlerowskich i faszystowskich wojenników. Wojsko w większości poszło za nim. Miał za sobą oficerów.
- Zawsze sukinsyny — bluznął Funiu.
- To ich policjanty — dodał Kola.
- Niemcy i Włosi wozili im broń i amunicję.
- Przecież na każdym takim statku był przynajmniej jeden komunista. Wystarczy jedną większą kulkę przynieść w szmatach i rzucić pod kocioł, jest dużo sposobów. — Kola nie był komunistą, ale miał do nich urazę, że tak nie robili.
- Potem przyszły całe armie faszystowskie, ich lotnictwo, korpusy pancerne, okręty wojenne...
- Kortezy nie pomogły — wyskoczył Funiu.

— Łotry, chcą zniszczyć biednych ludzi! —
bluznął Kola.

Mówili o wojnach. Byli najzupełniej pewni, że każdą, na którą trzeba przez morze wozić broń, marynarze mogliby skuć, wysadzając statki w powietrze.

Wachta miała się ku końcowi. Spieszyliśmy się, by ja dobrze zdać. Na następnej podeszli do mnie już po pierwszej podsypce.

119

— No i jak tam, dają sobie radę z taką siłą? —
niepokoił się Kola.

— Nie wszystko wojsko poszło z Frankiem. Radiotelegrafiści na okrętach odbierali depesze z Madrytu. Marynarze chwyтали karabiny i siłą zajmowali mostki. Wielu oficerów poszło za burłę — flota jest czerwona. Powstali katalońscy robotnicy, górnicy Asturii, ogromna większość narodu. Mają niezwykłą kobietę, nazywają ją Passionarią. Jest głosem kobiet i matek całej Hiszpanii. Baskowie z Matką Boską na piersiach szli na guerrile, w góry.

— Dobrzy ludzie — wymówił Sidor.

— Z całego świata ściągali robotnicy do brygad międzynarodowych. Włosi Lista idą na faszystowskie regularne armie najchętniej i z największą zawziętością. Są i nasi Dąbrowszczacy ze Świerczewskim.

— Kozietulscy! — zaśmiał się Sidor.

— Daliby sobie radę, gdyby mieli czym. Wstrzymano dostawę broni. Burżuje założyli Międzynarodowy Komitet Nieinterwencji.

— A Niemcy i Włosi? — dziwił się Funiu.

— Wszawa polityka! — bluznął Kola.

— Guadalajara! Guadalajara! — zawołali i rozeszli się.

Poszedłem z Sidorem czyścić palenisko. Sidor skupiony nakładał skórzane rękawice o jednym palcu. Otworzył drzwiczki. Węgiel przepalił się zupełnie, aż stopił się w biały żar bez płomyków. Przegarniał go na jedną stronę ciężkim drągiem o spłaszczonym końcu, podwahał i łupał szlakę oblepiającą ruszt. Wygarniał ją gracą na zewnątrz, białą i ognistą. Odpryski odkopywał ciężkim butem i znów przystępował bliżej. Buchała spiekota i kwaśny czad kręcił w głowie.

120

Zalewałem to wodą z kubła, by nas nie podusiło. Woda zamieniała się w parę, parzącą jeśli nie odskoczyłem w czas. Potem Sidor przegarniał cały żar na oczyszczony ruszt i brał się do drugiej połowy. Kiedy i ta była czysta — przesuwał ogień na środek i podsypywał trochę węgla, by szybko się zajął. W małych odstępach podsypywał jeszcze ze dwa razy, aż ogień znów narósł. Szybko uprzątałem szlakę, by pomóc innym. Wśród tego jeździłem taczka, aż dudniło.

Najwięcej dawało nam w kość czyszczenie palenisk. Po nich dopiero ogień buzował, ale kiedy byliśmy najwięcej zmordowani, ktoś wołał nagle: — Guadalajara! Guadalajara! Odpowiadaliśmy mu takim samym, mocniejszym przyśpiewem.

Byłem obarczony niepisany obowiązkami gadania im w kotłowni o Hiszpanii. Pożyczałem od oficerów gazety przysyłane z kraju. W portach kupowałem angielskie i amerykańskie. W Palestynie Żydzi zaczęli bić się z Arabami o ziemię, a tyle jej tam było niczyjej. Jak dzieci, które drapią się czasami, gdy nie mogą siusiać do wspólnego dołka. Starzy ludzie nie są mądrzejsi. Głusi na wszystko, nawet na Hiszpanię, grzebią sobie radośnie w innych krajach i pogdakują niefrasobliwie. Kury krzyczą dopiero, kiedy tracą łby.

W Konstancy braliśmy pasażerów. Oszalały podróżą do raju tłum. Hotelowi i pokładowcy mieli pełne ręce roboty. Nas to nie obchodziło. Z podwyższenia rufy oglądaliśmy w niemym zadziwieniu mrowiący się pokład; szum rozmów, głosy wzbijały się aż w ekstazę. Czekaliśmy cudu. Zdawało nam się, że Żydzi uniosą się w górę i polecą bez nas, wprost do Ziemi Obiecanej.

— A może polecimy całą „Polonią”? Trzymać się dobrze relingu, chłopaki — mruczał Kola.

Żałowaliśmy ich. Najgłupszy z nas wiedział, że ich Ziemia Obiecana obficie spłynie nie tylko potem, ale i krwią. Ci mądrzy ludzie odczuwali jednak ptasią radość.

Byłem skołatany, miałem dość Hiszpanii. Kiedy wreszcie przestaniemy być ptakami, kurami i psotnymi dziećmi? Kiedy każdy z nas zacznie poprawiać zło u siebie, a jeśli pokaże się gdzieś większe schorzenie, kiedy weźmie je za chorobę nas wszystkich? Kiedy wreszcie uczujemy, że cała ziemia jest naszą wspólną ojczyzną?

Z czerpaka w dźwigu leciał węgiel na bunkier. Dudnił głucho. Cieszyłem się, że znów będzie łatwe trzymowanie.

W kotłowni był chłód. Tylko jeden kocioł pod parą, na prądnice i ciepłą wodę. Bawił się przy nim Kola. Dźwigi pracowały z nabrzeża. Przy drugim, wygaszonym kotle Funiu wymieniał ruszty w palenisku i naprawiał mostek, murował nowe, szamotowe cegły. Pod trzecim staliśmy z Sidorem na deskach, przełożonych na kobyłkach. Pchałem w płomieniówkę okrągłą szczotką na długim drucie. Wyciągałem ostrożnie, by nie zaprószyć oczu. Sidor robił to samo. Z początku było nieprzyjemnie. Sadze oblepiały nas całych, pluliśmy i smarkaliśmy nimi. Umęczeni, spoglądaliśmy po sobie, ale potem śmialiśmy się do siebie jak diabły. Murzyni pozazdrościliby nam koloru. Sidor był jak Watusi.

Funiu mieszał w kuble zaprawę, a Kola jak Lucyfer mrucał śpiwnie. Doszedł nas głośniejszy szum mechanizmów. Z maszynowni wyszedł wysoki szef — inżynier w niepokalanej bieli z obfitym złotym szamerunkiem. Za nim, jak gronostaje,

przemknęły kobiety w jedwabnych sukienkach. Znieruchomiały na chwilę, potem zaczęły rozglądać się. Młodsza była wystraszona. Starsza w pełnym kobiecym rozkwicie przyglądała się Sidorowi i uśmiechała się swobodnie. Szef spojrział na nie, skinęły głowami, pomógł im wyjść.

— Nowe pasażerki. Nasamprzód oprowadza je — powiedział Kola.

— Ale mu się przyglądała! — zarżał Funiu.

— Wolałaby z tobą, Sidor, legnąć na węglu niż z tym zdechlakiem w piernatach.

— Szef, inżynier, głupstwa pleciesz Kola — opędzał się Sidor.

Skończyliśmy oczyszczenie rurek. Zeszliśmy, zapaliliśmy papierosy.

— Jak tam nasi Kozietulscy? — zaczynał Kola.

— Dać im samoloty, tobyś zobaczył, jedna Somossiera! — porywczo, wesoło bronił Sidor.

— Lepiej by pohulali niż tamci na koniach — przywtórzył mu Kola.

— Nasi mają dryg do latania! — cieszył się Funio.

— Najlepsi są górnicy, swoimi patyczkami dają radę czołgom — z uznaniem mówił Kola.

Z maszynowni wypadł czwarty mechanik, Paulus. Funio ruszył nozdrzami, że śmierdzi, i ucięliśmy rozmowę. Mechanik obejrzał naszą robotę i wyszedł.

— A tych szczeniaków nie wykurzyli jeszcze! — zawołał Kola.

— Jakich? — pytał Funiu.

— No, tych zapieprzonych lwów Alkazaru.

— Jeszcze nie — odpowiedziałem.

— Można by zrobić podkop — myślał głośno Kola — i dynamitem! — Zgarbił się, jakby niósł

go na swoich ogromnych barkach. — Co tam nasi robią?...

— A ty zrobiłbyś to? — zapytałem.

— Czemu nie? — odpowiedział nieśmiało.

— Łatwo mówić, bo tam nie jesteś — gasił go Funiu.

— Łatwiej zrobić, niż dostać się tam.

— A pojechałbyś, Kola? — cisnąłem go.

— Pewno!

— Wszyscy pojechalibyśmy — wymówił Funiu, a Sidor przywtórzył.

Usłyszeliśmy na szczeblach schodzącą nową wachtą.

— Guadalajara! Guadalajara! —witał ich Kola.

— Guadalajara! Guadalajara! — odpowiedzieli

mu.

— U ciebie, Kola, ciągle tylko o Hiszpanii!? —

dziwił się ober nowej wachty.

— A u was o dupie Maryny — przymrużył do nas oko. — Świnicie pod nawiewnikiem, by zlatywały się pasażerki z pokładu. My też, ale cicho.

Już piął się po drabinie, my za nim.

Przez odbite klapy „rękawów” znów sypał się węgiel. Był jakiś za dobry. Lał się, że nawet sztuczny ciąg nie bardzo pomagał. Palacze często chwyтали drągi z wystającymi nożami i przerzynali ruszty z popielnika, by paleniska chwyciły powietrze.

Po podsypce Kola usiadł na wielkiej bryle węgla, okrytej przerzuconym workiem i wsparł głowę na dłoni jak umęczony jaskiniowiec. Podeszliśmy do niego. Czarna, zgnębiona twarz i złe oczy.

— Co tak dumasz? — zaniósł się głos Sidora.

— Wojna rozłazi się jak wszy — dobył się z niego pomruk.

— Czasami jak cholera i ogień — poprawił Funiu.

— Ale ta w Hiszpanii nie jest dobra.

— Żadna nie jest dobra.

— Tam idzie o naszą skórę. Potem hitlerowcy przyjdą do nas.

— Jeśli tam wygrają... — zastrzegł się Funiu.

Zaległa cisza czarnych przewidywań. Kotły szumiały cichym jękiem. Z najbliższego paleniska sypnęły się skry.

— Już wygrają. Przecież to jasne — zdjął dłoń z twarzy, pozbył się zasłony.

— A nasz rząd trzyma z Frankiem i z hitlerowcami! — wołał Funiu.

Nieraz w kotłowni było ciężko, choć dobrze też było. Teraz poczuliśmy się osaczeni i bardzo biedni, zdławieni w głębokiej czeluści. Dla nas były tylko łopaty, ciężkie żelazne drągi i więgiel. Byliśmy odsądzeni od myśli. Przemądrzała racja stanu była dla wybranych. Znaczyliśmy tyle co trawa.

— Guadalajara! Guadalajara! — zawołał Kola.

— Guadalajara! Guadalajara! odkrzyknęliśmy i braliśmy się do roboty.

Syciliśmy ogień jak diabły, znajdujące w tym ulgę. Ale kiedy mieliśmy wolne ręce, otchłań cisnęła nas jak potępieńców. Mordowaliśmy wachtę jak nigdy.

Zmieniały się morza, kraje i porty. Aż raz, kiedy w Pireusie wyszedłem z kotłowni i usiadłem na spardeku, by wypalić papierosa — zdębiałem. Tuż za naszą rufą, na białym obleniu średniego pasażera zobaczyłem dużą cyrylicę, a pod nią mały napis: „Swanetia” — Odessa! Byłem bardziej wzburzony niż kiedyś na Akropolu. Przy messie przedarłem się przez gromadę obdartych Greków

z lądu, wołających po polsku „daj jeść” i popędziłem do kabiny. Na brudną skórę wrzuciłem dunkry i spłowiałą koszulę bez koloru. Chwyciłem paczkę papierosów i wybiegłem.

Darłem się przez wielotysięczny tłum, przyglądający się w serdecznym zachwycie białemu pasażerowi. Znad głów gapiących się spoglądałem w ostrym nacięciu. Za liną, na pustej przestrzeni na całej długości statku, chodzili umundurowani marynarze greccy z karabinami o nasadzonych bagnietach. Przy trapie kilku policjantów. Na pokładzie oficerowie emigracyjni i celnicy. Nic nie uszło mojej uwagi, na wszystko byłem uczulony bardziej niż klisza. Może podświadomie wyczułem, że pewność siebie strażników jest tak wielka, iż zaślepia ich.

Na pokładzie przy trapie pojawiła się gromadka radzieckich marynarzy. Oficerowie emigracyjni uważnie przeglądali przepustki i dowody. Celnicy macali ich, zaglądali do kieszeni. Miły obrzęd przed zejściem na ląd. Potem wolno, jeden z drugim, schodzili radzieccy marynarze po trapie, kierując się do liny wprost na mnie. Przeszli ją i kiedy ostatni miał ją przekroczyć, coś powiedział w ich języku. Zatrzymali się i zaczęli wracać. Było ich czterech czy pięciu. Wsunąłem się w sam środek, idąc jak oni z twarzą jak oni. Pilnujący ciągle mieli ich na oczach, przepuścili ich i mnie z nimi. Skierowałem się z gromadką w stronę rufy. Kiedy schodzili do kubryku, odszedłem rufą na niewidoczną stronę i wróciłem na śródokręcie. Byłem sam. Schować się — pomyślałem. Nic łatwiejszego — Guadalajara! Guadalajara! — doszło mnie z wnętrza „Polonii” wołanie mojej wachty. Zacząłem rozglądać się za kimś z załogi. Od

126

dziobu nadeszło trzech chłopaków z farbami i pędzlami. Kiedy mieli mnie mijać, zatrzymałem ich.

— Prowadźcie mnie do kapitana. Dwaj młodszy spojrzeli pytająco na starszego kolegę.

— Kapitana nie ma, poszedł na ląd — odpowiedział mi po polsku, z ukraińska.

— To do jego zastępcy.

— Poczekaj — postawił farbę i odszedł.

Dwaj młodszy też odstawili pudełka. Przyglądali się ze zdziwieniem, uśmiechaliśmy się do siebie. Nic nie mówiłem, by skupić się na najważniejszą chwilę.

— Chodź! — przywołał mnie z przejścia Ukraińiec i wskazał starszego oficera.

— Jestem Polakiem, trymerem z tej „Polonii” leżącej przy was. Chcę jechać do Hiszpanii.

Ukraińiec powtórzył po rosyjsku, uśmiechali się przyjaźnie.

— No i co? — pytał dalej.

— Jest nas kilku w kotłowni. Weźcie nas do Odessy, a stamtąd jakimś statkiem do republikanów!

Ukrainiec tłumaczył, a starszy oficer przeczył ruchem głowy.

— Nie — odpowiedział krótko.

— Jak to nie?! — wybuchłem. Zapadli się w sobie, a potem te nieszczęsne ruchy głów.

— Nie — powtórzył Ukrainiec.

— To weźcie mnie samego. Nikt nie wie, że tu jestem.

Mówili coś ze sobą, rosła we mnie nadzieja. — Powiedz, jak tu wszedłeś — zapytał Ukrainiec.

127

Opowiedziałem z przejęciem. Wierzyli mojemu szczeremu zdecydowaniu, ale na przekór wciąż powtarzali „nie”.

— To dajcie mi jakiś kontakt. Stąd na pewno odchodzą statki do Hiszpanii. Te same ruchy głów i ciągle „nie”.

— Sam się tu schowam. Zakłopotane twarze i głos Ukraińca:

— Musisz zejść.

— Jesteście nie komuniści, a dranie! — krzyknąłem.

Otrząsnęli się i patrzyli na mnie z bólem. Znow mówili o czymś ze sobą, a Ukrainiec do mnie.

— Nie możemy ci pomóc.

Spojrzałem na nich ze wzgardą i odszedłem.

O niczym nie myśląc, przeszedłem swobodnie wszystkie ronty pilnowaczy i znow znalazłem się za liną. Uczułem zmęczenie po napięciu, byłem po niełatwej wachcie. Powlokłem się wolno na mój statek.

W kotłowni o niczym nie mówiłem, nie chciałem ich męczyć. Nie odpowiadałem, kiedy wołali „Guadalajara!” byłem najcichszy. Teraz oni mnie męczyli. Mówili o wszystkich zwycięstwach i klęskach. Tych ostatnich było coraz więcej, aż Republika upadła. Nastaly smutne wachty. Ale czasami wołali jeszcze:

— Guadalajara! Guadalajara!

Poszedłem na inne statki. Potem przyszli hitlerowcy, rozdarli moją ojczyznę i jak krwawy ochłap chcieli wdeptać ją w błoto. Przypomniały mi się proste, przewidujące słowa ludzi z kotłowni. Były rozumniejsze od racji stanu przemądrych, objawionych.

Nie gniewam się już na marynarzy ze „Swanetii”. Nie mogli inaczej postąpić, obawiali się

kogoś nasłanego. Trzeba mi było rzucić „Polonię” w Pireusie, zablindować się na statek idący do Hiszpanii lub w pobliże — i dalej! Albo brzegiem Północnej Afryki aż do Ceuty. Bałem się drogi, wilczego darcia się poprzez granice, przez wojsko, policję, poprzez mury niehumanitarnych praw. Byłem słabego ducha i słabiutkich uniesień — anieli takich nie przenoszą.

Ogarnia mnie wstyd, kiedy słyszę wewnętrzny głos najpiękniejszego braterstwa biednych.

— Guadalajara! Guadalajara!

129

PASEK

— Zabrali mi łyżkę. Wiem który, ten z łodzi podwodnej. Chodź, ty umiesz po angielsku. — Stał duży, zwalisty, z łyżką w wyciągniętej dłoni.

— Przecież masz łyżkę — odpowiedziałem.

— Nie moja, ja chcę moją.

— Co za różnica?

— Niewiele mogłem im powiedzieć, ale wiedzą, o co chodzi i jeszcze urządzają drwiny! — mówił z nieprzejednaną upartością i z bólem, jak o wielkim nieszczęściu.

W nieglupich oczach był dziecinny tragizm. Udało mu się umknąć z oddziałów Andersa i zakrętować w Karaczi wraz z piechotą angielską. Był zza Buga. Jego ostatnie lata to jedna rana. O łyżkę było łatwo, ale zapiekła go drwina. Zdawało mi się, a właściwie byłem pewny, że jego zdecydowana wola odzyskania łyżki była zakończeniem strachliwego bezwładu i bierności.

— Chodź — powiedziałem.

Szedłem pierwszy, on za mną. Zeszliśmy po stromych schodkach trzymając się dobrze liny jak poręczy. W skąym świetle luku, w straszliwej ciżbie na wół rozebrani żołnierze zabierali się do poobiedniej drzemki w hamakach. W wąskim przejściu na rozłożonym kocu grali w karty. Stałem przy nich, przy mnie mój krajan z łyżką w dłoni.

— Słuchajcie, koledzy zabraliście mu łyżkę — z trudem powstrzymywałem śmiech. — Nie zabawiajcie

się nim. Jest przecież obcy i trochę dziwny, zresztą zupełnie dobre chłopisko.

— No, przecież ma łyżkę w garści — odpowiedziało kilka głosów.

— To nie jego.

— Co to za łyżka? Ze sreber rodzinnych? — bąknął ktoś i podniósł się śmiech. Śmiałem się z nimi. Mój krajan, śmiertelnie tragiczny, spoglądał na mnie jak na zdrajcę.

— Śmieszny drobiazg, ale patrzcie, jaki nieszczęśliwy. Ty ją masz — zwróciłem się do marynarza z hamaku. — Na uchwycie wydrapano M.

Sięgnął do podwieszanej menażki i wyciągnął łyżkę. Krajan wziął ją, a oddał tamtą. Na umęczoną twarz wszedł uśmiech.

Luk zagrzemiał serdecznym rechotem.

— Co wam tak śmieszno? — wypomniałem.

— To cudowne, i on umie się śmiać! —
odkrzyknęli.

Zaśmialiśmy się wszyscy, podziękowałem im i
sam wyszedłem z luku.

Obszedłem rufę kilka razy w koło, oniemiały i
niewidzący. Mój krajan naprawdę nigdy nie
uśmiechał się, a ja tego nie widziałem. Anglicy
byli bardziej spostrzegawczy.

Oparci o reling stali dwaj chłopcy, marynarz w
koszulce z czerwonym pomponem na głowie i
rudzielec w rozpiętej mundurowej wiatrówce,
obaj z Wolnych Francuzów. Podszedłem do nich i
też wsparłem się. Marynarz wydobył papierosy,
zapaliliśmy. Spoglądali na przeciągniętą linę z
tabliczką „II klasa”. Tu zatrzymywali się pa-
sażerowie, rzucali obojętne spojrzenie i zawracali
w swej przechadzce. Przechodziły wtulone w sie-
bie pary, nie pamiętające o świecie. Roześmiane
dziewczyny wlokły za sobą gromadki chłopców.

Dystyngowane kobiety z pobłażliwymi uśmiechami wysłuchiwały poważnych, męskich mów. Starsi panowie w zamyśleniu wlekli swój krok, odcinając się od „morowego powietrza”. Jasnowłosa dziewczyna z pierwszej klasy przemknęła jak charcica, w szortach i skąpej bluzce, z nie odstępującymi jej na krok dwoma młodzieńcami. Tropikalny żar i lekko kołyszący się pokład. Kobiety sprężyście niosły swoje dojrzałe ciała, były wzburzone, szukały zaczepki. Ciche szaleństwo wdzierало się w męską krew. Francuzi kradli każde kobiece spojrzenie, miękko otwierali się na uśmiech. Władczy Anglicy tłamsili ich lekkość.

Marynarz wspominał Marsylię, a rudzielec Paryż. Byli onieśmieleni i nieszczęśliwi. Czasami z ciżby luku wychodzili otepiali żołnierze. Rozprostowywali kości, ziewali, bronili się śmiesznym gadaniem, w końcu uciekali w mroczną czeluść. Częściej wychodzili nocą, wtedy nikt nie mógł zobaczyć ich poruszonych twarzy.

Wieczorem po omacku zszedłem w dół. Ciężkie i kwaśne powietrze oblepiło mnie gorącem, było stężałe jak maź i czarne. Mój hamak wisiał tuż przy schodkach. Zebrałem koce, podglówek i wróciłem na pokład. Wymościlem sobie legowisko tuż przy relingu, na skrzyni z zapasowymi pasami ratunkowymi, i ległem. Zza burty wdzierało się chwilami tchnienie wiatru. Wyroili się żołnierze na ostatni spacer, spokojnie obchodzili rufę i znikali. Skupili się w gromadkach na przodzie, ich głosy ledwo dochodziły. Wśród nich wybijał się jeden, miękki i śmiały, o ujmującej otwartości. Męskie twarze gorzały w ogarkach papierosów. Często wybuchał perlisty śmiech, niosący niepokój i wyzwanie. To Ruda jak co wieczora rozpoczynała swoje gody. Była rosła

132

i krzepka, wszystkiego miała pełno i do tego tę onieśmielającą swobodę. Przy odrobinie ponurości jej seks byłby demoniczny. Wszyscy byli trochę oczarowani, uwielbiano ją za to i nienawidzono.

Obok przesunęła się spleciona para. Dojrzałem w mroku pulchną blondynę Yorkshire, pochodząca z hrabstwa o tej nazwie, szła z oficerem RAF-u. Zawsze miała w sobie mieszczańską dyskrecję i bardzo skrytą intymność. Nie lubiły się z Rudą, chociaż mieszkały prawie razem. Oburzały ją ciągłe wizyty chłopstwa. Ich kabiny leżały obok siebie, na przeciwnej burcie, z wyjściem z jednego korytarzyka.

W pobliżu pojawili się Francuzi. Ostre szepty przewiały się, twarze mieli zwrócone na gromadkę. Paryżanin był bardzo zainteresowany Rudą i ona zauważyła go. Ogarniał ją wtedy olśnionym uśmiechem, odpowiadała nijakim, siostrzanym. Oboje mieli ogniste włosy, ten sam pigment skóry. Ona była z południowej Anglii, on z Normandii. Na pewno pochodzili z jednego pnia, a byli sobie tak obcy. Może czekał, aż spotka ją samą, co nigdy mu się nie udawało, a nie miał odwagi przedrzeć się przez otaczający ją wrogi tłum. Te dwa wspaniałe narody nie bardzo się lubią. Wzdychał. Ruda wolno odeszła, wlokąc gromadkę za sobą. Zniknęli i Francuzi.

Nareszcie noc, zeszła ciszą i rozkoszą dla jednych, dla innych udręką samotności przed zapadnięciem w sen. Zrobiło się pusto. Za burtą cmokała czasami woda, to od wielkiego ssania biegnącego statku. Myślałem o frachtowcach, na których kiedyś byłem. Samo stąpienie na pokładzie przenikało cichą radością. Na całej ich długości można było urządzać dalekie wędrówki. Natężone w czuwaniu twarze kolegów, nawet oficerów

133

na wyniosłych mostkach, były bardzo bliskie. Wśród nocy szerokich wód maleńki światek był bardziej od wszystkich innych mój. Wszystko skłaniało do myśli surowych, męskich. Wielka przestrzeń i wnikający w krew, nieobjęty żywioł wody i nieba łagodził nawet zbłąkaną myśl. Kobiety jawiły się w niej nie często, bez natręctwa, łagodnie odrealnione uszlachetniającą tęsknotą... Targnął mną ostry śmiech, obok, w pośpiechu, przemknęła para.

Na ten zapowietrzony statek przyszedłem jako pasażer zbiorowy. Nie chciałem czekać dnia dłużej z zamustrowaniem na jakiś statek, idący do Anglii. Poszukiwanie złota w Tanganice skończyło się pięciodniowym więzieniem w starym arabskim zamku w Mombasie, ale kiedy w Durbanie Holendrzy nawiewający do swoich rodzin na rozległych farmach, chcieli mnie ze sobą zabrać, odmówiłem stanowczo. Znów byłem w zgodzie z moim ojcem, z moim plemieniem, ba — z ludźmi całego świata, broniącymi się przed zagładą ze strony pomylnych i obłąkanych. Jechałem na wojnę...

Byłem w zgodzie z sobą i można było już wszystko znieść, ale przed kilkoma dniami ukradziono mi pasek. Nie jakiś zwykły, lecz koronkowej roboty, nauczonej od Holendrów. Cały dzień wiązałem go ze sznurków o równiutkich supelkach i dałem mu srebrną sprzączkę. Wyprałem, powiesiłem na szalupie od słonecznej strony pokładu, by wybieliło go słońce, i więcej go nie widziałem. Nie pierwszy to raz, ale poprzednie sam dawałem, gdy się komu trochę podobały lub gdy kogo trochę lubiłem. A teraz jakaś baba po prostu gwizdnęła mi go.

Nie było tu dobrze, w tym tłoku nawet w sen

trudno było się wdrzeć. Dni i noce wlokły się w tej ciżbie strasznie.

Krajan często przychodził z opowiadaniem ze swojego życia. Gdy go słuchałem, słońce stawało się czarne, a rozbawiony tłum pasażerów — nie-realną chimerą. Zjawiał się smutek narodowy. Nie wiem, może szaleństwo lub wielka miłość byłyby zdolne zburzyć koszmar jego ostatnich lat. Nie mogłem znieść jego gadania, unikałem go.

Najlepiej było samemu. Wysokie niebo i rozświecony granat wzdętej wody. Z prawej burty czasami ledwo widoczny zarys lądu. Z lewej, blisko, szedł ciężki krążownik jak góra ze stali. W przodzie, trochę z prawej, śmigły niszczyciel; taki sam zamykał pochód. Monotonia wody i słońca. Zapomniałem o wszystkim i było mi dobrze. Co kilka dni skocznie pohukiwała syrena. Co żyło, wdziewało pasy ratunkowe i biegło wesoło do szalup. Tylko kobiety miały kłopot z twarzami do tych dodatków kostiumowych. Szybko ściągały kapokowe garby, brzuszyska korkowe i rozchodziły się jak z pikniku. Śmieszne dopełnienie zabawy maskaradą. Byli tu przeważnie urzędnicy kolonialni z Indii, różnych szczebli i instancji, wracający do swoich starych domów.

Wieczorem pokazał się samolot, a rankiem wyraźnie pociemniał brzeg. Weszliśmy w jego ramiona i stanęliśmy w rzece na bojach.

— Freetown — szło z ust do ust, niespokojnie i wyczekująco. Z bujnego gąszczu dżungli wychylało się wesoło kilka nowoczesnych domów, ślad miasta. Do statku podeszły barki z ropą i wodą. Duże łodzie z górami owoców, warzyw, pak i worków. Harmider, chrypkie nawoływania Arabów i Murzynów. Z nieba lał się żar — bez najmniejszego tchnienia wiatru. Pasażerowie

135

pierwszej klasy płynęli na ląd motorówkami, murzyńskimi łodziami, by jak najszybciej uciec z tego żelaznego, rozpalonego słońcem pieca. Pozostali ślaniali się bezwładnie w pocie i udręce własnego ciała. Duchota wypędziła żołnierzy z najniższego piekła, całym batalionem wyszli na wierzch i chwytali powietrze jak ryby. Zaczęli się rozbierać, aż zostali w swych przydługawych spodenkach. Ktoś wyrzucił sztormtramp za burzę, kilku śmiazków skoczyło do wody. Odezwały się głosy o rekinach, że tu trafiają się te bestie, ale z wody dochodziły radosne, orzeźwione chłodem głosy. Już schodzili do nich inni, przekleństwami dodając sobie odwagi.

Zabierałem się też do kąpieli, ale zachciało mi się wprawdzie obejrzeć statek. Złamałem przepis, popędziłem na górny pokład. Nie było na nim żywej duszy. Zalany słońcem aż buchał żarem. W kabinach było jeszcze podlej. Zrozumiałem szybką ucieczkę wybrańców z tego rajy pierwszej klasy. Ciemnoskórzy Hindusi z Navy czyścili armaty na rufie i sprzężone buforsy*. Rozejrzałem się. Stary grat „Dumbarton Castle” miał 22 000 ton i stąd ta silna osłona.

Wyjrzałem za burtę. Ci w wodzie uwijali się żywo, przykra myśl o rekinach dodawała im wigoru i naraz odezwało się z dołu słabowite:

— Help! Help!

Mrowie przeszło mi po grzbiecie.

— Opuśćcie niżej drabinę! — wołał ktoś z wody.

Zleciała cała, z wielkim wypryskiem i dwoma nagusami, wiszącymi na niej. Podwieszona zbyt wysoko, nie dotykała wody, a kiedy żołnierz opuścił ją, ciężar wiszących wyrwał mu z rąk końce

* działka przeciwlotnicze

lin. Dopiero podniosły się wrzaski. Jedni wołali, że to rekin, inni, że ktoś się topi. Pomyślałem, że rekin wystraszyłby się ciał opadających jak kłody.

Ktoś wyrzucił koło ratunkowe daleko na wodę, żołnierze ryczeli i klęli durnia, ale topielca nigdzie nie było widać. Pomąlu, by nie stracić równowagi, wchodziłem na górny szczebel relingu. Wysoko, kilkanaście metrów. Sprężyłem się i skoczyłem na głowę. Lot przejmujący całe ciało najwyższą rozkoszą — potem twarde uderzenie wody. Szybko wypłynąłem. Pod samą burtą odrobina ciemnej twarzy, ośleplej ze strachu, suche palce, drapiące maleńkie występy nitów i wciąż obsuwające się w wodę. Tu już była lekka wklęsłość poszycia i dlatego nie mogliśmy go dojrzeć z góry. W oczach miał szaleństwo i jeszcze sporo siły. Bałem się, że w skurczu chwyci mnie dłońmi, które jak nity chciał wbić w stal. Podpłynąłem wolno i zawołałem:

— Bądź spokojny!

Wzięłem go na siebie i popłynąłem w stronę dziobu, gdzie o jakie pięćdziesiąt metrów zwisał solidny, ciężki trap. Chłopak oprzytomniał i zachowywał się przyzwoicie. Spleceni ze sobą, wlekliśmy się do zbawczego drzewa. W oczach miał niemowlęcą ufność, był bezbronny i kruchy. Uczułem w sobie siłę i mocniej zagarniałem wodę. Twarze opryskało nam lepkie, cuchnące łajno. Ktoś wypróżnił się i spuścił wodę. Znów inny jakiś ściek. Kiedy zanurzaliśmy się — chłopiec drżał nieprzyjemnie. Wielki ściek z maszyny wbił nas głęboko i zakotłował nami. Ostatnim tchem udało mi się wypłynąć, a chłopak musiał się dobrze napić wody, był zupełnie bezwładny. Teraz ja próbowałem wbić palce w żelazo. Podchwytywałem

137

ręką poszycie, trochę pomagało. Było narosłe skorupami ślimaków.

Aż odeszła wszystka myśl, a w mózgu została tylko upartość. Odeszło zwątpienie i odszedł strach. Zmęczenie nie bolało już, tylko coraz słabszy był ruch rąk i nóg. Do trapu było daleko. Rozpocząłem parcie naprzód.

Gdybym wtedy utonął, obyłoby się bez krzyku i strachu, ale i bez poddania się do najniższych głębin podświadomości. Po prostu zrobiłbym wszystko, co można, by w końcu utonąć jak zwierzę.

Zacząłem wypatrywać trapu, nic więcej nie istniało, on był całym światem. Gdy już zobaczyłem go nad sobą i wyciągnąłem rękę, okazało się, że wisiał za wysoko. Zacząłem wołać. Od przypatrującego się z góry tłumu oderwało się kilku chłopców, wyciągnęli nas na wygodną kratownicę. Usiadłem na niej i oparłem się o stopnie. Oczy zamykały się, otwierałem je z odległym wspomnieniem drogi, jaką przebyłem, nim się tu znalazłem. Niemoc zupełnego znużenia rozpływała się w najpełniejszej radości. Potem i to odeszło, a kiedy wszystko na dobre odzyskało swoje barwy i kształty — wstałem. Polazłem w górę, czepiając się lin obiema rękami.

Ludziska na pokładzie mieli wesołe gęby. Jakiś żołnierz zawołał:

— Ciężka robota?

— Trochę — przytaknąłem mu.

Jakiś Hindus powiódł mnie za sobą. Przy pierwszym luku stali wszyscy, między nimi i topielec, który przyszedł już do siebie. Jakiś chłopak trzymał w dłoni mój biały pasek koronkowej roboty i podał go.

— To ukradł jeden z nas — powiedział z męką.

138

Twarze ich były zgnębione w najgłębszym wstydzie, ale także dumne w tym gromadnym zupełnym wyznaniu i tak po ludzku bliskie, że aż poczułem ból radości.

— To głupstwo, nie myślcie już więcej o tym — zaśmiałem się.

Odsapnęli głęboko, twarze rozjaśniły im się w uśmiechu.

Podziękowałem i poszedłem na swoje legowisko, na skrzynie z zapasowymi pasami ratunkowymi. Wieczorem ściągnęli na statek ubawieni pasażerowie, a nocą opuściliśmy rzekę.

Znów zaczął się tłumny gon przez dni i noce. Nie obchodził mnie. Byłem wolny. Nawet gdy Francuzi szturchali mnie w boki i szeptali szybko:

— Spójrz, spójrz, charcica patrzy...

Rankiem zobaczyłem nad moim legowiskiem trupio zmęczoną twarz i oczy błyszczące metalicznym światłem. Była to Ruda, jej usta wykrzywione wzdargą.

— Och, ty prześpisz swoje życie — powiedziała i odeszła.

Hindusi zapraszali do armaty, od której odpędzali mnie kiedyś. A to przecież ja się wybroniłem. Gdyby Hindus utopił się, a ja nie zrobiłbym wszystkiego, co mogłem, wina spadłaby na mnie. Zrobiłem swoje i w tym było wszystko. Byłem teraz mocniejszy i tłum to dostrzegał, nie całkiem bez zawiści. Niektórzy jednak spoglądali, jakby myśleli: „Wyciągnąłeś go — a z nim wyciągnąłeś mnie, wszyscy mamy wspólny los”.

I tak było. Kiedy tonąłem w samotności, w ludzkim oceanie Londynu uratowała mnie zielonooka Peggy. Dałem jej pasek. Oby ją dobrze chronił, choćby tym wspomnieniem.

139

PSIKUS

Wbijalem łopatę w maź, smrodliwe fale uderzały w nos jak terpentyna. Nakładłem w kubel potem szarpałem za linkę. Na ten sygnał stojący wyżej Wasyl ciągnął w górę. Robił to teraz z większą uwagą. Przed chwilą kubel z rzadszą breją zawadził o ścianę i oblał mi nagi grzbiet. Nie było to przyjemne, ale potem przyniosło mi nawet ulgę. Nie mogłem już bardziej się utytłać — miałem zupełną swobodę.

Byłem tylko w kąpielówkach i na bosaka. Zszedłem w butach gumowych, ale przy gruntowaniu zaczęło przelewać się przez cholewy. Zdjąłem je, bo chyba nigdy już bym ich nie domył. Własna skóra jest jednak cudownym przyodziewkiem.

Usłyszałem klapnięcie kubła, znów nakładałem i szarpałem za linę, a Wasyl ciągnął. Zawieszona w górze kablówka czerwonawo mielązgała, ledwo sącząc światło w czworokątną studnię komory łańcucha kotwiczego. Stalowe płyty, przeżarte rdzą, oblane spływającą pasemkami wilgocią. Rano wypuściliśmy łańcuch kotwiczny do ostatniego ogniwa, by obnażyć dno. Leżały na nim od lat czarne, ciężkie ily z Północy, czerwone ziemie tropików, żółty less mórz chińskich i inne resztki pobrane źle zmywanym łańcuchem z dna różnych kotwowisk, red, portów i wszelkich miejsc nagłej potrzeby.

Wasyl ciągnął kubel do wysokości pokładu, prznosił parę kroków do tyłu, a z otwartego wzniesienia dziobu podciągnął go Flaman i wyrzucał

140

maż za burtę. Oparty o łopate musiałem długo czekać, to było najbardziej nieprzyjemne.

— Hej! — krzyknąłem — spuście drugi kubel, na dwa będzie szybciej!

Szło mi coraz składniej. Wystarczyły cztery czubate łopaty i już szarpałem za linkę. Nabrałem takiej wprawy, że i teraz musiałem jeszcze czekać. Spieszyłem się, by jak najszybciej opuścić ten loch. Zlany błotem i potem, oddychałem głęboko, ale powietrza było tu niewiele.

— Zmienię ciebie — usłyszałem z góry i zobaczyłem Wasyla, szykującego się do zejścia.

— Zostań, po co obaj mamy się brudzić. Rzuć mi czysty twist.

Po chwili chwyciłem starganą przędzę, otarłem z potu twarz i wziąłem się do nakładania. Z jednej strony dokopałem się już do dna — widomy znak mojego mozołu. Zbierałem teraz z twardych płyt, było trochę lżej. — Cwaniaki — pomyślałem. — Chcieli się bawić jednym kubelkiem...

Teraz oni mieli więcej roboty, choć czystej i pełnej powietrza. Ze wzniesienia dziobu odezwał się drobny stukot, aż zlał się w ciągły jazgot, a w nim wybijał się łomot wielkiego młota. Byłem w środku bębna. Wstrząsało mną, pustoszyło głowę, ale robota szła coraz szybciej. Ocierałem szczypiący pot z oczu i popędzałem stojących na górze. Jak to dobrze, że robotę zaczynaliśmy o szóstej, jeszcze był ranny chłód, a i popołudniową spiekotę znacznie to skracało.

Naraz urwało się stukanie, zrobiło się dziwnie cicho.

— Wyłaź na śniadanie! — usłyszałem głos z góry.

— Zjemy później, nie ma co odkładać

141

Słyszałem wołanie Flamana za odchodzącymi, by zostawili dla nas śniadanie w kuchni.

Zacząłem ostro. Odeszło poczucie wolno wlokącego się czasu, świadomość nieprzyjemnie lepiącego się potu z błotem i żelaznej jak więzienie komnaty. Odgarnąłem już ogromną szakłę, mocującą łańcuch do stępki. Znów odezwał się napastliwy jazgot i wielki młot. Wrócili ze śniadania. Wpadłem w rytm katorżnej roboty, rozgrzewałem się, sprawiała mi nawet radość, podświadomie przyspieszałem, aż nagle — ostatnia łopata i mogłem skoczyć na żelazne szczeble.

Na wzniesieniu dziobu oślepiło mnie słońce. Szybko przymknąłem oczy, ale blask wdzierał się również przez powieki. Otwierałem je stopniowo, wydawało się niepojęte, że świat jest taki jasny. Zobaczyłem „bębnistów”. Bosman spędził wszystkich z pokładu do stukania rdzy. Mieli suche skóry i smutne gęby.

Byłem jak wyżęty. Wolno zeszedłem na pokład, odkręciłem hydrant, zdjąłem kąpielówki, wyprałem je, wymyłem się porządnie i znów je włożyłem. Z kuchni wziąłem talerz z owsianką, drugi z jajami na boczku i poszedłem do messy na rufę. Koledzy jedli, przysiadłem się i ja. Mogło się wydawać, że po takiej harówce nie chce się jeść ani żyć, a mnie tym bardziej chciało się jeść i żyć. Koledzy kończyli śniadanie. Wasyl wyjął papierosy, zapalili. Bez słowa wyszliśmy na pokład i przysiedliśmy na ostatnim luku. Minęło piętnaście minut, powstaliśmy. Flaman poszedł do roboty na wierzch, a my z Wasylem zbieraliśmy się do lochu.

Wyszukaliśmy krótką deskę, by zmieściła się w komorze. Pobraliśmy liny, młotki, skrobaczki krótkie i na kijach, i zanieśliśmy je pod dziób.

Wszedłem na podwiązaną deskę, odbierałem od Wasyla narzędzia i układałem na niej, potem on przysiadł się i zaczęliśmy stukać rdzę. Było jej tak wiele, że należało dobrze bić młotkiem, by dostać się do czystej stali. Przy cieńszych warstwach chwytałyśmy skrobaczki, wtedy odpoczywały ręce. Wasyl wiercił się niespokojnie i często przystawał w pracy.

— Idę do maszyny poostrzyć skrobaczki — powiedział z ulgą, zebrał je i wyszedł.

W górze komory było jeszcze sporo powietrza, a siedzenie na desce nawet przyjemne. Zwolniłem robotę. Przyszedł Wasyl bez pośpiechu, ostrza skrobaczek błyszcząły jak klingi. Wzięliśmy się do długich i zdzieraliśmy rdzę całymi płatami, aż zagrzałyśmy się. Odsapnęliśmy. Wasyl spojrzał na mnie.

— Niedobre miejsce — wymówił gniewnie i zaklął.

Drgnęła mi twarz w niby uśmiechu, wskazałem na dno studni.

— Zobaczysz tam.

— Przydałby się brezentowy nawiewnik — nieźle kombinował.

— Trzeba było przynieść „rekina” zza komina.

— W maszynie by się podusili — chichotał ucieszenie — zresztą za długi worek.

— Nie ma rady, trzeba robić.

— Przecież to robota stoczni.

— Nie wolno odmówić.

— Kapitan orze w nas, sukinsyn! — zaklął mocno.

Przekleliśmy go obaj. Ulżyło nam i zabraliśmy się do rdzy. Straciwszy nadzieję wymigania się, Wasyl przyłożył się do roboty. Przed popuszczeniem deski w dół wyszliśmy obaj. Poszukaliśmy

trąby z najbliższego nawiewnika, zdjęliśmy pokrowiec z rury i umocowaliśmy na niej trąbę. Trochę to pomogło, przynajmniej mieliśmy takie złudzenie, siedząc na desce. Wzięliśmy ciężki młot, biliśmy nim, aż uderzało w uszy. Rdza opadała całymi płatami, puchła odstając, a potem było już łatwiej. Wasyl był w dunkrach, spotniały i oblepiały mu nogi. Potrząsał łbem, leciał z niego pot jak z polewaczki. Zaklął i z uciechą wymówił.

— A kto będzie robił drugą komorę?

— Ja nie, ale zupełnie możliwe, że ty.

— Ja też nie. Został Iwan. Będzie z nim musiał zejść jakiś Flaman.

Było nas trzech obcych na pokładzie i wszystkie najbardziej przykre roboty były dla nas.

Wasyl ciągnął teraz dobrze, jakby chciał wyrównać mi moje babranie się w błocie. Mieliśmy na ukończeniu ścianę, gdy usłyszeliśmy z góry bosmana:

— Obiad!

Postukaliśmy jeszcze bardzo szybko na przekór wszystkim na pokładzie, że niby nie jesteśmy zmęczeni i dopiero potem odłożyliśmy młotki.

Na pokładzie przez chwilę zachowywaliśmy się jak ślepcy, potem wybrzechtalem się cały pod hydrantem, a Wasyl umył dłonie. W messie przykleił się dunkrami do wyszorowanej na biało ławy. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Najgorsza robota dawała najwięcej uznania. Wasyl umorusaną gębą spojrział na siedzących i zabrał się do jedzenia.

Jedliśmy chłodnik owocowy i kotlet schabowy na cały talerz z jarzynami, potem każdy wziął garść bananów i poszliśmy na ostatni luk. Skubaliśmy je, jedliśmy. Był popołudniowy skwar jak co dnia. Nie zauważyliśmy tego, czuliśmy się dobrze, jak Murzyni lepiej znosiliśmy spiekotę

144

od Flamanów. Przyszedł do nas Iwan z uśmiechem, ścigali też Flamani. Statek leżał cicho na szafirowej tafli, w dobrze osłoniętej zatoce. Ląd obrzeżony wyrafinowanie wywijającymi się koronami palm. W samej głębi nikły pomost, przy nim duży, arabski żaglowiec.

— Jak wam idzie robota? — pytał Iwan.

— Dobrze — odpowiedziałem.

— Szykuj się do drugiej komory — dodał Wasyl

W odpowiedzi skrzywił się w uśmiešku.

Wpatrywaliśmy się w najbliższy brzeg. O pół mili na białym piasku zobaczyliśmy kilku białych. Opalone na brąz sylwetki w skąpych kąpielówkach snuły się tuż przy wodzie. Za nimi duża, cienista altana i kilka leżących łódek. Dziś pojawili się bardzo wcześnie. Co dnia schodzili się tam znacznie później, kiedy już opadła spiekota.

— Kobieta — wymówił Wasyl sam do siebie.

Była rosła, przyciężka, o bardzo jasnych włosach. Świat był uroczy, były na nim nawet kobiety. Byliśmy zmęczeni, umazani rdza, zrobiło nam się jeszcze smutniej.

— Widzicie ją? — podpowiedział Iwan Flamanom.

Oni to wzięli za szyderstwo. Na twardych twarzach pojawiła się złość, zaczęli bluźnić.

Na śródkręciu zobaczyliśmy bosmana, kiwnął głową i zniknął w przejściu. Zbieraliśmy się bez pośpiechu i poszliśmy za nim. Natknęliśmy się na niego za mostkiem.

— Znowu przyszedł — burknął.

O kilkanaście metrów od burty zobaczyliśmy ostrą płetwę i prawie czarny grzbiet. Miał ze cztery metry. Spiczastym nosem jakby węszył, sunął wolno, bezczelny, jakby wiedział, że nic nie

145

może mu zagrozić. Odczułem odrobinę grozy, zawsze tak było. Co najdziwniejsze — wtedy nie można się śmiać, a jeśli nawet, to chyba bardzo sztucznie. Bestia ma pono mózg wielkości naparstka, i na co mu to? Całe jego życie to rozdzieranie mięsa i parzenie się. Grozą nie ma sobie równego gatunku, może tylko bakterie cholery, choć to nie gatunek. A jednak bydle ma swój odpowiednik — czasami trafia się w moim gatunku.

Popatrzyliśmy trochę i poszliśmy do roboty.

Szybko dokończyliśmy pierwszą ścianę, podciągnęliśmy deskę na drugą. Znów trochę więcej powietrza, ale ze schodzeniem w dół było coraz gorzej. Oblewaliśmy się potem jak nigdy dotąd. Pływaliśmy w nim. Odszedł ból zmęczenia, ale ręce uderzały coraz słabiej. Często wychodziliśmy na papierosa, byle odetchnąć. Czekaliśmy trzeciej, jak boskiego zmiłowania i ledwo dowlekliśmy do niej.

Po wyjściu na wierzch nie reagowaliśmy na słońce ani na nic innego. Nasza wrażliwość była stępiona. Pokładaliśmy się pod tentami na rufie na kawałku drewnianego pokładu. Potem zobaczyliśmy czystych różowych Flamanów — pryszniczynie były wolne. Wstaliśmy i poszliśmy się myć.

Po dwukrotnym natarciu mydłem na olejku kokosowym ciało odzyskało naturalny brąz, miękkość i błysk. Rozkosz bijących kropel. Zhartowałem skórę zimnym strumieniem i wysuszyłem włochatym ręcznikiem.

W kabinie włożyłem białe, czyste slipy, odrzuciłem drewniane, kąpielowe chodaki i włożyłem stopy w łapcie z miękkiej skóry, jaką potrafią wyprawiać tylko Arabowie. Wziąłem obiadową pomarańczę z poprzedniego dnia i wyszedłem.

146

W messie wypilem pół puszki skondensowanego mleka i wypadłem na pokład. Umęczona skóra znów cieszyła się, wszystkimi porami. Ja, człowiek Północy, odczuwałem tu ustawiczną radość skóry, słońca i wody.

Co dnia musiałem sobie popływać przy burcie. Tego nikt prawie nie robił. Było trochę strachu przed pokazującymi się niekiedy „bydlakami”, ale po półgodzinie oceanicznej solanki wychodziło z ciała każde zmęczenie.

Wbijałem zęby w gorzką skórę pomarańczy, jadłem w całości. W tym jestem do dziś barbarzyńcą, nie znam wykwintu. Bezmyślnie przechadzałem się od nadbudówek aż na koniec rufy. Połamane w komorze ciało ruszało się znowu harmonijnie, oddech stawał się normalny, aż do zapomnienia. Samo istnienie było radością.

Po kolacji siadaliśmy z pełnymi brzuchami na białym brezencie ostatniego luku. Po ulewach deszczu i słońca stracił zupełnie swój dawny, zielony kolor. Nadchodzący wieczór tłumił światło dnia. Było łagodnie ciepło. Wszystko, co było na statku, wychodziło na wierzch. Oficerowie zajęli przód, odgradzając się od załogi „kamienicą” śródokręcia. Łamali to dwaj Grecy, trzeci mechanik Stelio i asystent Lambro.

Przychodzili do nas, by trochę się ożywić. Nerwowiec Lambro wpadał w melancholię, uśmiech nie wchodził mu już na zboląłą twarz. Coraz rzadziej wybuchał szybką mową, zapadał się w sobie. Stelio łagodniał i bronił się czystym uśmiechem. Obaj setne chłopiska o niespotykanej dobroci.

Ciężcy Flamani pracowali twardo, dużo jedli, a potem spali. Czasami wspominali wódkę, nie byli pijakami i łatwo mogli obejść się bez tej

przyjemności. Najżywsi, Wasyl i Iwan, o międzynarodowych paszportach, bez obywatelstwa, wszędzie czuli się dobrze. Nie pamiętali rodziców ani Odessy, którą opuścili podczas rewolucji, będąc małymi dziećmi. Wychowywali się w Istambule, w Grecji, a potem na statkach, odkąd tylko mogli mocno stanąć na pokładach. Ale Wasylowi coraz częściej wykrzywiała się szczerą, kwadratową twarz, a Iwan chichotał wisielcze. Ja ciągle nie mogłem nasycić się słońcem, a kiedy bywało bardzo źle, uciekałem, na coraz to inne kontynenty i wyspy. Próbowałem wyobrazić sobie, jak tam może być i byłem najzupełniej pewny, że to wszystko kiedyś zobaczę.

Flamani poza swoim nie znali innego języka. Był im niepotrzebny. Na pewno nie wyobrażali sobie życia w obcym środowisku. Ich oficerowie mówili trochę po angielsku, tylko starszy oficer, Wallon, posługiwał się nim z największą swobodą. Z początku nazywaliśmy go Francuzem, wtedy obruszył się i powiedział, że jest „Beldzik”, i odtąd nim został. Nigdy nie było tu, jak na innych statkach, nie kończących się gawęd pod gwiazdami tropiku. Flamani mieli męską pogardę dla takiego wylewnego gadulstwa, górowali nad nami masą.

Paliliśmy papierosy, niby obojętni na wszystko, ale każdy kierował oczy na najbliższy brzeg.

Na plaży był teraz tłum. Kilkudziesięciu białych poruszało się leniwie, młodzież wchodziła do wody. Starsi spacerowali, noga za nogą. Wszyscy, pozbawieni żywiołowości, nie wdawali się w żadną zabawę, wystarczało im samo przebywanie i oglądanie innych. Widziałem bujne kształty kobiet, sprężystą smukłość dziewcząt, najmłodsze zbiły się w gromadkę jak kocięta.

148

Spojrzałem na kolegów — ściśnięte twarze, żarzące się, przymrużone, uważne oczy. Tylko Wasyl uśmiechał się jawnie, a w końcu, nie mogąc wytrzymać, zaczął mówić:

— Mówię wam, ale są... — i mówił jak znawca rasowych koni, z męską wnikliwością.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Wasyl skończył i smutnie pokręcił głową.

— Ćma łązi mu po mózgu! — zawołał któryś Flaman.

— A wam to nie? — odkrzyknął.

Flamani zaśmiali się bez obrazy. Iwan pierwszy im to powiedział. Nie mogłem pojąć, jak to zrobił, dość, że zrozumieli. Ukraińcy znali wiele języków, żadnego dobrze, ale w każdym potrafili się dogadać.

— Skąd on je tak dobrze zna? — dziwili się Flamanowie.

— Lornetuje z mostku — podpowiedział im Iwan.

Wasył często tam chodził po pracy. Brał długi teleskop i podpatrywał kąpiących niewiele gorzej, niż gdyby tam był.

Ożywili się Flamani. Póki plaża nie opustoszała i słońce nie zapadło w ląd mieliśmy jakąś jątrzącą radość, pozbawioną wszelkiego sentymentu.

Zabłysło kilka elektrycznych lamp przy pomocy, za nimi przyświecały inne, zza drzew. Nie mogliśmy oderwać od nich oczu. Była tam knajpa dla Flamanów, jakiś Grek na pewno miał sklepik, w którym Stelio i Lambro mogli wyśpiewać się w swojej dźwięcznej mowie. Byli tam piękni i interesujący ludzie, dobrze byłoby choćby popatrzeć na nich z bliska.

Na pokładzie nie paliło się żadne światło.

149

Czerń niepodzielnie zakryła wodę i statek. Kilka jaśniejszych, nikłych smug od pomostu. Mieniące się w dalekiej ciszy gwiazdy wydawały się najbliższe. W rozżarzających się papierosach gorzały ponure twarze, była w nich pustka i cierpienie. Wtedy rozległo się szybko po sobie następujące silne bicie o wodę i odgłos opadającej kłody. Podbiegliśmy do relingu i zobaczyliśmy fosforyzujące, rozchodzące się kręgi.

— Raja! zawołał Stelio.

— Co to jest? — pytali niektórzy.

— Rybka jak wrota — odpowiedział Iwan. Ale znów wzięli to za drwiny i zaczęli bluźnić.

— Powiedzcie mi, kiedy wyjdziemy na ląd! — rozpaczliwie zawołał Lambro.

Odpowiedział mu potępieńczy, pozbawiony nadziei śmiech, pomruk i przekleństwa. Rozchodzono się do koi, zapomnienie w śnie.

Zostałem sam. Znów siedziałem na luku i paliłem papierosa. My, obcy, zaciągnęliśmy się na ten stary, belgijski grat w Nowym Jorku. Po załadowaniu ze trzy tygodnie czekaliśmy na kotwicy w zatoce na konwój mający iść do Anglii południowym szlakiem na Azory. W kilka dni po wyjściu odbiliśmy od konwoju na południe. W początkach samotnej drogi zygzakowaliśmy, potem było już swobodnie i bosko ciepło.

Do Capetown wlekliśmy się miesiąc. Tu znów staliśmy ze dwa tygodnie na kotwicy. Mimo że była wojna, z pokładu mogliśmy oglądać jarzące się światłami miasta i stada baraszkujących fok przy burtach. Nabieraliśmy wodę, w ostatniej chwili przed odbiciem barki wskoczył na nią Hiszpan Rodrigo, był z pokładu, więcej go nie zobaczyliśmy. Potem w kilka statków ruszyliśmy wschodnim brzegiem Afryki pod osłoną. Dopiero

150

kiedy mieliśmy wchodzić do Mombasy, dostaliśmy polecenie do zatoki przy Tandze. Widocznie broń i amunicja, którą mieliśmy, przeznaczona była przeciw Włochom w Abisynii. Ale tu wojna już się skończyła, więc chciano nas posłać do Aleksandrii i tylko mieliśmy trochę poczekać, aż Niemców spod niej przepędzą. I tak byliśmy od czterech miesięcy bez lądu, a Niemcy stali mocno. Normalnie powinniśmy spuścić szalupę na wodę, by rozprostować nogi, ale kapitan, zapijaczony dziad, nie chciał nawet słyszeć o tym.

Rzuciłem niedopałek za burtę, poszedłem do koi.

Przez trzy dni w pocie i duchocie męczyliśmy komorę. Pociągnęliśmy minią dwa razy i wybrałiśmy kotwice. Poszła druga za burtę wraz z całym łańcuchem. Widzieliśmy chichoczącego Iwana na wierzchu z kubłem, wymigał się od błota. Poszliśmy z Wasylem na pokład. Rano robota szła raźnie, opadała w tempie wznoszącego się słońca, choć utrzymaliśmy ciągłość do obiadu. Po południu pokład był jak rozgrzana patelnia, aż drgało nad nim powietrze. Nie można było oprzeć się dłonią. Złożony w cztery worek podkładaliśmy pod kolano, zmienialiśmy je, ale w końcu siadali wszyscy. Odpryskująca rdza boleśnie biła w twarz. Później nie czuło się tego, a w końcu doszedłem nawet do takiej wprawy, że po uderzeniu młotkiem odpryskiwała ukośnie.

Pot spływał burymi pasmami. Chroniące oczy okulary trzeba było często przecierać, potem odrzuciliśmy je. Spoglądaliśmy z uznaniem kiedy ktoś chwycił ciężki młot.

Stary, siwy marynarz podążał za nami. Zgarniał rdzę, przecierał stalową szczotką, zamiatał pył na czysto i smołował pokład. Robił wolno, oszczędnie. Ani odrobiny energii więcej, niż potrzeba

trzeba. W jego celowych ruchach była starcza mądrość. Nie wdawał się w nasze gadanie, czasami tylko uśmiechał się.

My pracowaliśmy nago. Siwy, jak Arab, miał na głowie białą poszewkę z podgłówka, osłaniającą mu kark, białą koszulę i jasne portki z wolnej wachty. Nie pocił się. W czasie palenia papierosów przysiadał na luku ze szczotką w rękę. Miał łatwiejszą pracę, słuszną jego wiekowi. Kiedy przeciągaliśmy odsapkę, jak żuraw pierwszy dostrzegał pojawiającego się oficera. Ale oficerowie też złagodnieli i nie pojawiali się często. Dla przyzwoitości uderzaliśmy wtedy słabo młotkami, aż znów wciągała nas praca, że zapominaliśmy o wszystkim. W końcu nadchodził bosman i ucieszenie kiwał głową: już starczy. Puszczal nas pięć minut przed trzecią.

We wszystkie dni było tak samo zbójeckie słońce i robota jak na galerach. Jadło zmieniało się trochę, ale nie dostrzegaliśmy tego. Grecy przestali jeść wieprzowinę. Byli bardzo gniewni. Raz natarł na nas Stelio:

— Świnia i świnia, ciągle świnia! To niezdrowo!
Za grosze można kupić kury, barana czy byczka.
W końcu trzeba to powiedzieć kapitanowi.

Ale my, jak barbarzyńcy z Północy, przyjęliśmy
go uśmiechami.

Jakby dla urozmaicenia pojawiały się w wodzie
przyjemniaczki — ludojady. Oglądanie plaży ją-
trzyło aż do udręki. Wiezorami do oblędu wpa-
trywaliśmy się w światła osady. Przytomnieliśmy
w hałasie igrających raj i szliśmy spać.

W niedzielę można było pospać dłużej, niektórzy
nie wychodzili nawet na śniadanie. Ale na obiad
ściągali wszyscy, czyści i tylko w dunkrach.
Jedliśmy bez słowa, potem popijaliśmy

152

kwaterką czerwonego sikacza, dodawaną co
dzień do obiadu.

Kiedy wypiliśmy, najroślejszy, kwadratowy Jan
wykrzyknął:

— Wina!

Że też chce mu się żartować — pomyślałem. Ale Iwan nie tracił głowy.

— Chodźmy wszyscy na ład, popijemy zdrowo.

Wrzasnęliśmy, widząc w przejściu chłopaka z pokładu z pełnym kubłem. Ostrożnie postawił na stole i nalewał każdemu nabierką. Nie wierzyłem, był to jednak sikacz. Flamanowie zabierali swoje porcje do kabin. Myśleliśmy, że tam wypiją, ale oni zlewali oszczędnie. Wyżłopaliśmy kubek do dna i poszliśmy na pokład.

Kapitan myślał może, że zdusi nas robotą do tego stopnia, iż wszystkiego nam się odechce. Nie wziął pod uwagę niedzieli i sikacza. Mieliliśmy zdrowie dzikich, a odżywiani byliśmy jak perszerony. Na rąbku pokładu snuliśmy się w kółko aż do kołowacizny. Można było ulecieć w marzenia, ale to nam było zupełnie obce. Kurzyło się ze łbów, nie wiedzieliśmy, co z sobą począć. Jan szukał chętnych do mocowania, ale każdy wydzierał się z jego rąk i umykał.

Plaża zapełniała się kąpiącymi. Wasyl wpadł w swoją mowę. Wybuchnęliśmy rżeniem. Podniosło się wołanie: — Ćma! ćma! — Zagłuszony umilkł. Ale cisza była jeszcze gorsza. Wiedzieliśmy, że starszy oficer mówił kapitanowi o szalupie, jednak stary nie chciał nawet słuchać. Łąd kusił nas nieodparcie, a kiedy nie mogliśmy już myśleć o niczym innym, odezwał się Wasyl.

— Chodźmy do kapitana! Flamani przyjęli to bez sprzeciwu.

153

— Już dawno powinniśmy to zrobić — odezwali się Grecy.

Poderwaliśmy się. Zaczęto nawoływać pozostałych w kubryku.

— Kto ma mówić? — odezwali się Flamanowie.

— Wy, prędzej dogadacie się z nim — cisnął Iwan. — Zresztą nie trzeba mówić, wystarczy, jak wszyscy pójdziemy.

Po drodze zaczęliśmy zbierać ludzi z kuchni i maszyny. Przy ciasnych schodach puściliśmy pierwszych Flamanów z pokładu, za nimi Ukraińcy i ja, za mną Grecy. Inni pozostali na dole. Postaliśmy chwilę cicho.

— Śmiało wchodzić — wołał Iwan; drżał, że rozmyślą się i uciekną.

Jan zapukał grzecznie i szeroko otworzył drzwi. Stał w progu i zaczął mówić. Z głębi odpowiedział mu potęgujący się, gniewny ryk. Zobaczyłem skudlony łeb, czerwoną, nabrzmiąłą twarz i szeroko otwartą gardziel. Stojący na górze cofnęli się, ale z Ukraińcami trzymaliśmy mocno za poręcz. Naparli z taką siłą, że musieliśmy puścić. Zdawało się, że wszyscy zlecą na łeb, ale był taki ścisk, że tylko obsunęliśmy się trochę.

W odwrocie jedni śmiali się, drudzy klęli. Nawet na naszej rufie nie poczuliśmy się lepiej. Flamani zaniemówili ze wstydu. Iwan chichotał jak szatan, aż wszyscy wpadliśmy w plugawy śmiech.

— Nawiewaliście, jakby chciał strzelać — dożerał im Iwan.

— Niedobry jest. Ma pistol — odpowiadali Flamanowie.

— Mogliśmy iść z procesją i na schodach odmówić litanie „Kapitanie, zmiłuj się nad nami”
— doradzał Wasyl.

154

— Chodźmy teraz z procesją — podpowiadał Iwan. Odpowiedział mu śmiech.

— Sami spuśćmy szalupę — doradzali Grecy.

— Tak powinniśmy zrobić — mówiłem. — Ma nas za bydło zdatne tylko do roboty.

Poparli mnie Ukraińcy, ale z Flamanów nie dało się wykrzesać ducha. Otrząsali się, jakby to był bunt.

Nie cieszyło już spoglądanie na plażę, świat odwrócił się od nas.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, zostałem sam na luku i paliłem papierosy. Jak nigdy dotąd nie chciało mi się spać. — Skoczyć do wody i popłynąć na ląd — okropna myśl wpadła natarczywie do głowy. Odpędzałem ją w strachu, by się nie poddać. Mogliśmy wszyscy z pokładu opuścić statek w szalupie i już nie wrócić. Ale Flamanowie nie zgodziliby się, były jeszcze cztery zaległe wypłaty. Więc można było nie wychodzić do pracy, póki nie spuszczą szalupy. Jednak Flamanowie bali się buntu jak ognia. Tylko sam mogłem coś zrobić i wtedy właśnie wskakiwała mi do głowy ta nieszczęsna myśl.

Kapitan zawsze postępował tak ze swoimi rodakami i było dobrze. Tylko dla nas, obcych było to nienormalne. Moja godność chama cierpiała mocno. Jej głód narastał od pokoleń i dbałem o nią więcej niż arystokrata o swoją. Nawet szlachetną zemstę uznawałem za najdotkliwszą karę. W sprawach zasadniczych nie popuszczałem myślami ani trochę, stawałem i w starciach.

Podszedłem do relingu i popatrzyłem na czarną jak smoła wodę, potem szybko odszedłem do kabiny.

Następnego dnia nie szła nam robota, ale wdrożeni

155

w przymus ciągnęliśmy ją. Po trzeciej, kiedy wszyscy poszli myć się, wziąłem z kabiny szwedzki nóż o szerokim brzeszczocie. Mój nóż był zawsze bardzo ostry. W pochewce przełożyłem go przez pasek, przepasałem się. Spuściłem za burzę sztormtrap i zeszedłem w wodę. Rozpocząłem szybki crawl, strach potęgował się. By go opanować, przeszedłem w spokojną „żabę”.

Co będzie, jeśli pokaże się bestia? Pono trzeba wtedy mocno uderzać dłońmi o powierzchnię wody — boi się rozbłysków światła. A jeśli podejdzie blisko — to nożem. Raje prawie zawsze pochłaniały rzucane przez nas kawały mięsa po uprzednim obwąchaniu, czyniły to szpiczastym, mocno wystającym nosem. A jeśli zaatakuje z miejsca? — zawsze trzeba odpychać bestię lewą ręką, nawet o brzeg paszczy, a prawą uderzać. Żałowałem, że nie wiem, gdzie ma serce. Wystarczy jednak, że uderzę w oko, wtedy na pewno odejdzie. Najważniejsze — nie dać się podejść znienacka...

Zacząłem płynąć pod wodą. Widziałem doskonale zielonawą, rozświetlona głębię. Ale nie mogłem długo — męczyło. Wróciłem do „żaby”. Po wdechu wypatrywałem wystającej płetwy, w ciągu patrzyłem w głębię, szukając przesuwających się cieni. Zelżał strach, ale całkowicie nie odszedł nigdy. Schodził w głębię podświadomości, było go tyle, ile powinno być. Oswoiłem się. A przy tym ciągnęła gotowość mordy, gotowość na wszystko, co może być.

Obejrzałem się, statek już był mały. Znów mógłbym śmiać się, ażby echo odpowiedziało. Uciekłem od plugastw kapitana. Było mi go żal. Był mały, umęczony wraz z całą załogą.

Czasem jakieś żyjątko smyrnęło mnie po grzbiecie

156

i wracała czujność. Aż wrócił swobodny oddech, a ląd zbliżał się szybko. Zobaczyłem dno, potem poczułem je dłońmi. Powstałem, zachwiałem się, byłem porządnie zmęczony. Wyszedłem na bieleńki piasek, usiadłem. Radość twardej, jednak najlepszej ziemi.

Podeszło kilku murzyńskich chłopców. Popatrzyli i odeszli bez słowa, wyćwiczeni, że do białych można zwracać się tylko w ważnych sprawach. Zachciało mi się śmiać.

O jakie sto metrów plażowali biali. Zdjąłem pasek z nożem, ująłem skromnie w dłoń i podszedłem bliżej. Dziwne to było po tak długim czasie. Nie trzeba już jak mucha wczepiać się stopami w pokład. Inne poczucie równowagi. Niezwykła łatwość; musiałem panować nad sprężystością nóg, by nie ulecieć w górę. Usiadłem przyzwoicie, nie za blisko. Murzyni przynosili napoje, rozkładali leżaki z podkładami z mikrogumy. Młodziutkim dziewczynom macierzyńsko usługiwały stare Murzynki, nianie, które je wychowywały.

Mężczyźni byli bardzo spokojni, z ich twarzy przebijała zimna pewność siebie. Jasnowłose, łagodne kobiety, powolne, o nikłym i dobrym uśmiechu. Były piękniejsze, niż wyobrażałem je sobie ze statku. Ich zajęciem była tylko miłość, były bogate. Zdawało mi się, że czasami spoglądają na mnie i szybko odwracają oczy. Byłem mocno opalony i brudny, z rdzą wżartą w skórę po całodzienniej harówce.

Dziewczyny podrzucały dużą piłkę, jakże chętnie poskakałbym z nimi. Chłopcy pływali na skrawku zabezpieczonej siatką wody. Uśmiechnąłem się, było mi dobrze.

Zauważyłem, że suchy staruszek z fajką przechadza

157

się i przypatruje mi się uważnie. Otwarcie zwróciłem się twarzą do niego. Przystanął nade mną z wnikliwym uśmieszkiem, odpowiedziałem mu szczerem.

— Jesteś ciemny jak Arab — zaczął mówić — ale nie jesteś mieszzańcem. Znam tu wszystkich białych. Skąd jesteś?

— Z tego statku.

— Żartujesz...

— Nie.

— Jakiej narodowości?

— Polak. A ty?

— Niemiec. Tu są sami Niemcy, trochę Szwajcarów i Skandynawów.

— I Murzynów — dopowiedziałem. Przytaknął.

— Statek też polski?

— Belgijski.

— Na co ci nóż?

— Na rekiny.

Roześmiał się ucieszenie i spojrzał na mnie jak na pomyłonego.

— Co tu plantujecie? — zapytałem.

— Sizał, trzcinę cukrową, zaczynamy kawę i kakao.

— Dobrze życie.

— Tu jest łatwo, nie tak jak w Europie. Słuchaj, każę cię odwieźć łódką. Nie myślisz chyba popłynąć.

— Właśnie myślę — skłamałem.

— No no no — pomruczał i odszedł do swoich krajanów.

Teraz spoglądano na mnie ostrożniej, jak na kogoś niebezpiecznego. Słońce chyliło się coraz niżej i nikt nie zbierał się do odejścia. Chcieli

158

popatrzeć na moją powrotną drogę. Staruszek zniecierpliwiony, przyszedł jeszcze raz.

— Słuchaj zaraz ściemni się i nie zobaczysz statku.

— Zobaczą światło kotwiczne. — Wywieszaliśmy je, mocno przytłumione. Statek był zaciemniony w obawie przed japońskimi łodziami podwodnymi.

Staruszek odszedł, wraz z nim wszyscy. Dostrzegłem, gdzie Murzyni chowają wiosła. Słońce zapadło. Odczekałem, aż czerń zgęstniała, wybrałem średnią łódkę, ledwo zawlokłem ją na brzeg. Ze schowka wybrałem dulki, parę zgrabnych wiosel, zaniósłem do łodzi. Zepchnąłem ją na wodę, skoczyłem do środka. Silnie naciskałem wiosła, spod piór błyskał niebieski ogień. Spoglądałem na światło kotwiczne i poprawiałem kierunek. Pojawił się czarny masyw statku. Wolno podchodziłem pod ostatnią ładownię. Z luku dobiegł mnie zgnębiony głos Lambra i przekleństwa Flamanów.

— A hoj! — zawołałem.

Powtórzyłem jeszcze raz i cały reling oblepił się sylwetkami.

— Dawajcie rzutkę — powiedziałem spokojnie.

Na górze wszyscy zawyli wilczą radością. Podciągnęli zawiązaną do łodzi linkę. Skoczyłem na ciągle wiszący trap, a kiedy wdrapałem się na pokład, nie było na nim żywej duszy.

W przejściu z kubryka wyskoczyło czterech młodszych marynarzy z ubraniami w rękach. Pędzili ile sił, by nikt nie zajął im miejsca w łódce. Tam już będą mieć czas. Inni ubierali się na wyścigi.

Umyłem się. Włożyłem sandały, dunkry i białą koszulę. Podjadłem trochę w messie. Przy relingu ciągle była cizba, a z pokładu wszyscy byli

159

już na lądzie. Teraz parli ci z maszyny. Pchali się niemiłosiernie, każdy chciał być pierwszy, w strachu, że coś może się stać i zostaną na statku. Na drabince linowej deptano sobie po rękach i głowach. Z łódki darli się — Już równo z wodą! — i szybko odbijali. Wiszący na drabinie wchodzili na górę i nieustępliwie zajmowali pierwsze miejsce w kolejce. Młodzi przepuszczali starszych, chociaż byli bardziej spragnieni wyjścia. Zobaczyłem Greków i razem zeszlśmy.

Na brzegu obokoczyła nas gromadka arabskich chłopaków, ciągnąc po różne, zadziwiające kupna. Nie zrażali się brakiem jednego choćby peny. — Wystarczy podpisać rachunek — odpowiadali. — Kapitan wypłaci. — Oczywiście z naszych, zaległych wypłat.

Potem któryś zaprowadził nas na jedyną tu ulicę i zatrzymał przy piętrowym hotelu. Wydarł mi z ręki paczkę papierosów i pobiegł pilotować innych.

Przy stolikach z białymi obrusami i kwiatkami Flamanowie popijali najlepsze wina. Wreszcie byli roześmiani i radośni. Ściągali coraz to nowi, aż zeszła się prawie cała załoga.

— I bosman tu! — zawołałem. Zawsze trzymał się trochę z daleka od nas.

— A co, ja to inny? Należy nam się. Wszystko pomalowane od burt aż do masztów, i pokład zrobiony.

Pojawił się ront policyjny. Biały oficer z patyczkiem w dłoni jak z batutą i dwóch czarnych askarów, obwieszonych bronią. Oficer powiódł oczami, uśmiechnął się i wyszedł.

Po północy przyszedł Wasyl w ubraniu w prążki i w jaskrawym krawacie. Na obu dłoniach miał sygnety z grubego złota z kamieniami. Wyglądał

160

jak wielki ksiązę rosyjski. Przy nim stała czarna dziewczyna o ostrej piersi, bosa, owinięta kawałkiem kretonu w kwiatki. Natychmiast wszedł właściciel. Ustawiono dla nich stolik na zewnątrz, z dala, za drzwiami. O kilka kilometrów była pono mała wioska, ale Flamanowie byli już zupełnie „rozradowani”. Z pomocą arabskich kelnerów szli na piętro, do pokojów sypialnych. Właściciel Grek przysiadł się do nas z synem. Lambro tajał i przychodził do siebie, a Stelio często dolewał wina. Z młodszym Grekiem mówiliśmy o polowaniach na lwy, słonie i o szukaniu złota, aż wszystko się rozplynęło.

Po kilku dniach wszyscy ściągnęli na statek. Tylko Wasyl mieszkał gdzieś w crallu. Ściągnął po tygodniu wymizerowany, radosny. Znów wychodziliśmy do roboty, a po niej na ląd. Beldzik wyznaczył wachty przeciwpożarowe. Koloniści nie gniewali się, że porwałem im łódkę. Podobał im się żart, a przed odejściem statku przysłali po nią Murzynów. Korzystali z niej wszyscy oficerowie i zaśmiewali się również. Tylko kapitan, kiedy Beldzik powiedział mu o wszystkim, wybuchnął:

— To ten Polak, żeby go rekiny zjadły!...

161

BŁOGOSŁAWIONY BEZWSTYDZIE!

Siedziałem sam zupełnie w tyle. Tonąłem w kanapie, zatraciłem poczucie własnej ciężkości. Nie chciałem razić sobą ludzi, a stąd mogłem swobodnie widzieć wszystkich siedzących. Biali pasażerowie sadowili się najbardziej w przodzie, Murzyni przed zajęciem miejsc, spoglądali na mnie dziwnie. Spoglądał także bileter, wesoło wzburzony. Rosły, stał w koszuli przy szoferze, dzięki mundurowej czapce podobny do policjanta. Bardzo urzędowy, był jakby kapitanem autobusu.

Kiedy potoczyły się już ogromne koła, bileter stanął wyniośle w połowie autobusu i zawołał:

— Hallo, boys!

Czarne twarze natychmiast zwróciły się do niego. Bileter wskazująco kiwnął palcem. Siedzący najbardziej w przodzie, wytwornie ubrany Murzyn z włosami przyprószonymi siwizną, poderwał się bez chwili zwłoki. Przeszedł do tyłu i stanął z wahaniem obok mnie. Jego uległość klóciła się z mądrymi oczami w złotych binoklach.

— Wstawaj! — Teraz konduktor zwrócił się wesoło do mnie.

— Tu mi wygodnie. Dużo miejsca. — Odsunąłem się zachęcająco, ale Murzyn nie siadł.

— Tu jest takie prawo — urzędowo zagrzemiał konduktor.

— Jestem Europejczykiem, nie pasuje mi taki przywilej — odpowiedziałem swobodnie.

— Jesteś u nas i musisz przestrzegać praw tego kraju! — krzyczał.

162

— Dziwne prawo. — To zdanie wyszło mi samo z ust.

Wstałem. Nie miałem żadnego bagażu, zupełnie wolne ręce. Przy wymijaniu zaśmialiśmy się do siebie jak dwa koty. Wszystkie zwrócone we mnie białe twarze były wzburzone. Spod okna wyleciał jeszcze jeden Murzyn, przesunął się, nie dotykając mnie. Usiadłem na skraju, by skończyć z tym jak najszybciej. Jednak biali ciągle jeszcze skręcali karki.

Siedziałem spokojnie, tak jakbym chciał schować się. Z drugiej strony przejścia mężczyzna w sile wieku, ukryty za dziewczyną, okazywał mi jawną wzgardę. W jego twardych, siwych oczach widziałem lynch. Rasowa duma southernera, pogarda. Dopiero za drugim spojrzeniem zmio-
tłem go oczami. Zaklął, usiadł prosto. Nieskazitelna biel ubrania, ogorzała twarz, słomkowa „panama” w tyle głowy. „Kawał drania — pomyślałem sobie — pewno z tych, co kiedyś mieli czarnuchów na farmach”.

Po wyjeździe z Norfolku transkontynentalny „Greyhound”, ogromny jak wagon pulmanowski, puścił się w cwał. Ciężka masa stali płynęła z lekkością ptaka. Żadnych wiosek. Czasami samotne okazałe domy, rozległe połacie odurzającego tytoniu. Wiosenne, parne gorąco. Wielkie, zielone pola krzaków; słońce. Odurzenie, nie mogłem tego znieść.

— Zostań! — jeszcze brzmiały we mnie mocno słowa pierwszego szturmana, Johnsona. — Stary kapitan schodzi, ja go zastąpię. Obaj jesteście prawdziwie starą załogą, nie będzie ci źle. Po wojnie wrócisz do rodziny z niezłym mieszkiem.

Odpowiedziałem mu: — Boję się, że pieniądze utoną razem ze mną. — Pierwszy raz nazwałem

163

go wtedy kapitanem, mówiłem mu, że też mógłby zejść, ożenić się i prowadzić radosne życie. Uśmiechnął się przyzwalająco i szybko odpowiedział:

— Och, nie tu. Ameryka jest jak głośny dzwon wewnątrz pusty. Zejdę tylko w starej cichej Szwecji. — Odliczył prawie 1300 dolarów. Kiedy zgarniałem je ze stołu dodał:

— Ładne pieniądze, szanuj je — Wyciągnął dłoń. Uścisnąłem ją mocno po raz pierwszy i ostatni.

Potem napiliśmy się wódki z marynarzami Norwegami. Kiedy już zegnaliśmy się, doradzali mi na jednej z ulic burdele z południowym splendorem. Z serdecznością dzikich pragnęli podzielić się swymi kobietami. Przytakiwałem im z obłudnym uznaniem.

Ci doskonali marynarze i weseli bałaganiarze przyszli z norweskiego wielorybnika. Stało się to potem, jak niemieckie samoloty obłożyły nas bombami przed wejściem do Tamizy. Skończyło się na strachu, ale z czterech statków, idących w konwoju, poszedł tylko kurz i ogień. Szwedzi zeszli zaraz w Londynie i odpłynęli na fińskim statku do Petsamo, by stamtąd dostać się do kraju.

— Jedziemy wygrzać się przy babach, trochę ryby połowimy przy brzegu. Jedź z nami — namawiali mnie, ale nie odpowiadało mi to. Zbyt wiele myślałem o swoim kraju.

Po Szwedach przyszli wielorybnicy z muzyką na organkach i przyśpiewkami, widocznie byli już po zaliczce. Kiedy schodziłem z trapu Norwedzy pohukiwali wesoło. Przypominali mi, bym nie zapomniał tej ulicy.

Byłem tylko w spłowiałej, niebieskiej koszuli, w dunkrach i w szwedzkich, czarnych butach na

ciemnej słoninie. Nie miałem wyjściowego ubrania, bo po co? Po odcięciu Szwecji przez Niemców żaden Szwed ani obcokrajowiec nie miał w Anglii prawa zejścia na ląd ze szwedzkiego statku. W Stanach tylko mnie dotyczyło to zarządzenie. Obawiano się, że dam dęba. I tak furt przez dziesięć miesięcy, aż w końcu zostawiłem wszystkie stare łachy i zeszedłem bez bagażu, z pustymi rękami jak na piwo za najbliższy róg.

Z oddali popatrzyłem jeszcze na dobrą „Blancaholm”. Na burcie wzniesione przyjazne ręce. Podniosłem swoje obie, aż hangar zakrył mi wszystko. Nawykłem do kołysania, ląd wydał mi się wprost nieprzyzwoicie stały.

„Greyhound” pędził ze skowytem opon, z cichym jękiem motoru, szumiał wiatrem jak samolot.

Kapitan, stary i gruby jak beka, nie często pojawiał się wśród nas. Wybałuszonymi oczami opryskliwie spoglądał na wszystko jak korsarz i znikał. Nigdy nie stykaliśmy się z nim ani nie uznawaliśmy go. Dowodził Johnson, łagodny i opanowany. Nigdy nie widziałem pierwszego oficera, który by spełniał swoją najtrudniejszą na statku funkcję tak lekko i dobrze. Byłem w jego wachcie. Kiedy na mostku doskwierała nam monotonia, miał zawsze kilka pogodnych słów. Odpowiadałem mu powściągliwie, szanowałem go. W jego piwnych oczach, skorych do uśmiechu, żarzyła się zawsze żywa myśl. Smukły ciemny szatyn, prawie południowiec, Szwedem był dopiero wewnątrz.

I zarabiało nam się nieźle — pięćset procent kriegzysku* i nadgodziny, skaczące procentami.

* dodatek wojenny — żarg.

Czasami było trochę strachu, ale później życie smakowało mocniej. Najmniejszy okrucień radości przyjmowaliśmy tak zachłannie, jak gdyby miał być ostatnim, zresztą niewiele ich było w samotnych rejsach i w konwojach. Na północnym szlaku po storpedowaniu statku surowe zimy zabijały ludzi także w wodzie i w szalupach.

Chwilami mknęliśmy w długim rzędzie samochodów jak w konwoju. Z przeciwnej strony mijaly nas wozy jak pociski. W niektórych rozbita młódź, rozwiane włosy, kolorowe sukienki. Samotne pary, chłopiec przy kierownicy z wtuloną w niego dziewczyną.

Nie pragnąłem takich uniesień ani przygód. Chciałem uczyć się języka i nawigacji, potem dopiero dziewczyna bywa największą nagrodą za trud. Byłem naładowany tym postanowieniem jak syn prezbiteriańskiego pastora. Oczywiście — chciałem też kupić harmonię, by kiedyś grać na niej radosne piosenki Włochów, subtelne wyrafinowane Francuzów, z ogniem jak Hiszpan i bardziej jeszcze żywiołowo niż Rosjanin. Od bezbrzeżnego smutku i tkliwości po ekstatyczną radość. Potem nigdy już nie będę samotny, w zaczarowanym pudełku będzie wszystko.

Żałowałem swoich rącznych dłoni, niezdatnych do skrzypiec. Kiedyś, w Rumunii, słuchałem bosych Cyganów, oddałbym za nich wszystkich wyfraczonych wirtuozów świata.

Jechałem do Nowego Jorku, stęskniony widoku krajanów. Swoi, nie będzie tak obco. Spojrzałem na farmera w „panamie”. Postanowiłem panować nad sobą, by nie było już więcej zderzeń.

„Greyhound” na sekundę zatrzymywał się

166

w miastach, potem pędził, aż zwolnił i zjechał z szosy, sapnęły hamulce, szofer wyłączył motor.

— Baltimore! — zawołał bileter; zapowiedział piętnastominutowy postój.

Pasażerowie zeszli do baru. Naszego szofera witali głośno koledzy z innych autobusów. Klepał ich po plecach, swobodnie przepychał się przez zatłoczoną salę. Siadł na wysokim stołku, zastukał knykciami w kontuar. Śliczna dziewczyna podała mu talerz z pieczysem. W podziękowaniu musnął ją palcami w policzek. Zaśmiała się i odeszła podawać innym. Jedząc, wodził za nią oczami i przywoływał dla różnych usług. Odjeżdżający szoferzy klepali go po plecach. Nie zwracał na nich uwagi. Zjadł szybko, zapalił papierosa. W końcu udało mu się zatrzymać przy sobie kelnerkę. Ciągłe mówił, a ona to mrużyła, to szeroko otwierała oczy. W końcu spojrzał na zegarek, uszczypnął dziewczynę w podbródek i zsunął się ze stołka. Bileter zapowiedział odjazd. Dopilem piwo, wyszedłem za nimi.

Za miastem znów cwał. Rozochocony posiłkiem szofer dobrze dusił gaz. Przeniknęła mnie żywiołowa rozkosz pędu. Nie chciało mi się spać, dosyć odpocząłem na „Szwedzie”.

Podróż zawsze ożywia mnie w najwyższym stopniu. Ostrzą się zmysły, jestem ciągle w stanie podniecenia. Choć obżartuch, jem w drodze mało i nie tracę energii, jakby teraz dopiero spalanie posiłków odbywało się idealnie.

Patrzyłem przez szyby na przelatujące obrazki. Syci pasażerowie zapadali w drzemkę niektórzy dobrze już spali, wygodnie ułożeni na odchylnych oparciach. Po drugiej stronie przejścia zobaczyłem jasne, dzieciennie ciekawe oczy, z świetlistym blaskiem spokoju i dobroci. Pomyślałem,

167

że dobrze, gdy na przekór wojnie są jeszcze takie oczy. Spojrzałem jeszcze raz, spotkaliśmy się oczami. Przez sekundę, dwie przyglądaliśmy się sobie uważnie, potem jednocześnie odwróciliśmy głowy.

Spojrzałem ponownie. Dumnie wyprostowana, bujnie zakwitająca pierś, niezwykła szczupłość talii, smukłe, gołe nogi. Siedziała spokojnie, ale tak, jakby chciała uciec, a ja nie mogłem już nie patrzeć. Kształtna głowa na smukłej, nie słabej szyi. Smagły owal twarzy, nosek z garbkiem o żywiołowych chrapkach, długie, wąskie usta o zmysłowym zarysie. Drobnny i mocny podbródek.

Każda jej cząstka olśniawała mnie, budziła coraz większy zachwyt. Złote włosy z rdzawymi pasemkami sypały się na szczupłe barki. Ogarnął mnie strach, lecz nie taki, jak przed bombami, był to strach zmieszany z największą rozkoszą.

Spoglądałem najdelikatniej, jak tylko potrafiłem. Mocne, jeszcze kanciaste biodra. Chowiała się w jasną sukienkę w kolorowe groszki, bez żadnych ozdóbek. Świeżość jak wiosna, chroniona przez czystość. Przypomniały mi się burdy, zaplute knajpy, ale zniknęły natychmiast, tak jakby nie istniały. Mrużyłem oczy i widziałem ją w sobie, świat był piękniejszy, niż go Bóg stworzył.

Jej sylwetka była już doskonale uformowana, ale twarz nie straciła dziecięcości. Na Południu takie się rodzą kobiety. Mogła mieć osiemnaście lat, mogła mieć piętnaście. Byłem od niej starszy o jakie dziesięć lat, a całe moje życie było ciągłym otrząsaniem się z błota. Wpadłem w rozterkę, a kiedy połapałem się, że tak myślę, wpadłem w jeszcze większą.

168

Długo siedziałem prosto, aż głowa odwróciła się sama i znów spotkaliśmy się oczami. Było w nich zadziwienie i dziecięca ciekawość. Jak kobieta zsunęła wolno stopy w atłasowych pantofelkach. Staralem się być spokojniejszy, zdawało mi się, że i ona patrzy na mnie. Wystraszyłem się trochę. Wiedziałem, że jestem z gruba ciosany, że mam na sobie robocze ubranie. Prawie rok bez lądu; teraz strach, potrzeba obycia się z nim i wilcza czujność — można nieludzko stwardnieć. Bałem się swoich oczu, wyrazu twarzy. Uspokoilem się, kiedy pomyślałem, że zrobiłbym wszystko i tylko to, co dałoby jej radość.

Spojrzałem i znów zajrzeliśmy sobie w oczy, Nie odwracając twarzy opuściła je w dół. Dlaczego tak zrobiła? Chciałbym je zawsze podnosić, by nigdy nie opadały.

Podniosła wzrok, wtuliła się w siebie. Wolno osunąłem oczy, by zwrócić jej swobodę. Pod przednimi szybami wściekle uciekała szosa. Oby ten siwy pies* nigdy nie dobiegł do naszych stacji.

Coraz śmielej zaglądaliśmy w siebie. Mówiłem jej bez słów, że jest piękna i dobra, że mój świat jest okropny, świat wojny, że nie jestem taki zły, że sami sobie stworzymy świat, jaki tylko będziemy chcieli.

„Zobaczysz, jak będę grał na harmonii... Ty będziesz tańczyć flamanko i wszystkie najbardziej urocze tańce... Zagram cały świat, zły i brzydki, byśmy go nie pożąдали w życiu...”

Przypomniały mi się moje zamierzenia, nie przewaliły się. Przy niej mógłbym przenosić góry. Opowiadałem jej o namiętnej rozkoszy, niszczącej swym wzlotem śmierć. Słuchała mnie oczami,

*** „Greyhound” — nazwa autobusu, „Siwy pies”**

nie odwracała ich już tak często. Nabierały głębi. Wysokie, jasne czoło chmurzyło się, policzki pałały. Czuję w sobie narastający ogień. Całe szczęście, że nie było go na twarzy. Skórę miałem spaloną słońcem.

Nie mogłem uśmiechać się. Bałem się swojego uśmiechu, mógłby być za mocny. Na długie chwile zatapialiśmy się w oczach, strasznie poważnie, z rozkoszną udręką. Potem — jakby nie mogła tego znieść — położyła nagie, smukłe ręce na oparciu przedniego fotela i złożyła na nich głowę. I mnie nie było lepiej, ale nie mogłem ani nie chciałem oderwać się.

Zwróciła do mnie twarz, trochę osłoniętą włosami, i znów wdzieraliśmy się w siebie. Było jej wygodniej, ale nie lepiej. Kilka razy prostowała się, potem znów skłaniała głowę. Drzemiący dotąd pod oknem farmer w „panamie” miał otwarte oczy i przyglądał mi się uważnie. Nie uciekałem wzrokiem, nie patrzyłem przecież na niego.

— Co ci jest? — zwrócił się do dziewczyny.

— Nic mi nie jest — odpowiedziała dźwięcznie.

— Przesiądź się tu.

— Jest mi dobrze — odpowiedziała mocno.

Pojałem, że to ojciec, te same suche twarze. Przypomniało mi się ranne zajście z bileterem.

Ojciec powstał jednak. Podniosła się, dumnie odrzuciła włosy, usiadła pod oknem. Ojciec nie spuszczał ze mnie kipiących gniewem oczu. Nie odwracałem swoich. Spoglądałem łagodnie i otwarcie — jak między mężczyznami, ale spodziewałem się najgorszego. Nie ruszyłem palcem w swojej obronie, ale co najdziwniejsze, nie bałem się też. Wszystko to przekraczało może jego

170

wyobraźnię, osłabł w końcu, a uspokoił się, kiedy zajął miejsce i przegrodził nas.

Cała moja dzikość burzyła się przeciw niemu, jednak obezwładniała ją dziewczyna. Przesunąłem się na puste miejsce pod okno, by nie drażnić ojca. Ale nie zwracałem na niego oczu. Dziewczynę ciągle miałem w sobie, ale już nie tak jak przedtem. Było, jakby mi kto zabrał powietrze.

Ojciec znów zapadł w drzemkę, ale dziewczyny nie widziałem. Powinienem był wcześniej dać jej kartę z adresem Domu Polskiego w Manhattanie, z kilkoma polskimi słowami, by mogła do mnie napisać. Teraz dużo trudniej. Nie miałem ołówka, mógłbym jednak pożyczyć od któregoś z pasażerów, a kartkę wydrzeć z książeczki żeglarskiej. Już chciałem to uczynić, kiedy ojciec przerwał drzemkę i popatrzył na córkę. Potem zdjął z półki plik gazet, zaczął przerzucać strony, aż rozczytał się na dobre...

„A gdybym zrobił to przy nim?... — Na pewno wywołałby piekielną awanturę, jej byłoby nieprzyjemnie, a dla mnie — straszny wstyd. „Jakże głupio jestem wstydlivy — myślałem. — Dawniej byłoby to bardzo łatwe, dziś okropny ze mnie niedołęga w najważniejszych sprawach...”

Spojrzałem w okno, wiosna nie cieszyła mnie już, cwał „Greyhonda” był ciężki, ślimaczy. Zazdrościłem jednak szoferowi. Siedział zwarty, pewny siebie. Prowadził wóz, władał również i dziewczyna. Tak powinno być. Nad jego głową, na szybie wąskie, długie lustro, mógł w nim oglądać wnętrze wozu. Widziałem w nim małe, rozspane twarze pasażerów, a w prawym rogu — jej twarz. Była chmurna, poważna, czasami spoglądała z boku na ojca. Kiedy podniosła głowę, zobaczyłem jej oczy na sobie. Smutny uśmiech przecisnął

171

mi się na twarz. Uśmiechnęła się mocniej, niosła mi pomoc. Wtedy coś pękło we mnie, poczułem radosną ulgę. Przeniknęło mnie szczęście.

Wskazałem oczami ojca i bezradnie pokiwałem głową. Zrobiła wystraszoną minę, potem uśmiechnęła się jak psotne dziecko. Poprawiła sobie włosy, mówiła wyraźnie: jestem ładna, prawda? Na mojej twarzy olśnienie.

Pokazała na ojca, wtuliła się spokojnie w oparcie. Ja również oparłem się wygodnie. Udawaliśmy drzemkę z przebudzeniami i wyrzucaliśmy sobie ten sen. Uśmiechaliśmy się wesoło i tkliwie. Twarz moja pozbyła się skamielin, gorącą, namiętą falą posyłałem jej uśmiech. Mrużyła oczy, zamykała je kobieco, potem otwierała szeroko jak po doznaniu namiętnej rozkoszy. Okazywaliśmy sobie tkliwość i dobroć...

W końcu jechaliśmy przez ogromne miasto. Pasażerowie zaczęli niespokojnie poruszać się. „Greyhound” zwolnił, wtoczył się na obszerny plac i stanął. Zdążyłem jeszcze okazać jej moje niezadowolenie z nagłego końca podróży. Ojciec przepuścił ją do przejścia, podał lekki płaszczyk i wziął z półki staroświecki skórzany sakwojaż. Uczułem, jak wdarła się we mnie pustka. Przepuściłem za nimi starszą kobietę, cisnęli się jeszcze inni pasażerowie.

Po wyjściu zobaczyłem ich, stojących o kilka kroków. Natychmiast spotkaliśmy się oczami. Ojciec mówił coś, ale nie słyszała tego. Wziął ją za rękę i powiódł z sobą. Obejrzała się jeszcze.

W pierwszej chwili chciałem gonić, chciałem ująć ją za drugą dłoń i iść razem z nimi. Chciałem głośno wołać do niej. Zmroził mnie tłum normalnych ludzi. Błogosławiony bezwstydzie, nie przyszedłeś...

172

Odtąd miałem już obrastać świństewkami jak świerzbem. Pysznie stroiłem tę narośl w doskonałe ubrania, pojętnie nabywałem i inne kulturalne nieprawdy, i nosiłem je jak pudel. O, błogosławiony bezwstydzie...

173

SINGSIARZ

Ocieniona kapturkiem żarówka śnieżyła pustą kartkę papieru. Pochyliłem się nad nią z bałwochwalczą czcią. Ręka sama chwyciła pióro i kiedy miała już dotknąć kartki, obezwładniało ją drganie serca, słabość nerwów, cień zamętu w głowie. Prostowałem się i znów czekałem na przyływ natchnienia. Długo czekałem. Potęgujące się wahanie, zanim nie weszła zdrewniała pustka podobna śmierci.

Wstałem, zacząłem przechadzać się po pokoiku. Pomału myśli zaczęły wzbierać i układać się w żywe ciało. I kiedy miałem już pochylić się z nimi nad kartką głos z wnętrza mówił: „jeszcze nie”. Śnieżna biel kartki czarowała jak łono wspaniałej kobiety. Bezwolna, odczuje wszystko wrażliwiej i mocniej niż ty. Weźmie z sobą do ziemskiego nieba. Ale każda fałszywa myśl zbruka ją i ciebie i będziecie wlec się schyleni przez życie nie do zniesienia. Pochyliłem się nad nią już któryś raz, wreszcie wstałem. Rozejrzałem się — ściany, graciki miały martwość grobu.

Wypadłem, uciekłem z niego. Szybko zbiegłem po schodach. Zatrzasnąłem za sobą frontowe drzwi. Nikle tłące się lampy, pustawa ulica. Przeszedłem następną, przylegającą do Hyde Parku. Ciepły wieczór wczesnej jesieni. Woń przejrzałej, bujnej trawy, poszum starych drzew. Radość ciała, ale w głowie pustka. Niewiarygodnie szybko znalazłem się przy Hyde Park Corner, przed Klubem Białego Orła.

Wszedłem na wysoki parter, skierowałem się na górę. Na pierwszym piętrze przestrzennej klatki schodowej z marmuru gromadki naszych wojaków niższych szarż, wsparte na poręczy. Przez otwarte na oścież podwójne drzwi wszedłem do sali barowej. Przy kontuarze napiłem się piwa. Wszystkie stoliki były zajęte, na nich syty nieład. Dochodziła północ. Starsi wojskowi, eleganccy cywile, wytworne Angielki, trochę chełpliwości, przynależnej ich rangom. Mieli dobrze w czubach. Polska jurność i angielski racjonalizm diabelnie upraszczały drogę do nieba. Poczujęm się durniem. Byłem w dunkrach i w spłowiałej, niebieskiej koszuli. To nie miało żadnego znaczenia. Czujęm się bardzo młodo, mój strój dawał rozkoszną wygodę, jakiej nie zaznałbym w galanteryjnych chomątach i uprężach. Zobaczyłem znajomych dziennikarzy w ich zawodowym, rozpryskliwym podnieceniu. Wołali mnie do siebie. Przeszedłem do przyległej sali. Gorszy gatunek ubrań, te same kieszenie. Ostre rozmowy, niektórzy płynęli już w zaświaty z pogardą dla życia. Zeszedłem na dół, wpadłem do parku.

W ciemności parsknąłem jak kot. Po kilku oddechach poczułem się lepiej. Ciepła, mokra woń. Pochyliłem się nad pogrubiałą ławką. Śpiący błyskawicznie chwycił oburącz leżący kapelusz, nie spojrzawszy na mnie podłożył go sobie pod głowę i wykręcił się do mnie plecami. Szeleścił przy tym, jakby miał powleczenie z gazet.

Odszedłem zgnębiony. Znalazłem oto bratnią duszę, ale człowiek nie chciał ze mną rozmawiać, chciał tylko spać, było mu lepiej niż mnie.

Minęło mnie kilka cichych objętych par, inne spacerowały swobodnie, czasami padło słowo, przechodnie dzielili się nocą. Kierowali się na lewą

stronę jeziora. Pyszna sylwetka dziewczyny w spodniach i sweterku przemknęła ze sprężystością, na jaką nie mogłaby sobie pozwolić za dnia. Pędziła do domu, aby znużyć się przed snem. Czyniła to z przejęciem, jakby z przepisu lekarza. Przy wodzie jakiś leciwiec z pieskiem. Trochę dalej owinięta w płaszcz kobieta, swobodnie wyciągnięta na leżaku. Jeszcze dalej w drugim leżaku pochylony mężczyzna z ramionami na kolanach. Przystanąłem trochę zdziwiony, było już dobrze po północy. Anglicy są bardzo podatni na nastrój. Nie mają naszej mgławicowości, ale bardzo cenią spełniony sentyment. Może prowadzili obrachunki ze sobą, może po prostu wypoczywali, nabierali sił do walki o byt. Na pewno nie marzyli...

Powlokłem się skrajem jeziora. Zszedłem z alejki przy jej końcu, gdzie zwężała się mocno, przedarłem się przez krzaki. Znalazłem na brzegu skrawek polany o wysokiej trawie, okolonej gąszczem, z szeroko otwartym widokiem na wodę. I tu stało kilka leżaków. Jeden z nich ustawiłem najbardziej poziomo i ległem.

Niczego nie chciałem, a najmniej — myśli. Ze zmysłami poradziłem sobie dość łatwo, wyłączyłem je; znaczna ulga. Z głową nie było tak łatwo: wir dający tylko świadomość udręki. Ale ten diabelski młyn również musiał się w końcu zmęczyć...

**Chwilami traciłem wszelką świadomość życia. Zapadałem w kojącą otchłań niebytu. A kiedy byłem już na granicy snu, czułem w głowie spokój. Oczy otworzyły się same. Wszystko trwało może godzinę, może dwie, może trzy. Czarna ciemność nocy i znów próby wydostania się ze studni.
Niepokojący**

176

**zapach jesieni, mający w sobie śmierć.
Nieistniejąca w czerni tafla wody.**

Wpatrzyłem się, na drugim brzegu dojrzałem ciemny masyw drzew. Szmer opadających kropel rosy. Granat nieba z iskrzącymi się gwiazdami. Zapomniałem, gdzie jestem, mogło to być w dżungli Panamy czy na Borneo. Od Marble Arch dobiegał słaby szum pojazdów. Byłem więc w samym środku Londynu. Przypomniałem sobie pokoi, ogarnął mnie strach. Nie miałem tam po co wracać. Poszukałem gwiazd. Plejady mieniły się wyzywająco jak oczy dziewcząt. Stare znajome z rejsów, lubiłem je najbardziej ze wszystkich konstelacji. Potem pomyślałem o ziemskim świecie. Przetoczył się przede mną, opędziłem go wkoło najróżniejszą lokomocją, legalnie i nielegalnie. A teraz wywróciłem się na małym dziewczęcym sercu z urojenia.

Wyleczyłem się z choroby przestrzeni. Dosyt oglądania. Tak jakby nie istniały opisy odkryć, sam barbarzyńsko musiałem wszystkiego dotknąć. Głupota nie korzystać z trudu innych ludzi.

Bez z góry powziętej myśli zacząłem zastanawiać się nad obejrzanym światem, z prymitywną nieporadnością zacząłem drążyć go w głąb. Zacząłem pisać. Drukowałem już w kilku dobrych pismach emigracyjnych. Jednak nie zaczynałbym, gdybym wiedział, co mnie czeka. Raczej puściłbym się po raz drugi w koło.

Teraz przestrzeń nie smakowała już, statek nie pociągał. Skończyło się dziecinne, radosne oglądanie. A pisać też nie można.

Zacząłem nowelę o dziewczynie i utknąłem. Nie miałem żadnych cennych cech, tylko trochę odwagi i dzielności w pokonywaniu przestrzeni. Teraz najważniejsze było siedzenie. A w tej części ciała

nie miałem odpowiedniej dzielności. O, gdyby można było odbyć włóczęgę wyobraźni, podobną do mej bieganiny po świecie, byłoby z tego więcej, niż ze stu okrążeń ziemi. Ale wyobraźnia moja była łamaźna, a kiedy polatywała już dość chybko brakowało odwagi, by dotknąć piórem białej kartki. Z nią było jak w początkach z nieistniejąco piękną, cudowną dziewczyną, a później — miast rozkoszy — potęgująca się udręka.

Zaoszczędzone pieniądze kończyły się już. Zrobiło mi się wesoło, tak jakbym w ogóle ich nie potrzebował. Znajome Plejady mrugały przyjaźnie — wołały mnie. Choć na statkach była niejedna uciecha, przecież nie było już powrotu. Taka powtórka z musu nie byłaby zabawna. Przekroczyłem jakąś granicę, teraz nie ma już statku, nie można też pisać i nie ma pieniędzy. Znowu z ostrą wyrazistością zobaczyłem szeleszczącego papierami na ławce włóczęgę. Chwycił kapelusz, bym mu go nie ukradł. Bratnia dusza.

Niebo jaśniało, gwiazdy pobladyły. Smużka mgły nad jeziorkiem. Na drugim brzegu, pod rokita, stała w wodzie czapla. Czasami kuła dziobem. Lekko skrzywiła głowę z harcapem, jednym okiem wypatrywała ryb, drugim patrzyła na mnie. Znowu nieufna, bratnia dusza. Że też wszystko boi się wszystkiego.

Kiedyś miałem naiwną wiarę w cały świat, było mi dobrze. A teraz i ja bałem się swoich poczynań, bałem się samego siebie.

Zapłonęły czuby drzew. Czapla poderwała się, popłynęła nisko nad ogromnym miastem, do swojego domku na jakiejś kępie. Powstałem z wysiłkiem. Poczulem, że cały jestem zimny i odrętwiały. Z trudnością stawiałem pierwsze kroki. Trawa

aż tryskała rosą. Nim wyszedłem na alejkę, byłem mokry po kolana. Na wielkim kolisku ujrzałem kawalkadę jeźdźców. Przystanąłem na skraju. Kolorowe, sztywne fraczki, posągowe twarze, kobiety jak królowe Nefretete. Ci dopiero grali swoje życie górniej niż operowo. Roześmiałem się nieprzyzwoicie. Nikt tego nie zauważył, tylko kilkunastolatкови jadącemu na kucu zmieszał się uśmiech. Miał radośnie chłopięcą buzię, nie nawykłą jeszcze do czekającej go roli. Zazdrościłem im tylko karego, targającego wodzami i drobiącego zadnimi nogami. Och, użyłbym sobie, brzuchem tarłby ziemię!

Kiedy minęli mnie „Egipcjanie” ruszyłem szybko, aby się rozgrzać. Na ulicach ludzie spieszący do pracy. Mój dom. Otworzyłem wejściowe drzwi. Na drugim piętrze krucza, puszysta Irlandka w różowym szlafrocisku wychodziła z łazienki. Po dobrze przespanej nocy i po kąpieli wyglądała jak kropla rosy. Przystanąła, zrobiła okrągłe oczy.

— Och, skąd to tak? — wyszło z jej ust. Potem uśmiechnęła się przyjaźnie, kobieco i dodała: — Happy?

— Very happy — odpowiedziałem cicho i pomknąłem na swoje poddasze. Zwalilem utyłane dunkry. Rzuciłem się na łóżko, zaraz zapadłem w sen.

Znowu pochylałem się wieczorami nad kartką i nic z tego nie wychodziło. Zabrałem się do czytania. W przerwach włóczyłem się po ulicach w dzień i w noc.

W czarny, deszczowy dzień, łąziłem po bruku przemoknięty. Dzień i ja pasowaliśmy do siebie. Wtedy lunęła z nieba woda. Przechodnie biegli do bram, łapali taksówki i autobusy i uciekali do domów. Nie miałem dokąd uciec, najgorsze

179

było mniej okrutne od mojego poddasza. Kaskady siekły twarz, oblewały mnie całego. Ulga! Walily o chodnik, podskakiwały, opadały. Na czarnym, połyskliwym asfalcie pojawiały się bańki — i ginęły. Zabawne. Szedłem pomalu, przystawałem, znowu ruszałem. Usłyszałem głośny śmiech, pełen wesołości. Ujrzałem znajomego przy witrynie sklepowej, skinąłem mu głową, chciałem iść dalej. Znajomy wybiegł na skraj suchego miejsca.

— Też spacer! — zagrzemiał. Uśmiechnąłem się.
— Chodźże tu! — sięgnął ręką, wciągnął mnie pod daszek. Oglądał mnie, śmiał się głośno. Sam w deszczowym, przezroczystym płaszczu, pod nim doskonałe ubranie w prążki. Jaskrawy krawat, hiszpański wąs, wypomadowana czupryna. Znałem go: amant, trochę dziennikarz. Ubawiwszy się mną, natarł z miejsca:

— Byłeś niedawno we Francji?

— Dawno... niedawno...

— Najważniejsze, że byłeś. Masz przy sobie książeczkę żeglarską?

— Mam.

— Mam parę francuskich franków. Wymienisz je?

— Wymienię.

Pociągnął mnie za sobą. Przystanął pod murem. Pochylił się i pogrzebał w nieodłącznym, zawsze noszonym portfelu.

— Masz, ułożone w kupki, w każdym banku jedną.

Błyskawicznie spojrział na moje ubranie, wyglądałem jak po kąpieli.

— Weź tę skórę. — Podał mi portfelio. — Chodźmy, przestało padać. Wyszliśmy z podsienia. Narzucił szybki krok, nie sprzyjający rozmowie

180

Zatrzymał się przed oddziałem bankowym, puścił mnie samego.

Podąłem kasjerowi franki i książeczkę żeglarską, wyjętą z celuloidowej oprawki, zaciśniętej, gumą. Używałem jej na statkach, na wypadek zmożenia. Kasjer spojrział na mnie.

— Skąd wiemy, czy byłeś we Francji?

— W książeczce złożone jest zaświadczenie z inwazji.

Przeczytał honorowe świadectwo, wydane przez rząd Jego Królewskiej Mości i ruchami automatu wymienił pieniądze.

— No, co? — zapytał na ulicy amant-dziennikarz.

— W porządku.

Narzucił jeszcze szybsze tempo. Mówił, że drukował się już w „Dzienniku”, że dużo pisze. Wychwalał znajome dziewczyny, z którymi musi mnie poznać. Po ostatniej wymianie spojrzął na zegarek.

— Jestem umówiony. Elegancka, co za inteligencja! Pędzę!

Podąłem mu portfel i dodałem:

— Przydadzą ci się.

Zręcznie wsunął mi do kieszeni funta.

— Zobaczymy się w „Orle”! — zawołał i zniknął w przejeżdżającej taksówce.

Często tam zabiegał przede mną o znajomość z dziennikarzami i hojnie stawiał im gorzałę. „To się nazywa rozmach” — pomyślałem i ruszyłem wolno na swoje poddasze.

Następnego wieczoru byłem w „Białym Orle”. Siedziałem sam przy stoliku w sali, przylegającej do baru. Jak strzała przemknął amant-dziennikarz. Spostrzegł mnie, zawrócił, podszedł i rzucił się w fotel.

181

— Co tak przy piwie tylko? — wyrzucił krzepiąco. — Napijemy się.

— Wystarczy mi — odpowiedziałem.

Na kolanach portfel, układał w nim papiery, bardziej z manieri niż z potrzeby. Przy innych stolikach hałas rozmów. Na klatce schodowej stał wysmukły blondynek, pogodny, uśmiechnięty, i samotny. Przez szeroko otwarte drzwi przyglądał się ciżbie ludzkiej.

— Słuchaj, mam jeszcze trochę franków. Dostaniesz 10 procent. No co, wymienimy je jutro?
— nieodparcie przyjaźnie pytał amant-dziennikarz.

Czułem kant.

— Nie — odpowiedziałem.

Przekonywał mnie długo, póki nie zobaczył kilku dziennikarzy idących do sali barowej. Pomknął do nich.

Po chwili ujrzałem przed sobą zażenowanego blondynka.

— Naprawdę, nigdzie nie ma miejsca. Czy mogę tu usiąść?

— Proszę — odpowiedziałem.

Był w brązowym ubraniu najlepszej jakości, wytwornie znoszonym. Spoglądał delikatnie szarymi, żarzącymi się oczami. Spojrzałem na plik gazet w jego ręku. Uśmiechnął się łagodnie.

— Przegląda się trochę na bieżąco —
usprawiedliwiał się. Zwinął je ciasno. — Jak tu
nie czytać w tym kraju?

Zaczął mówić o literaturze angielskiej. O
pierwszeństwie intelektu, podobnym do
pierwszeństwa artyzmu u Francuzów. O poezji
jednoczącej obie cechy w najwyższym stopniu.

Słuchałem go z przyjemnością. Doskonale znał
angielski i zapewne miał dużo czasu. Zauważył
kelnera przy pobliskim stoliku.

182

— Napijemy się wina? — spytał łagodnie.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałem.

— Chciałem się napić, a tak samemu...

— Jeśli tak... — przytaknąłem.

Maczaliśmy usta w złotym płynie, uśmiechaliśmy
się do siebie.

— Pan nie jest mi obcy. — Odniosło się to pewnie do mojego ostatniego dziwactwa, do pisania. — Teraz często widać tu pana.

— Zbyt często — odpowiedziałem. Znow zaczął mówić o literaturze, żywo, pochłaniająco.

— Pan też? — przerwałem mu.

— Och nie, nie piszę, nawet nie próbuję — wymówił szybko, z zawstydzeniem. Na samym dnie uśmiechu ledwo się zaznaczającym, trzeźwa pogarda. — Lubię tylko.

Był ciekaw moich rejsów. Kiedy mówiłem o Francji, zamyślił się i nie spuszczać ze mnie łagodnych, mądrych oczu, wtrącił:

— Właśnie mam pewną sumę francuskich pieniędzy. Pan mógłby je wymienić, dam 20 procent.

Jego łagodna logika przekonała mnie. Przystąpiłem. Umówiliśmy się i pożegnałem go.

Na drugi dzień rano wypchałem wszystkie kieszenie, nie chciałem brać teczki. Wsuwałem do nich dłonie, palcami wymacywałem grzbiet jednego ze złożonych na pół plików banknotów, wyciągałem i podawałem z książeczką żeglarską w okienku, wraz z kilkoma kłamliwymi słowami. Zgarniałem treściwe funty i szedłem do następnego banku. Tkwiły one w West End jeden za drugim, jak sklepy i jak gdyby zajęciem tutejszych ludzi było tylko bankierstwo. Pieniądze, pieniądze; płynęły do nich pieniądze jak rzeki. Wszystkimi środkami lokomocji, telegraficznie

183

z kilkudziesięciu tysięcy kilometrów, z ogromnego imperium, z całego świata. Te banki były najważniejszą częścią mózgu społeczeństwa, dopiero posiadanie konta bankowego dawało obywatelstwo. Cóż znaczył mój kancik, kropla w morzu. Roześmiałem się.

Kasjerzy nawet nie spoglądali na mnie, a jeśli który rzucił okiem, to raczej z wyrzutem, że zajmuję mu czas. Jeden nawet pośmiał się ze mnie: Co nie smakowało ci wino i małe Francuzeczki?... — To tam powinienem był wydać swoje groszaki, by nie zawracać mu głowy.

Robiłem się coraz smuklejszy.

„Funty — myślałem — to przynajmniej pieniądze, nie taki śmieć jak franki”. Zagapiłem się, minąłem bank. Zawróciłem. W kieszeni wymacałem palcami jeden z trzech ostatnich grzbietów, położyłem z książeczką żeglarską na pulpicie okienka. Za pulpitem widziałem stojącego kasjera, słusznego wzrostu, w szarym ubraniu, zwróconego plecami do mnie. Odwrócił się, był w rozpiętej marynarce i obcisłej kamizelce. W średnim wieku, ściągła, wyrazista twarz, szronkowate włosy. Pogoda i jasność były dumnym wdziękiem. Wziął moje papierki, położył na stół. Wymówił formułkę. Nie siadając obracał kartki w książeczce. Wyprostował się, spojrzał na mnie, nos jakby mu się zmarszczył:

— Coraz więcej marynarzy przychodzi do nas — wymówił.

Patrzył mi w oczy z dumnym uśmiechem. Przez chwilę cień przykrości przesłaniał mu twarz, cień, który mówił: „Nie wyglądasz na to, a jednak jesteś zwykłym oszustem”. Pozostała mi kłamliwa bezczelność. Przeliczył franki i podał funty. Był

zgnębiony, jak gdyby sam nie był pewien swojej jasnej dumy. Podziękowałem i odszedłem.

Na ulicy zmięła mi się twarz, jakby mnie ktoś przez rynsztok przeciągnął. Oto chciałem być trochę pisarzem i trochę kanciarzem... O mało nie wybuchnąłem głośnym śmiechem. Popędziłem do meliny, nie wymieniłem już pozostałych franków.

W Klubie „Białego Orła” zastałem wysmukłego blondynka. Radośnie ożywiony, poprowadził do drugiej sali, w sam róg. Usiedliśmy. Podałem mu funty.

— Jutro dostanie pan podwójną porcję — wymówił szybko i zabrał się do liczenia.

— Tu ma pan swoje 20 funtów. Wziąłem, schowałem do kieszeni.

— A to co? — Zobaczył pozostałe franki, które położyłem na stole. — Weź je pan, jutro dołożę.

— Już nie chcę — odpowiedziałem.

— Żarty? — zawołał.

— Nie.

W jego uśmiechu dojrzałem całą swoją głupotę, tę o jaką mnie posądzał. Zaśmiał się żywiej, zmrużył oczy, wymówił:

— A 25 procent? Nie reagowałem.

— Trzydzieści.

Przyglądałem się jego swobodnej hojności. Wstąpiła w niego pewność siebie, wierzył, że już mnie ma.

— Jedną trzecią.

— Nie — odpowiedziałem cicho.

Zapalił papierosa, po dłuższej chwili powiedział:

— W Londynie jest dwa tysiące banków. W każdym wymienią panu za 5 funtów. — Pokiwał znacząco głową. — Potem można od nowa w tych samych. Całkowita pewność, jeszcze nie żądają

podpisu. Był pan we Francji jako marynarz, więc pozwalają panu wymienić pozostałe groszaki. Sprawa zupełnie legalna — kończył z łamiącym się naciskiem. — Teraz trzeba szybko. Potem będzie pan panem swojego czasu, może być nawet zabawa w literaturę. Pan ma rodzinę, są jakieś obowiązki wobec niej...

Jego wywody były logiczne i diabelnie trzeźwe. Nie potrafiłem przeciwstawić się. Siedziałem cicho, by nie potęgować jego uśmiechu i nie zostać jeszcze większym durniem. Popatrzył jeszcze na mnie, podał rękę i odszedł.

Natychmiast przybiegł i usiadł w fotelu kręcący się amant-dziennikarz.

— Pracujesz dla niego? — zapytał wprost.

— Już nie.

— Ile ci dawał?

— 20 procent.

— To świetnie. — Skrzywił się, przypomniała mu się jego własna propozycja. — Chciałeś więcej? To cwaniak.

— Nie wygląda. Chciałbyś być taki cwany?

— Ba, to hurtownik. Tacy skupują franki bardzo tanio za gotówkę. Lotnicy Rafu przywożą je w walizkach. We Francji pozbywają się już tych wojennych śmieci... Spiesz się brachu bo niedługo będzie obciach. Ja też biorę od niego i szukam koni — zerwał się i popędził dalej.

Po chwili wyszedłem także. Szło mi się lekko, wydawało mi się, że potrafiłbym pofrunąć. Przez park, skrajem jeziora. To nie nogi niosły mnie na poddasze. Znow spotkałem na schodach Irlandkę.

— You are a nice boy to night — pochwaliła mnie.

186

— Thank you dear — odpowiedziałem.

Pędziłem do pokoiku, by schować się przed całym światem. Wszystko niepotrzebne odpadło z jego ścian, kiedy się w nim znalazłem. Usiadłem, pochyliłem się nad kartką, ręka sama chwyciła za pióro, zacząłem pisać. Jakby tama pękła. Zalew. Nie oderwał mnie nawet wstający dzień ani coraz głośniejszy szum na ulicy.

Otworzyłem szeroko okno, wychyliłem się. Irlandka przechodziła na drugą stronę ulicy, spoglądała w górę. Posłałem jej całusa. Ulegle podziękowała mi otwartą dłonią. Wyprostowałem grzbiet, przyjemne znużenie. Rozebrałem się i położyłem do łóżka — wprost w sen.

SPIS RZECZY

Początek topografii	7
Aluś	22
Guadalajara! Guadalajara!	112

Pasek	129
Psikus	139
Błogosławiony bezwstydzie!	161
Singsiarz	173

Printed in Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

POZNAŃ 1965

Wydanie I. Nakład 10 000+270 egz. Ark. wyd. 7,5, ark. druk. 11,75. Oddano do składania 22 XII 1964. Podpisano do druku 10 VII 1965. Druk ukończono .w lipcu 1965, Papier druk. mat. kl. V 65 g, 78X90 z fabryki we Włocławku. Zam. nr 505.

Cena zł 12,—

SZCZECIŃSKIE

ZAKŁADY GRAFICZNE

Szczecin, Al. Wojska Polskiego 128.

Zam. nr 67. H-2-109